

A young couple is shown from the waist up, smiling and holding hands. The woman on the left has long, straight, reddish-brown hair and is wearing a red and blue patterned cardigan over a white top and blue jeans. The man on the right has dark, wavy hair and a beard, wearing a light green cable-knit hoodie and blue jeans. They are standing outdoors with a blurred green background.

DIANA PALMER

Droga do serca

Diana Palmer

Droga do serca

Tłumaczenie:
Natalia Kamińska-Matysiak

Dla Cinzii, Vondy, Cath i wszystkich dziewczyn z mojego fanklubu

Drogie Czytelniczki!

Odkąd postać Cane'a Kirka pojawiła się w moich myślach, chciałam opisać jego historię. To człowiek borykający się z poważnymi problemami, ale gdyby nie miał żadnych wad, nie byłby taki interesujący.

Powieść rozwijała się w miarę pisania. Miałam wprawdzie w głowie jej ogólny zarys, ale to sami bohaterowie ją tworzyli. Zdradzę Wam, że nie wymyśliłam fragmentu o kogucie, tylko niedawno sama miałam do czynienia z tak bojowym ptakiem.

Kiedyś, wyglądając przez okno, dostrzegłam na swoim podwórku czerwonego koguta z dwiema białymi kurami. Mieszkam w mieście, więc możecie sobie wyobrazić moje zaskoczenie. Następnego dnia znów się pojawiły. Wypędziłam je za furtkę, ale wracały, gdy tylko znów ją otworzyłam. Ostatecznie kury wprowadziły się na stałe i co dzień uszczęśliwiały mnie dwoma świeżymi jajkami, a kogut wrócił tam, skąd przyszedł. Nabrał jednak zwyczaju pojawiania się codziennie o świcie na moim dwumetrowym, drewnianym płocie.

Próbowałam go przegonić, ale wpadał w bojowy nastrój, a miał ostrogi i nieprzycięte skrzydła. Poturbował mnie dwukrotnie, zanim nauczyłam się przed nim bronić, nosząc metalową pokrywę od kubła na śmieci jak tarczę. Więc ganiałam go po podwórku (a raczej kuśtykałam za nim, bo nie mogę biegać) w trzydziestostopniowym upale. Najpierw więc kuśtykaliśmy, potem chodziliśmy coraz wolniej, ciężko dysząc, ale nadal nie mogłam się do niego zbliżyć bardziej niż na dwa metry. Wiem jednak, że w sieci można znaleźć sposoby na poradzenie sobie z tak agresywnymi ptakami. Nie, to wcale nie tak, jak myślicie. Lubię rosół, ale nie zgotowałabym takiego losu mojemu dzielnemu, pierzastemu przeciwnikowi. We właściwym czasie odszedł na zasłużoną emeryturę w bardziej dogodnym miejscu.

W każdym razie szczerze współczuje Cortowi Branntowi. Przekonacie się dlaczego, kiedy doczytacie książkę do końca.

Jak zawsze dziękuję serdecznie za waszą czytelniczą lojalność.

Wasza największa fanka
Diana Palmer

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bolinda Mays nie mogła skupić się na czytaniu podręcznika biologii. Nie spała dobrze, martwiąc się o dziadka. Miał dopiero sześćdziesiąt lat, ale nie był całkiem zdrowy i miał kłopot z opłacaniem rachunków.

Wróciła na weekend z college'u w Montanie, chociaż podróż w obie strony jej poobijaną, starą półciężarówką była kosztowna. Na szczęście praca w sklepie w czasie wolnym od nauki pozwalała jej uciąć parę groszy na odwiedzinę u dziadka.

Był początek grudnia, ale w przyszłym tygodniu, jeszcze przed świętami, czekały ją egzaminy semestralne. Bolinda wiedziała, że niedługo pogoda się pogorszy, a o czym znów zagroził, że wyrzuci dziadka z domu. Domu, który jeszcze niedawno należał do jej matki. Jej przedwczesna śmierć sprawiła, że dziadek został na łasce człowieka, który maczał swoje brudne paluchy we wszystkich ciemnych sprawkach w Catelow w Wyoming.

Bolinda z trudem zapłaciła za używane podręczniki potrzebne jej do nauki, a teraz jakimś cudem będzie musiała spłacić także zaległości w rachunkach ukochanego dziadka. Media są okropnie drogie, pomyślała ze smutkiem, a biedak już musi wybierać między zakupem świeżych warzyw i owoców a lekami na nadciśnienie. Przez chwilę zastanawiała się nad poproszeniem o pomoc Kirków. Jednak Cane – ten, którego znała najlepiej – nie miał powodów, by ją lubić. Niełatwo byłoby prosić go o pieniądze, nawet gdyby się odważyła.

Właściwie sporo jej zawdzięczał, skoro broniła przed nim mieszkańców niewielkiego Catelow, leżącego w pobliżu Jackson Hole. Cane stracił część ręki w walkach na Środkowym Wschodzie. Do domu wrócił odmieniony, zgorzkniały i pełen nienawiści do ludzi. Odmówił rehabilitacji oraz pomocy psychologa, uciekł w alkohol i zaczął szaleć.

Co parę tygodni demolował lokalny bar. Jego bracia, Mallory i Dalton, płacili za szkody znajomemu właścicielowi, który na razie powstrzymywał się od zgłaszania tych aktów wandalizmu policji. Jednak tak naprawdę jedyną osobą, która mogła uspokoić Cane'a, była Bolinda, lub Bodie, jak nazywali ją przyjaciele. Dla mężczyzn mógł być niebezpieczny, a Morie, młoda żona Mallory'ego, była onieśmielona w jego obecności.

Bolinda jednak go rozumiała, choć miała ledwie dwadzieścia dwa lata, podczas gdy on trzydzieści cztery. Dzielili ich spora różnica wieku, która jakoś nigdy nie wydawała się mieć znaczenia. Cane rozmawiał z nią jak z kimś równym sobie, i to o sprawach, o których wcale nie musiała wiedzieć. Traktował ją jak swojego kumpla.

Wcale nie wyglądała jak facet, chociaż nie mogła pochwalić się szczególnie imponującym biustem. Miała niewielkie piersi, które zupełnie nie przypominały balonów z magazynów dla panów. Zdawała sobie z tego sprawę, ponieważ Cane spotykał się kiedyś z modelką pozującą dla jednego z takich pism i nie omieszkał opowiedzieć

Bodie tego wszystkiego ze szczegółami. Była to kolejna krępująca rozmowa, której po wytrzeźwieniu zapewne nie pamiętała.

Bolinda pokręciła głową, starając się skupić na nauce. Westchnęła i przeczesła palcami krótkie, kręcone ciemne włosy. Jej jasnobrązowe oczy śledziły ilustracje ze szczegółami ludzkiej anatomii, ale mózg nie chciał współpracować. W przyszłym tygodniu czekał ją nie tylko pisemny, ale i ustny egzamin z tego przedmiotu, i nie chciała być jedyną studentką, która schowa się pod ławkę, kiedy profesor zacznie zadawać pytania.

Przekręciła się na brzuch i ponownie spróbowała skoncentrować się na książce, kiedy usłyszała melodyjkę. Przypominała muzyczny motyw ze *Star Treka*, który miała ustawiony jako dzwonek w telefonie.

- To do ciebie, Bodie! - zawołał dziadek z drugiego pokoju.

- Kto to?! - odkrzyknęła, wstając z podłogi.

- Nie wiem - odparł, podając wnuczce telefon wyłowiony z kieszeni jej kurtki.

- Dzięki - mruknęła, przykładając słuchawkę do ucha. - Halo?

- Panna Mays?

- O nie. Nigdzie nie jadę! - burknęła, zaciskając zęby, kiedy zorientowała się, kto dzwoni. - Uczę się do egzaminów!

- Proszę. - W głosie dzwoniącego pojawił się błagalny ton. - W barze grożą, że wezwą policję, i chyba tym razem naprawdę tak zrobią. Prasa będzie miała używanie...

- Niech to szlag! - zaklęła po chwili ciężkiego milczenia.

- Darby obiecał panią przywieźć - dodał kowboj z nadzieją. - Właściwie powinien już czekać pod domem.

Bodie podeszła do okna i rozchyliła żaluzje. Czarna furgonetka z rancza Kirków stała na jej podjeździe z pracującym silnikiem.

- Bardzo proszę - powtórzył kowboj.

- No dobrze - burknęła, rozłączając się w połowie jego pełnego ulgi podziękowania.

Po drodze do drzwi chwyciła kurtkę, torebkę i włożyła kozaki. Rafe Mays, widząc, co wnuczka robi, zacisnął usta.

- Powinni ci za to płacić.

- Niedługo wrócę - obiecała, wychodząc.

Kiedy wsiadła do furgonetki, Darby Hanes, wieloletni zarządca rancza Kirków, posłał jej przepraszający uśmiech.

- Wiem, co sobie myślisz, i przepraszam, ale tylko ty jesteś w stanie cokolwiek z nim zrobić. Niemal rozniósł bar, a właściciele mają dość cotygodniowej szopki - westchnął, wyjeżdżając na drogę. - Wczoraj wieczorem umówił się na randkę w Jackson Hole, i sądząc po jego dzisiejszym zachowaniu, spotkanie źle się skończyło.

Bodie nie odpowiedziała. Nie chciała słuchać o dziewczynach Cane'a. A wyglądało na to, że miał ich na pęczki mimo swojej niepełnosprawności. Nie żeby to robiło jej jakąkolwiek różnicę. Cane pozostanie Cane'em niezależnie od wszystkiego. Kochała go. Kochała go od ukończenia liceum, kiedy podarował jej bukiet różowych - jej ulu-

bionych – róż i flakonik drogich kwiatowych perfum. Pocałował ją wtedy. Oczywiście jedynie w policzek. Jak całuje się siostrę. Bodie nie tylko była sąsiadką Kirków, ale też ich częstym gościem. Jej dziadek pracował na Rancho Real, dopóki pozwalało mu na to zdrowie. Musiał odejść mniej więcej wtedy, kiedy Cane w czasie drugiej wojny w Zatoce trafił na bombę, która urwała mu lewą dłoń i niemal pozbawiła go życia.

Cane miał słabość do Bolindy, co wyszło na jaw rok temu; okazało się, że dziewczyna ma niemal czarodziejską moc uspokajania go, gdy wpadał w pijacki amok. Odtąd to ją wzywano, żeby sprowadziła go do domu z kolejnej popijawy.

Był taki moment, kiedy Cane poszedł na terapię, otrzymał protezę i powoli zaczął przystosowywać się do nowego życia. Wszystko nagle wzięło w łeb z nieznanym nikomu przyczyn, a Cane zaczął swoje wyprawy do barów. Wysoką cenę za jego wybryki, i to dosłownie, płacili bracia.

Cane otrzymywał miesięczną wypłatę z wojska, ale nikt nie był w stanie przekonać go, żeby ubiegał się o rentę. Kiedy nie pił, pracował na rodzinnym ranczu, jeździł na pokazy bydła z kowbojem, który oprowadzał za niego byki, i zajmował się logistyką oraz marketingiem. Współpracował także z hodowcami bydła w regionie i śledził zmiany w prawie. Ostatnio jednak rzadko bywał trzeźwy.

- Wiadomo, co się stało? - zapytała Bodie.

Darby wiedział o wszystkim, co działo się na Rancho Real, czyli na Królewskim Ranczu, tłumacząc z hiszpańskiego. Taką nazwę nadał mu po 1800 roku pierwszy właściciel, pochodzący z Valladolid na północny zachód od Madrytu.

Kowboj prychnął, zerkając na zmarzniętą Bodie. Było jej zimno, nawet mimo palta i włączonego w samochodzie ogrzewania.

- Domyślam się, ale jeśli Cane dowie się, że ci powiedziałem, będę musiał poszukać sobie innej pracy.

- Pewnie dziewczyna powiedziała coś o jego ręce - odgadła i spuściła oczy, skubiąc saszetkę umieszczoną na biodrze, której używała zamiast torebki.

- Też tak sądzę - przytaknął Darby. - Jest bardzo drażliwy na tym punkcie. A już myślałem, że mu się poprawiło.

- Poprawi mu się, kiedy wróci na terapię psychiczną i fizyczną.

- Szkoda tylko, że on nie chce nawet o tym rozmawiać. Zamknął się w sobie.

- To wprawdzie nie fizyka teoretyczna, ale i tak widać twój analityczny umysł - powiedziała z uśmiechem, bo niewiele osób wiedziało o wykształceniu Darby'ego.

- Daj spokój. Zajmuję się bydłem.

- W ciągu dnia, ale założę się, że wieczorami rozmyślasz o jednolitej teorii pola.

- Tylko w czwartki - poddał się ze śmiechem. - Przynajmniej mój kierunek studiów nie wymagał ode mnie latania z łopatą i kopania dziur w ziemi w całym kraju.

- Nie czepiaj się archeologii - mruknęła. - Kiedyś znajdę brakujące ogniwo i będziesz mógł się chwalić, że znałeś mnie, zanim stałam się sławna. Nie ma nic uwłaczającego w uczciwej pracy.

- Przy wykopywaniu kości - rzucił ironicznie.

- Można się z nich wiele dowiedzieć.

- Podobno. No, jesteśmy na miejscu - oznajmił Darby, zatrzymując wóz pod barem na uboczu, który ostatnio upodobał sobie Cane.

Przed barem wisiał znak stopu, który późną nocą lokalni amatorzy alkoholu traktowali jako tarczę strzelniczą. Teraz widać było jedynie pierwszą i ostatnią literę znaku. Dwie środkowe były kompletnie zatarte.

- Będą musieli go wymienić albo odnowić - zauważyła Bodie.

- Po co zużywać metal i farbę, skoro wszyscy wiedzą, co tu jest napisane? Znow go podziurawiają jak sito. Niewiele tu lepszych rozrywek.

- Boję się, że możesz mieć rację.

Na niewielkim parkingu stały tylko dwa samochody, najprawdopodobniej należące do pracowników. Każdy przy zdrowych zmysłach ulatniał się, kiedy pijany Cane zaczął kłąć i rzucać czym popadnie.

- Zaczekam z włączonym silnikiem, na wypadek gdyby komuś jednak przyszło do głowy wezwać szeryfa.

- Cane się z nim przyjaźni - przypomniała mu.

- Ale to nie powstrzyma Cody'ego Banksa od zapuszkowania go, jeśli ktoś oskarży go o napaść albo pobicie - westchnął. - Prawo jest prawem, niezależnie od przyjaźni.

- Pewnie tak. Może pobyt w areszcie nauczyły go rozumu.

- To już było grane - potrząsnął głową kowboj. - Mallory zostawił go w celi na całe dwa dni. Potem wpłacił kaucję, a Cane wyszedł, pojechał prosto do tej samej knajpy i ponownie ją zdemolował.

- Spróbuję go nieco okiełznać - obiecała.

Bodie wysiadła z furgonetki, stanęła przed barem i nerwowym gestem przeczesła krótkie ciemne włosy. Skrzywiła się paskudnie, zanim pchnęła drzwi i weszła.

Bar wyglądał jak po przejściu tornada. Poprzewracane stoliki, porozrzucane krzesła, jedno znalazło się za ladą wśród okruszków szkła. Kiedy uderzył ją zapach whisky, uznała, że ta wyprawa Cane'a będzie słono kosztować.

- Cane?! - krzyknęła.

- Bodie? Dzięki Bogu! - zawołał człowiek w hawajskiej koszuli, wyglądając zza baru.

- Gdzie on jest? - zapytała, a barman wskazał toaletę.

Poszła w tamtą stronę i niemal dostała drzwiami, kiedy Cane otworzył je z impetem. Jego wyjściowa kowbojska koszula była poplamiona krwią. Zapewne jego własną, sądząc po stanie nosa i szczęki. Zmysłowe usta miał spuchnięte i rozcięte i również sączyła się z nich krew. Gęste, ciemne, lekko falujące i krótko przycięte włosy były w nieładzie, a czarne oczy zaczerwienione. Jednak nawet w tym stanie był tak przystojny, że mocniej zabiło jej serce. Był wysokim mężczyzną o szerokich barkach i szczupłej talii. Długie, umięśnione nogi kryły się w obcisłych dżinsach, a duże stopy w kowbojskich butach, które mimo niefrasobliwego traktowania nadal lśniły. Miał trzydzieści cztery lata, ale kiedy patrzył na nią z miną skarconego uczniaka, wydawał się dużo młodszy.

- Dlaczego zawsze ściągają ciebie? - zapytał z wyrzutem.

- Ze względu na moją zdolność poskramiania rozszalałych tygrysów? - podpowiedziała ze wzruszeniem ramion.

Cane najpierw zamrugał, a potem wybuchnął śmiechem.

Bodie podeszła i ujęła jego wielką dłoń w swoje drobne ręce. Miał poobijane

i otarte do krwi kłykcie.

- Mallory się wścieknie - westchnęła.

- Mallory'ego nie ma w domu - odparł scenicznym szeptem i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Pojechał razem z Morie do Luizjany obejrzeć byczka. Do jutra nie wróca.

- Tank też się raczej nie ucieszy - zauważyła, używając przydomka Daltona, najmłodszego z braci.

- Tank niczego nie widzi poza niemymi westernami z Tomem Mixem, które tak uwielbia. Jest sobotni wieczór, więc zrobił prażoną kukurydzę, wyłączył telefon i wgapia się w telewizor.

- Powinieneś robić to samo, zamiast demolować bary - mruknęła.

- Mężczyzna musi mieć jakąś rozrywkę, dziecinko - bronił się Cane.

- Ale nie taką - oznajmiła twardo. - Idziemy. Biedny Sid ma przez ciebie masę sprzątan.

Sid wyszedł z baru. Choć był potężny i jego wygląd wzbudzał respekt, trzymał się z daleka od Cane'a.

- Dlaczego nie możesz zabawiać się tak w domu, Cane? - zapytał z wyrzutem, oceniając skalę zniszczeń.

- Bo mamy pełno cennych bibelotów w oszklonych szafkach - odparł przytomnie.

- Mallory by mnie zabił.

Sid rzucił mu kwaśne spojrzenie.

- Kiedy pan Holsten zobaczy rachunek za szkody, możesz się spodziewać wizyty...

Cane wyjął z kieszeni portfel, a z niego okazały plik setek, które wręczył barmanowi.

- Daj mi znać, jeśli to nie wystarczy.

- Wystarczy, ale nie o to chodzi! - zawołał zdesperowany Sid. - Dlaczego nie pojedziesz zabawiać się w barach w Jackson Hole?

- Bodie miałyby tam za daleko i zostałbym aresztowany, zanim by dotarła.

- I tak powinno się stać!

Oczy Cane'a zwięzły się w szparki, kiedy podszedł bliżej Sida. Rosły mężczyzna natychmiast się cofnął.

- Dajcie spokój - mruknęła Bodie, ujmując rękę swojego kłopotliwego sąsiada. - Przez was obleję biologię. Uczyłam się do egzaminów!

- Biologię? Myślałam, że studiujesz archeologię - zdziwił się Cane.

- Tak, ale trzeba zdać dodatkowe przedmioty, a to jeden z nich. Nie mogę już dłużej zwlekać. Muszę dostać zaliczenie w tym semestrze.

- Aha.

- Do zobaczenia, Sid. Mam nadzieję, że niezbyt prędko - dodała z uśmiechem.

- Dziękuję, Bodie. - Barman również zdobył się na uśmiech. - Szczególnie za... - Urwał i wymownie wskazał Cane'a. - Zresztą sama wiesz.

- Wiem - przytaknęła.

Wzięła Cane'a pod rękę i wyprowadziła z baru.

- Gdzie masz kurtkę? - zapytała.

- Chyba w wozie - odparł, mrugając, kiedy uderzyło go lodowate powietrze. - Ale nie potrzebuję. Wcale nie jest mi zimno - zaprotestował bełkotliwie.

- Można zamarznąć!

- Ale ja jestem gorącokrwisty - oznajmił, rzucając jej znaczący uśmiech.

- No chodź, Darby czeka - mruknęła Bodie, wznosząc oczy do nieba. - Ja pojedę twoim autem na ranczo. Gdzie masz kluczyki?

- W prawej przedniej kieszeni dżinsów.

- Podasz mi je? - zapytała.

- Nie.

- Cane! - skarciła go, zaciskając usta.

- Musisz ich sama poszukać.

Bodie zerknęła na Darby'ego.

- O nie - zaprotestował Cane, nakrywając kieszeń dłonią. - Jemu nie pozwolę tu grzebać.

- Cane!

- Nie!

- Niech ci będzie!

Odsunęła jego dłoń i zanurzyła rękę w kieszeni. Kiedy wymownie jęknął, zaczerwieniła się po same uszy, wyrywając gwałtownie rękę z zaciśniętymi w niej kluczykami. Miała nadzieję, że nie dostrzegł zakłopotania, w jakie wprowadził ją ten niemal intymny dotyk. W tej samej chwili Cane przysunął się do niej tak blisko, że jej drobne piersi otarły się o jego szeroki tors.

- To było miłe - wymruczał, zanurzając twarz w jej włosach. - Ładnie pachniesz - dodał, przyciągając ją mocno.

Bodie aż się zachłysnęła.

- Tobie też się to podoba, prawda? - szepnął. - Chciałbym zdjąć koszulę i poczuć twoje piersi na nagiej skórze...

Bodie odskoczyła od niego jak oparzona.

- Zamknij się! - wykrztusiła.

- Jak śmiesz! - przedrzeźniał ją Cane piskliwym głosem. - Ależ z ciebie mała cnotka - zaśmiał się gardłowo. - Już ja znam studencką brać. Podfruwajki sypiają z kim popadnie, uradowane, że antykoncepcja jest za darmo.

Bodie nie odpowiedziała. To był stereotyp, w który święcie wierzyło wielu ludzi, ale nie zamierzała dyskutować z Cane'em, który najwyraźniej dążył do kłótni, podpuszczał ją. Jednak nigdy dotąd nie robił tego w ten sposób. Flirtował z nią, a na Bodie jego słowa robiły za duże wrażenie, żeby mogła się czuć bezpiecznie.

- Wsiadaj - mruknęła, popychając go na siedzenie obok Darby'ego. - I zapnij pas! - dodała rozkazującym tonem.

- Ty to zrób - poprosił z przebiegłą miną i pijackim uśmiechem.

Bodie zaklęła, a potem znów się zaczerwieniła i przeprosiła.

- Nie musisz przeproszać - wtrącił Darby. - Jestem tak samo sfrustrowany.

- Nie jadę z tobą - oznajmił Cane w odwecie i wysiadł mimo protestów Bodie.

A kiedy Darby również wysiadł i spróbował go wepchnąć z powrotem, stanął w pozycji do walki. To przypomniało obojgu, że Cane ma czarny pas azjatyckich sztuk walki.

- Och, niech ci będzie. Możesz wsiąść do swojego samochodu, a ja poprowadzę - ustąpiła w końcu rozzłoszczona Bodie.

Cane uśmiechnął się szeroko, gdy tylko postawił na swoim. Spotulniał i grzecznie wsiadł do auta, zapinając pas.

Bodie uruchomiła silnik i machnęła, żeby Darby jechał przodem.

- Sprawiasz więcej kłopotów niż stado bydła! - powiedziała Cane'owi.

- Poważnie? Może przysuniesz się bliżej i porozmawiamy sobie o tym?

- Prowadzę - fuknęła.

- Och. No tak. W takim razie to ja się do ciebie przysunę - oznajmił i zaczął rozpinąć pas bezpieczeństwa.

- Jak tylko to zrobisz, wzywam Cody'ego Banksa - zagroziła, chwytając za telefon. - Dopóki samochód jest w ruchu, masz mieć zapięty pas. Takie są przepisy!

- Przepisy śmisy.

- A tak. Rozpinasz pas, dzwonię po szeryfa.

Cane przestał szarpać się z pasem i wpatrzył się w nią z groźnym błyskiem w czarnych oczach. Prawdę mówiąc, Bodie wolałaby nie wykorzystywać ostatnich cennych minut na karcie telefonicznej, żeby poskarżyć się szeryfowi na Cane'a. Postanowiła więc jakoś odwrócić jego uwagę.

- Co stało się tym razem? - spytała cicho, choć wcale nie była pewna, czy chce poznać odpowiedź.

Cane zacisnął zęby tak mocno, że zadrgał mu mięsień na szczęce.

- Wiesz, że możesz mi powiedzieć - zachęciła go łagodnie. - Nikomu nie powtórzę.

- Większości tego, co ci mówię, wstydzilibyś się powtórzyć - zauważył wyjątkowo przytomnie.

- Właśnie - przyznała i zamilkła, dając mu czas na decyzję.

Cane sprawiał wrażenie, jakby nieco otrzeźwiał.

- Włożyłem tę pieprzoną protezę. Nieźle udaje prawdziwą dłoń, prawda? Przynajmniej z daleka - dodał i przez chwilę patrzył przez okno na mijane w ciemnościach nagie drzewa i puste pastwiska. - Spotkałem kobietę w hotelowym barze. Poszła ze mną do mojego pokoju. Minęło sporo czasu i byłem spragniony - powiedział, nie zauważając skurczu, który ściągnął twarz Bodie. - Zacząłem zdejmować koszulę, a kiedy ona zobaczyła paski podtrzymujące protezę, powstrzymała mnie. Powiedziała, że to nic osobistego, ale nie mogłaby tego zrobić z tak okaleczonym faceciem. Potrzebowała kogoś w pełni sprawnego.

- Och, Cane. - Bodie westchnęła współczująco. - Tak mi przykro.

- Przykro. Właśnie. Ona też tak mówiła. Zdjąłem protezę i rzuciłem nią o ścianę. Potem wróciłem do domu - oznajmił i oparł głowę na zagłówek. - Nie mogłem przestać o tym myśleć. O jej wyrazie twarzy, kiedy zobaczyła tę cholerną rzecz... To prześladowało mnie przez cały dzień. Pod wieczór miałem dość. Musiałem jakoś pozbyć się tego wspomnienia. Musiałem się napić.

Bodie przygryzła dolną wargę. Co miała powiedzieć? Mogło wydarzyć się tyle innych rzeczy. Wcale nie chciała wiedzieć, że Cane miewa kobiety. To nie była jej sprawa. Ale nie mogła pogodzić się z myślą, że jakaś kobieta potraktowała go tak, jakby nie był prawdziwym mężczyzną, tylko dlatego, że będąc żołnierzem i walcząc dla swojego kraju, stracił część ręki. To było podłe.

- Nie mogę tak żyć! - wybuchł. - Budząc litość, bo nie jestem w pełni mężczyzną!

- Przestań! - krzyknęła, hamując gwałtownie. - Jesteś mężczyzną. Bohaterem! Wjechałeś prosto na bombę, wiedząc, że wybuchnie, żeby ochronić medyków w dziupie za tobą! Wiedziałeś, że twój wóz jest lepiej opancerzony i że nie da się jej omiąć. Poświęciłeś się, ale ocaliłeś bóg wie ile ludzkich istnień, ratując życie tamtym lekarzom. Jakaś głupia dziunia palnie coś bez zastanowienia, a ty od razu odrzucasz swój heroizm, ten akt straceńczej odwagi, jak zużytą chusteczkę. Nie zgadzam się! Nie pozwolę ci na to.

Przez chwilę Cane gapił się na nią w pijackim oszołomieniu. Potem pokręcił głową. Bodie wróciła na drogę, czując zdradliwe ciepło na policzkach.

- Skąd to wiesz?

- Tank mi powiedział, kiedy poprzednio wyciągałam cię z baru - przyznała cicho. - Mówił, że tragedią jest nie tylko to, co cię spotkało, ale też fakt, że chcesz zapomnieć o czymś, za co odznaczono cię Srebrną Gwiazdą.

- Och.

- Po co w ogóle spotykasz się z takimi kobietami? - spytała impulsywnie.

- Bo pozostałe są albo brzydkie, albo zajęte.

- Dziękuję za zaliczenie mnie do tej pierwszej kategorii - rzuciła z przekąsem.

- Nie mówiłem o tobie - odparł swobodnie, a potem przyjrzał się jej, mrużąc jedno oko. - Nie jesteś brzydka, ale masz za małe piersi.

- Cane! - krzyknęła Bodie i szarpnęła kierownicą, tak że o mało nie zjechali z drogi.

- Nie przejmuj się tak. Wielu facetów lubi małe piersi - pouczył ją. - Ja akurat wolę duże. I słodki, miękki brzusek, o który się opieram, kiedy wchodzę w delikatne, wilgotne...

- Cane! - pisnęła, ponownie cała czerwona.

- Daj spokój. Dobrze wiesz, o czym mówię - mruknął, odchylając głowę do tyłu. - Nie ma nic przyjemniejszego niż kobiece wnętrze gotowe na twoje przyjęcie, rosnące uczucie wypełniania, aż nie możesz więcej znieść i wybuchasz, a ona krzyczy w ekstazie.

- Naprawdę dziękuję, ale uświadomili mnie już na lekcjach w szkole.

- Teoria to nie to samo co praktyka, czyż nie? Albo świadomość, że każdy facet ma inny kształt i rozmiar. Mnie na przykład natura wyposażyła dość hojnie...

- Przystaniesz wreszcie? - jęknęła.

- Kręci cię ta rozmowa? - zapytał Cane, śmiejąc się zmysłowo. - Nie jesteś w moim typie, dziecinko, i jesteś za młoda, ale potrafiłbym dać ci rozkosz jak nikt - oznajmił, patrząc, jak Bodie coraz szybciej odдыcha i mocniej wciska pedał gazu. - Myślę jednak, że twój dziadek nigdy by mi tego nie wybaczył. Pewnie dlatego wybrałaś się na studia daleko od domu. Ilu miałaś kochanków?

- Może porozmawiamy o pogodzie - zaproponowała rozpaczliwie Bodie.

Ta rozmowa bardzo ją niepokoiła, ale nie mogła zdradzić Cane'owi, jak na nią działa, ani tym bardziej, że nadal jest dziewicą. Brak doświadczenia nadrabiała bujną wyobraźnią.

- Oczywiście. Ależ dziś jest zimno - zauważył Cane, siadając wygodniej.

- Dziękuję.

- Lubisz, kiedy facet jest na górze czy pod tobą? Jednak wolę zgłębiać ten temat -

oznajmił po chwili i uśmiechnął się, kiedy jęknęła zawiedziona. -Pamiętam jedną ba-
beczkę, która była tak drobna, że bałem się zrobić jej krzywdę. Ona się nie bała,
tylko dosiadła mnie i ujeżdżała całą noc. - Uśmiechnął się z rozmarzeniem. - Lubiła
też wypróbować nowe pozycje, więc raz...

- Nie mam ochoty słuchać o twoich akrobacjach seksualnych, Cane! - przywołała
go do porządku nieco zbyt piskliwym głosem.

- Zazdrosna? - zapytał, obracając głowę w jej stronę.

- Wcale nie!

Uśmiechnął się, ale zaraz potem spoważniał.

- Musiałabyś być na górze - zdecydował lodowatym tonem. - Nie mam już dwóch
rąk, na których mógłbym się wesprzeć. Nawet nie wiem, czy nadaję się jeszcze do
seksu. Chciałem sprawdzić, czy wciąż jestem mężczyzną, ale...

- Cane, ty straciłeś dłoń. Innym może brakować ręki czy nogi, a jakoś sobie radzą
z seksem - dodała, próbując zapanować nad coraz głębszym zażenowaniem.

- Chyba się nie odważę znów spróbować - mruknął, zaciskając powieki. - Nazwa-
ła mnie kaleką i powiedziała, że nie jestem w pełni mężczyzną...

Bodie gwałtownie zahamowała przed jego domem i rozpaczliwie nacisnęła klak-
son. Wystrzeliła z siedzenia jak z katapulty, gdy tylko Tank wyszedł na ganek.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Do diabła, Cane - burczał Tank, czyli Dalton, usiłując wyciągnąć brata z samochodu. - Dlaczego to sobie robisz?
- Nie tylko sobie. Bar jest w jeszcze gorszym stanie - oznajmiła Bodie, a Dalton tylko jęknął.
- Zapłaciłem za szkody - wybełkotał Cane, odpychając brata. - Chcę, żeby to ona zaprowadziła mnie na górę - oznajmił kapryśnie, wskazując Bodie.
- Nie ma mowy. Muszę wracać do domu i uczyć się do egzaminu.
- Nie pójdę, jeśli ty nie pójdziesz ze mną - powiedział z uporem Cane.
- Dalton skrzywił się paskudnie i błagalnie spojrzał na Bodie.
- Och, niech będzie. Ale potem naprawdę wybieram się do domu i ktoś będzie musiał mnie odwiedzić.
- Ja to zrobię - obiecał Tank. - Dziękuję.
- Nie ma za co - odparła i chwyciła Cane'a pod zdrowe ramię.
- Prowadząc go na górę po schodach, była bardzo świadoma bliskości jego ciepłego, umięśnionego ciała.
- Masz u mnie dług - mruknęła.
- Dłoń Cane'a przewieszona przez ramię dziewczyny niby przypadkiem zsunęła się na jej pierś, wywołując zduszony okrzyk Bodie.
- Mhm - wymamrotał Cane.
- Kiedy wprowadziła go do pokoju, zatrzasnął drzwi i pociągnął ją za sobą, padając na łóżko.
- A teraz coś sprawdzimy - wymruczał, wsuwając zdrową dłoń pod jej plecy i opierając się na kikucie drugiej.
- Bodie chciała coś powiedzieć, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Skubał jej górną wargę i wodził po niej językiem. Była bezradna w obliczu kunsztu jego pocałunków. Leżała bez ruchu zaskoczona i owładnięta przyjemną niemocą. Cane sprawnie rozpiął prawą ręką haftki jej stanika, a potem swoją koszulę, nie przerywając pocałunku. Chwilę później zadarł jej bluzkę do góry i przygniótł jej piersi muskularnym, owłosionym torse.
- Nieduże, ale jędrne i kształtne - mruknął, ujmując czubek jej piersi między kciuk i palec wskazujący. - Och tak - westchnął, kiedy jęknęła w odpowiedzi na pieszczotę, i przywarł do piersi Bodie ustami.
- Cane najpierw delikatnie objął sutek ciepłymi i wilgotnymi wargami, a potem zaczął rytmicznie ssać. Bodie ledwie stłumiła okrzyk rozkoszy, instynktownie wyginając drżące ciało w łuk, żeby się znaleźć bliżej niego. Mężczyzna natychmiast wykorzystał okazję, wsuwając dłoń pod jej pośladki i układając biodra tak, by jak najlepiej się do niego dopasowały. Teraz Bodie mogła dokładnie poczuć jego męskość. Jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła tak intymnego kontaktu.
- Bodie z natury nie była zbyt otwarta, a jeszcze wychowywał ją dziadek - człowiek

religijny, o poglądach z epoki wiktoriańskiej. Teraz odrzucony przez inną playboy chciał zrobić z niej swoją zabawkę. Usiłowała oburzyć się, tłumacząc sobie jego zachowanie reakcją zranionego męskiego ego, ale nieustępliwe usta Cane'a i napieraająca na nią męskość utrudniały Bodie racjonalne myślenie. Była tak pochłonięta nowymi doznaniem, że nie usłyszała pukania do drzwi. Dopiero podniesiony głos Tank sprawił, że oboje poderwali się z łóżka.

- Cane! Bodie musi wracać do domu! - krzyknął nagłaco.

- Już idę! - odkrzyknęła, mając nadzieję, że jej głos nie zdradza wzburzenia.

Zapięła stanik, poprawiła bluzkę i zerknęła na Cane'a.

Miał potargane włosy, opuchnięte od pocałunków usta i ciężko oddychał. Na jego twarzy malowało się zmieszanie, wstyd i szok. Chciał coś powiedzieć, ale wypity alkohol w końcu go pokonał. Ledwie otworzył usta, jego oczy zaszyły mgłą i nieprzytomny zwałił się na łóżko z głośnym chrapaniem.

Kiedy Bodie otworzyła drzwi, Tank niespokojnie zerknął w głąb pokoju.

- Na szczęście zasnął. Już się bałem, że się wyrwie spod kontroli - wyznał i obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

Choć miała lekko wymięty strój i zaczerwienione policzki, nie dostrzegł w tym nic dziwnego, wiedząc, ile wysiłku musiało ją kosztować zaprowadzenie brata na górę i zapakowanie do łóżka.

- Prawie mu się udało. Jest okropnie ciężki - skłamała.

- Już ja o tym coś wiem - prychnął Tank. - Wolałbym, żeby przestał uganiać się za dziewczynami po barach. W jego wieku powinien raczej pomyśleć o założeniu rodziny - dodał chłodno.

- Niektórzy mężczyźni nigdy się nie ustatkują - powiedziała, schodząc przed nim schodami. - I Cane chyba do nich należy.

- Nigdy nic nie wiadomo. Znów mamy u ciebie dług. Może moglibyśmy coś dla ciebie zrobić? - zapytał z uśmiechem.

- Tak. Odwieź mnie do domu. Muszę się pouczyć.

- Chodźmy. Pamiętam własne egzaminy. To nie była zabawa.

- Racja, ale został mi już tylko jeden semestr. Jeśli wszystko zdam, otrzymam licencjat.

- A potem?

- Potem? Będę się uczyć do magisterki - oznajmiła i westchnęła. - W tym czasie poszukam kwatery i pracy w lecie, żeby jakoś za to wszystko zapłacić.

- Moglibyśmy...

- Zrobiliście już wystarczająco dużo dla dziadka - przerwała mu, unosząc dłoń. - Dla mnie nie musicie nic robić. Cieszę się, że mogłam pomóc. Jesteście wspaniałą rodziną.

- Dzięki. Twój dziadek był jednym z naszych najlepszych kowbojów. Szkoda, że się zestarzał i musiał odejść z pracy.

- Też żałuję.

Tank odwiózł Bodie do domu. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała, że dziadek rozmawia przez telefon.

- Ale gdzie się podzieję, Will? - pytał rozpaczliwie. - To był dom mojej córki. Tak,

wiem, że teraz należy do ciebie. Ale nie dam rady płacić takiego czynszu! Żyję dzięki czekom od Kirków i staram się o rentę, ale... Tak. Wiem. Dobrze. Postaram się. Może mógłbyś jednak... Halo?

Weszła do salonu, gdzie przy niewielkim stoliku odziedziczonym po prababci stał dziadek ze słuchawką w rękę i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ścianę.

- Co się stało? - spytała cicho.

Dziadek spojrział w jej stronę, otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale po chwili zmienił zamiar i tylko odłożył słuchawkę.

- Nic. Zupełnie nic. Leć do siebie się pouczyć. Ja sobie trochę poczytam. Do zobaczenia rano - dodał, zdobywając się na blady uśmiech.

- Dobranoc.

- Z Cane'em wszystko w porządku?

- Można tak powiedzieć. Zasnął, a Tank mnie przywiózł.

- Cane to dobry chłopak - westchnął dziadek. - To źle, że spotkała go taka tragedia - dodał, pokręcił głową i pokuśtykał do swojego pokoju.

Bodie poszła do siebie, usiadła na łóżku i zamyśliła się nad tym, co wydarzyło się w sypialni Cane'a. Nigdy wcześniej jej nie dotknął. Opowiadał jej tylko o różnych, czasem szokujących, szczegółach swoich randek. To jednak było coś zupełnie innego. Po raz pierwszy potraktował ją jak dorosłą kobietę.

Nie miała pojęcia, czy powinna być oburzona, zażenowana czy zachwycona. Cane był od niej sporo starszy, zamożny i przystojny. Przez swoją ułomność zapomniał, jakim jest łakomym kąskiem dla kobiet. Bodie wciąż miała przed oczami jego twarz tuż przed tym, zanim odpłynął w niebyt. Wstydział się, autentycznie się wstydział.

Bodie westchnęła. Przez to jedno wydarzenie zmieniło się całe jej życie. Dotąd skupiała się na studiowaniu, zdobyciu wykształcenia i pracy w zawodzie oraz na marzeniach o dokonaniu archeologicznego odkrycia, które zapewni jej światową sławę. A teraz jedyne, o czym mogła myśleć, to usta Cane'a na swoim ciele.

Nie powinna sobie pozwalać na te mrzonki. Była biedna, a dziadek jeszcze biedniejszy. W dodatku domyśliła się, że ojczym zamierza podnieść mu czynsz. Skrzywiła się na myśl o Willu Jonesie. Ten okropny człowiek rozrzucał po całym domu pornograficzne czasopisma. Matka wielokrotnie skarżyła się, kiedy przychodziło płacić horrendalne rachunki za programy erotyczne, które oglądał. Na wszelki wypadek pilnowała córki, nie zostawiając jej nigdy sam na sam z ojczymem. Bodie nie zastanawiała się nad tym aż do dnia pogrzebu, kiedy ojczym, nie uroniwszy nawet jednej łzy, złożył jej szokującą propozycję. Oznajmił, że wie, jaką moralność mają studentki, i że przy swojej niezłej figurze mogłaby zarabiać na życie ciałem. Teraz, kiedy matka nie może się wtrącić, on chętnie wszystko zorganizuje. Założył właśnie biznes w sieci i mógłby zrobić z niej gwiazdę. Wystarczy, że zgodzi się na kilka zdjęć.

Kiedy Bodie otrząsnęła się z szoku, spakowała swoje rzeczy i przeniosła się do dziadka. Starszy pan nigdy nie zapytał jej o tę decyzję, ale od tamtej chwili stanowili zgrany zespół. Ojczym próbował nakłonić ją do powrotu, ale Bodie wolała trzymać się od niego z daleka. Namawiał ją głównie ze względu na swojego przyjaciela Larry'ego, któremu wpadła w oko i który koniecznie chciał się z nią umówić. Sporo od niej starszy facet nie przypadł jej jednak do gustu. Nie wyobrażała sobie, że mogłoby mieć wspólne zainteresowania. Nie podobało jej się też to, że kumpluje się z jej

ojczy mem. Wręcz się go brzydziła.

Bodie pokręciła głową i położyła się na łóżku z podręcznikiem biologii. Nie zamierała teraz o tym myśleć. Stawi temu czoło, kiedy przyjdzie czas. Teraz musiała skupić się na zdaniu egzaminu z przedmiotu, który lubiła, ale nie szedł jej najlepiej. Przypomniała sobie pierwszy sprawdzian z biologii. Wszystko rozumiała, bo miała doskonałego nauczyciela, jednak podczas ćwiczeń o mało się nie pochorowała, chociaż profesor w białym kitlu uśmiechał się zachęcająco, kiedy opowiadała o układzie limfatycznym. A to było tylko ustne zaliczenie laboratoriów. Bodie czuła, że egzamin końcowy będzie o wiele gorszy.

Westchnęła i zamknęła oczy, uśmiechając się lekko. Uwielbiała zajęcia z antropologii fizycznej. Tego egzaminu wprost nie mogła się doczekać. Była w jednej grupie ze swoją współlokatorką Beth Gaines. Razem z tą miłą dziewczyną wynajmowały skromne mieszkanie poza kampusem. Zanim Bodie wyjechała na weekend do domu, razem się uczyły i nawzajem przepytowały.

- Kości, kości, kości - mamrotała Beth, kolejny raz czytając o uzębieniu ssaków. - Naczelne mają takie zęby, takie występują u bardziej zaawansowanych, a takie u homo sapiens... Aaa! - wrzasnęła sfrustrowana, tarmosząc rude włosy. - Nigdy tego nie zapamiętam! - oznajmiła z rozpaczą, patrząc na roześmianą Bodie. - I nigdy ci nie wybaczę, że namówiłaś mnie na te zajęcia! Studiuję historię! Po co mi antropologia?

- Bo kiedy stanę się sławna i zacznę wykładać na uniwersytecie, będziesz mogła dołączyć do mnie i ze mną pracować - oznajmiła Bodie, puszczając do niej oczko.

Beth przyglądała się jej sceptycznie.

- Jeszcze tylko parę lat...

- O nie. Nie zapiszę się już więcej na antropologię.

Bodie tylko się wtedy uśmiechnęła. Jej przyjaciółka również nie pasowała do obecnego świata - była osobą bardzo religijną, tradycjonalistką. Trudno żyło im się wśród wyluzowanej studenckiej braci, jednak razem jakoś dawały sobie radę.

Bodie otworzyła oczy. Nigdy nie opanuje materiału, jeśli co chwila pozwoli odpląwać myślom. Zmarszczyła brwi, słysząc motyw ze *Star Treka*, i wstała, żeby odebrać telefon.

- Halo?

- Bodie? - usłyszała znajomy głos i zamarła.

- Tak? - szepnęła, zamykając drzwi, żeby nie niepokoić dziadka.

- Chciałem porozmawiać o dzisiejszym wieczorze - oznajmił Cane.

- Tak? - powtórzyła jeszcze słabiej.

- Przepraszam, jeśli powiedziałem coś niewłaściwego.

- Nie pamiętasz? - zapytała po chwili wahania.

- Straciłem przytomność - parsknął śmiechem i zaraz spoważniał. - Pamiętam, że wsiadłem do auta, a potem obudziłem się w swoim pokoju z takim bólem głowy, że musiałem natychmiast biec do łazienki.

Bodie z zapartym tchem czekała na jego dalsze słowa. Jak to możliwe, że jej świat kompletnie się zmienił, a on niczego nie pamięta?

- Powinieneś przestać zaglądać do barów.

- Skoro tracę świadomość, to chyba masz rację.

- I, prawdę mówiąc, powinieneś przestać tam szukać partnerek - dodała z goryczą.

- Znów masz rację.

- Powinieneś też chyba wrócić na terapię. Na obie terapie. - Po drugiej stronie panowało milczenie. - Szkodzisz sobie i braciom, Cane. Kiedyś pieniądze na wyrównanie szkód nie wystarczą i dorobisz się policyjnej kartoteki. Pomyśl, jak ucieszy to prasę.

Usłyszała, jak usiadł w skórzanym fotelu. Marzyła o takim meblu dla dziadka. Jego fotel, mocno już wysłużony, obity był kiepskim materiałem, który wciąż musiała cerować.

- Nie tylko ty wróciłeś z wojska z problemami - mówiła nieco łagodniej. - Inni jakoś sobie radzą.

- Ja nie bardzo - przyznał niechętnie.

- Trzeba ci znaleźć psychologa, którego polubisz i któremu zaufasz. - Pamiętała, jakiej ulgi doznała Beth, rozmawiając ze specjalistą o wypadku z dzieciństwa. - Ten ostatni chyba ci nie pasował.

- Nie. Mądrała nigdy się nawet nie skaleczył, a kazał mi wziąć się w garść i pogodzić z kalectwem...

- O matko! Powinieneś być od razu wstać i wyjść!

- Właśnie tak zrobiłem - mruknął. - A potem wszyscy narzekali, że rzuciłem terapię.

- Gdybyś powiedział dlaczego, nikt nie miałby pretensji.

- Wiem. Powinienem być wam powiedzieć.

- Czy ty przypadkiem nie jedziesz rano na pokaz bydła z Big Redem? - zapytała, myśląc o najlepszym byku Kirków.

Cane na wszelki wypadek zawsze zabierał ze sobą jednego z kowbojów do pomocy, choć bestia była łagodna jak baranek.

- To prawda, ale chciałem się upewnić, że nie nadużyłem twojego zaufania - przyznał cicho. - Głupio byłoby zrazić do siebie jedyną przyjazną duszę.

- Tank i Mallory też mogą uratować cię od krat.

- Tak, ale pewnie zapłaciliby za to paroma wybitymi zębami. A tobie włos z głowy nie spadnie.

- Miło wiedzieć, że mogę się do czegoś przydać - powiedziała rozbawiona.

W słuchawce znów zapadła cisza. Cane nie przepadał za rozmowami telefonicznymi.

- Masz chłopaka na tych swoich studiach? - wypalił nagle Cane.

- Dlaczego pytasz? - zdziwiła się, czując gwałtowne bicie serca.

- Bez powodu.

- Mam za wiele nauki, żeby uganiać się za facetami - mruknęła. - Nie jestem tak inteligentna jak wy, Kirkowie, i dobre stopnie wiele mnie kosztują.

- Skończyliśmy studia, ale też wkładaliśmy w naukę wiele pracy. No, może nie Mallory. Ten ma głowę nie od parady.

- To prawda.

- Kiedy wracasz na uczelnię?

- Jutro o świcie, bo po południu mam pierwszy egzamin. A potem resztę przez

cały tydzień.

- Wrócisz do domu, jak skończysz? - zapytał po dłuższej chwili.

- Tak. Będę tu w święta i do sylwestra. Dziadek byłby beze mnie samotny. Mamy tylko siebie.

- Jest jeszcze twój ojczym - zauważył.

- Will Jones nie należy do mojej rodziny - odparła sucho.

- Właściwie nie dziwię się twoim słowom. Nikt z nas nie miał pojęcia, co twoja matka w nim widziała.

Bodie nigdy nie przyznałaby się, co usłyszała od matki, kiedy zadała jej to pytanie. Gdy kobieta dowiedziała się, że umiera, związała się z Willem, który był obrotny i zgodził się płacić za jej opiekę medyczną i zająć się Bodie. Rzeczywistość okazała się jednak bardziej skomplikowana. Bodie przez dwa lata musiała zamykać drzwi pokoju na noc, żeby uniknąć niezdrowego zainteresowania ojczyma. A kiedy po pogrzebie matki przestał się kryć ze swoimi zamiarami, uciekła do dziadka.

- Chociaż z drugiej strony o gustach się nie dyskutuje - dodał po chwili.

- To prawda - westchnęła Bodie.

- Chodziło o pieniądze, prawda? - zapytał nagle. - Twoja matka długo chorowała i nie mogła pracować.

- Coś w tym guście - niechętnie przyznała Bodie.

- Była dumną i samodzielną kobietą, która nie poprosiłaby nikogo o pomoc, póki sama mogła coś zdziałać - oznajmił niespodziewanie Cane. - No dobrze. Nie będę już ci się naprzykrzał - dodał, gdy się nie odezwała. - Do zobaczenia, kiedy wrócisz na święta.

- Mhm.

- Jeśli powiedziałem lub zrobiłem coś niemilego, to przepraszam. Żałuję przerwy w życiorysie. Tank mówił, że byłaś wytrącona z równowagi, kiedy cię odwoził do domu.

- Nic dziwnego po tym, jak szarpałam się z olbrzymem, który ani myślał iść grzecznie do łóżka! Każdy by się zasapał! A potem po prostu zasnął.

- Och - zachichotał. - No dobrze, to właśnie chciałem usłyszeć.

- Więc nie musisz mnie przepraszać - skłamała, ciesząc się, że Cane nie widzi jej rumieńca.

- Chyba nie. Wprawdzie miałem taki szalony sen... ale to był tylko sen - roześmiał się, a Bodie przygryzła dolną wargę niemal do krwi. - Ta baba nieźle mi dopiekała. Źle to przyjąłem - przyznał z ciężkim westchnieniem.

- Tego kwiatu jest pół świata - mruknęła. - A te, co przesiadują w barach, raczej nie są szczególnie wrażliwe. W każdym razie tak mi się wydaje.

- Mógłbym ci opowiedzieć, jakie za to są...

- Nie, dziękuję!

- Lecą na kasę. To był elegancki hotel. Wielu mężczyzn ma ochotę na szklaneczkę czegoś mocniejszego przed snem. Ona siedziała przy barze i czekała na frajera, a ja akurat się napatoczyłem. Gdyby dostrzegła, że nie mam dłoni, nawet by mnie nie zagadnęła - burknął. - Wiedziałem, że powinienem wyrzucić tę cholerną protezę. Zrobiłbym to, gdyby nie kosztowała tyle co porządny wóz.

- Wiesz, że istnieją protezy bezpośrednio połączone z nerwami, tak że działają

jak prawdziwa dłoń? Protetyka ortopedyczna to fascynująca dziedzina...

- Od kiedy to interesujesz się tym tematem? - zapytał z przekąsem.

- Odkąd mam przyjaciela idiotę, który uważa się za niepełnosprawnego - odszczęknęła się.

- To my się przyjaźnimy? - zapytał, wybuchając śmiechem.

- Jeśli nie, to dlaczego wyciągam cię z baru i ratuję przed aresztowaniem?

- Tak. Chyba jesteśmy przyjaciółmi - przyznał w końcu Cane. - Ale ty masz ledwie dwadzieścia dwa lata, Bodie, a ja trzydzieści cztery. To nietypowa przyjaźń. I tak do twojej wiadomości, nie szukam na żonę lolitki.

- Myślisz, że chciałabym za ciebie wyjść?

W słuchawce zapanowało milczenie. Bodie wyczuła rosnącą furię Cane'a i uświadomiła sobie, że pomyślał o odrzuceniu go z powodu kalectwa.

- Tylko dlatego, że potrafisz odróżnić kość piszczelową od strzałkowej, kiedy ją wykopiesz? - mówiła pospiesznie dalej. - I umiesz wymówić słowo „australopitek” i wiesz, gdzie znajduje się otwór potyliczny? - ironizowała.

- Rzeczywiście, to wszystko wiem - przyznał po chwili nieco zbity z tropu.

- Poczekaj tylko, aż zrobię magisterkę i napiszę doktorat. Wtedy dopiero pogonię ci kota.

- Niezłe ambicje naukowe.

- Wiem, przede mną całe lata nauki, ale nie szkodzi, bo nie mam żadnych planów matrymonialnych. Na razie nie wyjdę nawet za faceta, który wie, gdzie jest kość krzyżowa, a gdzie kręgi szczytowe. I tyle.

- Kiedyś uwielbiałem wykopaliska - roześmiał się w końcu Cane.

- Mógłbyś wynająć kogoś, kto kopałby za ciebie, i nadal się tym zajmować. Tym bardziej że delikatne prace przy artefaktach wcale nie wymagają dwóch rąk w posługiwaniu się rydłem czy pędzelkiem. Kluczowy jest brak wstrętu do kurzu i błota.

- Co racja, to racja.

- Niedobrze jest rezygnować z tego, co się kocha.

- Z kości i brudu.

- Owszem - przytaknęła ze śmiechem.

- Pomyślę o tym.

- Pomyśl też o terapii, dobrze? Ja już zapisałam się na kilkutygodniowe letnie wykopaliska w Kolorado, więc nie będę mogła ratować cię przed aresztowaniem za demolkę w barze. I zależnie od wybranej później specjalizacji doktoranckiej być może polecę za ocean, żeby zająć się archeologią na Bliskim Wschodzie.

- Nawet o tym nie myśl - zaprotestował Cane. - Bo będę musiał pogadać z twoim dziadkiem, żeby wybił ci to z głowy.

Bodie ucieszyły jego słowa. Domyślała się, że troszczy się o jej bezpieczeństwo, wspominając swój wypadek z bombą w Iraku.

- Cane, nie pracowałabym przecież w strefie działań wojennych, tylko na strzeżonych wykopaliskach.

- Miałem do czynienia z tamtejszą pseudoochroną. To nawet nie wojskowi, tylko najemnicy, którzy pracują dla tego, kto najlepiej płaci. Nie powierzyłbym im choćby najgorszej jałówki z własnego stada.

- Sprzedawanie krów na rzeź, bo nie mogą mieć młodych, to barbarzyństwo.

- Ranczerzy żyją ze swoich stad. Bez cieląt nie ma rancza, rozumiesz? - zaśmiał się tubalnie.

- Rozumiem, ale to i tak nieludzkie. Wyobraź sobie, że nie mógłbyś mieć dzieci i wywaliliby cię z rancza.

- Najpierw musieliby mnie okiełznać. Poza tym raczej nie muszę się o to martwić - prychnął rozbawiony. - A ty chcesz mieć dzieci?

- Pewnie, że tak. Kiedyś. Kiedy już zrobię doktorat i odniosę sukces w zawodzie, tak żeby było mnie na nie stać.

- Możesz mieć z tym problem, jeśli poczekaś do dziewięćdziesiątki.

- To wcale nie zajmie mi aż tyle czasu!

- Prawdę mówiąc, jeśli będziesz czekała, aż się dorobisz, nigdy nie będziesz ich mieć - pouczył ją i po chwili dodał: - Mam nadzieję, że nie chcesz, tak jak wiele wyzwozonych kobiet, mieć dziecka od anonimowego dawcy nasienia.

- Jeśli kiedyś będę miała dzieci, to w zgodzie z naturą i z udziałem męża, jakkolwiek w dzisiejszych czasach może się to wydawać staromodne!

- Statystycznie małżeństwa nadal mają przewagę w dietności - przyznał, krztusząc się ze śmiechu.

- Cywilizacja schodzi na psy pod względem religijności i moralności - oznajmiła. - Najpierw pada sztuka, potem obyczajność, potem prawa i już po cywilizacji. Zobacz, co było w starożytnym Egipcie i Rzymie.

- Wybacz, ale muszę szykować się do wyjazdu.

- Ale ja się dopiero rozkręcałam!

- Innym razem. Ja też to studiowałam.

- Wiem. Wybacz.

Przez chwilę znów panowała cisza. Potem Cane spytał nieśmiało:

- Jesteś pewna, że nic się nie wydarzyło?

- Cane, byłeś zbyt pijany, żeby coś się wydarzyło. Czemu się tak martwisz?

- Mężczyźni mogą być nieobliczalni po alkoholu, dziecinko - powiedział, a jej zrobiło się ciepło na duszy, bo zwykle nie zwracał się do niej tak miśkocząco. - Nie chciałbym zrobić nic, co zagroziłoby naszej przyjaźni. Może bracia nie powinni cię wzywać, kiedy sobie popiję. Któregoś dnia mógłbym posunąć się za daleko i potem będziemy musieli z tym żyć.

- Proponuję bardziej radykalne rozwiązanie. Przestań się włóczyć po barach - rzuciła dowcipnie.

- Nie bądź taka zasadnicza.

- Mógłbyś się napić w domu.

- Chodzi o atmosferę tych miejsc. Nie ma jej na ranczu. Zresztą Mavie od razu wywaliliby mnie na dwór i wysypała na głowę wiadro obierek, gdybym spróbował tak się zabawić w domu.

- Rozsądna kobieta z tej waszej gosposi.

- Ale przynajmniej umie gotować - zażartował i zamilkł na chwilę. - Chyba pozwolę ci wrócić do nauki.

- Jedź ostrożnie - powiedziała bardziej miękko, niż zamierzała.

- Ty też na siebie uważaj. - W głosie Cane'a także była nietypowa czułość. - I wkładaj ciepłą kurtkę, kiedy wychodzisz na dwór, bo robi się naprawdę zimno.

- Zauważyłam.
- Chyba powinniśmy kończyć - westchnął.
- Już to mówiłeś - przypomniała, wcale nie mając ochoty przerywać rozmowy.
- Pewnie tak. Zatem dobranoc.
- Dobrej nocy, Cane.
- Lubię, kiedy wypowiadasz moje imię - wyznał nagle. - Cześć.

Rozłączył się szybko, jakby żałował chwili szczerości. Serce Bodie tłuło się jak oszalałe, kiedy odkładała telefon i otwierała drzwi pokoju. Niemal unosiła się nad podłogą z radości.

Mimo to udało jej się wrócić do nauki, a rankiem wsiąść do poobijanego auta, żeby wrócić na uczelnię.

Dziadek wyściskał ją przed wyjazdem.

- Życzę powodzenia na egzaminach.
- Dzięki. Będzie mi potrzebne. Do zobaczenia za tydzień.
- Będę tęsknił - powiedział z bladym uśmiechem.

- Ja za tobą też. To wcale nie tak długo, a kiedy przyjadę, zajmiemy się przygotowaniami do świąt. Upiekę ciasto i...

- Przestań, bo już mi ślinka cieknie.
- Widzisz? Masz na co czekać - powiedziała z uśmiechem.

Egzaminy były tak wyczerpujące, jak przewidywała. Jako pierwszą zdawała biologię. Miała przed sobą szczura laboratoryjnego rozpiętego na deseczce do sekcji, z kolorowymi znacznikami na tych częściach ciała, które miała omówić podczas egzaminu. Część pisemna przyprawiła ją o zimne poty, szczególnie część dotycząca genetyki. Z tym miała największe problemy, chociaż przeczytała wszystko, co trzeba. Następny był egzamin z antropologii fizycznej. O to się nie martwiła. Uwielbiała ten przedmiot i test napisała bezbłędnie. W końcu został jej już tylko angielski i socjologia.

Wreszcie było po wszystkim, mogła się więc spakować i jechać do domu.

- Powinnaś zostać i iść z nami świętować zakończoną sesję - powiedziała Beth. - Ted przyprowadzi swojego przyjaciela Harveya. To miły chłopak. Polubiłabyś go. Dlaczego nigdy nie umawiasz się na randki?

Bodie tylko pokręciła głową i wróciła do pakowania. Nie zamierzała opowiadać przyjaciółce o Canie z obawy, że będzie jej dokuczała.

- Skupiam się na nauce i karierze, więc nie mam czasu na romantyczne bzdury.
- Przecież to przerwa świąteczna!

- Wracam do domu na święta, a nie stać mnie, żeby jeździć w tę i z powrotem. Przykro mi.

- Cóż. Ja też wracam do domu, do Maine. Ale na początku przyszłego semestru koniecznie musisz poznać Harveya. Jest uroczy!

- Biedny Ted!

- Nie, Harvey jest uroczy, ale mój Ted jest boski! - dodała z zachwytem Beth i puściła do przyjaciółki oczko. - Chce się ze mną ożenić.

- Poważnie?

- Poważnie - przytaknęła i zasępiła się. - Nie wiem, co robić. Myślałam o magi-

sterce z historii, ale Ted wolałby szybki ślub.

- Zrób to, co dla ciebie lepsze.

- Najbardziej chciałabym wyjść za Teda. Mieć z nim kilkoro dzieci i domek z białym płotkiem - rozmarzyła się.

- Kilkoro dzieci? Ja chciałabym mieć jedno, ale najpierw wolę odnieść sukces w życiu - oznajmiła Bodie, nie dostrzegając spojrzenia, jakie posłała jej Beth.

- To dlatego nie chodzisz na randki. Gdybyś się zakochała, twój plan wzięłby w łeb.

- Czytasz mi w myślach. A teraz idź się szykować na randkę i daj mi się spakować.

- Idziemy z Tedem potańczyć. Uwielbiam to! No dobrze. Do zobaczenia w styczniu i bezpiecznej podróży. Życzę ci też wesołych świąt i szczęśliwego Nowego Roku!

- Dzięki. Nawzajem. I jeszcze życzę ci pierścionka z brylantem od Teda.

- Przy jego pensji? Wątpię. Ale brylant nie ma znaczenia. Liczy się Ted.

Bodie tylko się uśmiechnęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bodie zastała dziadka cierpiącego na atak niestrawności. Zażył sodę, środek polecany przez jego babcię, ale dolegliwości nie ustąpiły. Bóle były tak silne, że wnuczka w końcu zabrała go do lekarza; jego podejrzenia mroziły krew w żyłach.

- Myślę, że to serce - oznajmił doktor Banes. - Ciśnienie jest zbyt wysokie i słyszę szmery. Pielęgniarka zaraz zrobi elektrokardiogram, ale dziadek powinien udać się do specjalisty. Mamy dobrego w Billings w Montanie. Tam zrobią mu echo serca, żeby sprawdzić stan tętnic.

Bodie obrzuciła lekarza wymownym spojrzeniem.

- Dziadek dostaje co miesiąc pewną sumę z rancza, na którym pracował - powiedziała, błogosławiąc hojność Kirków. - Od stycznia przysługiwać mu będzie ubezpieczenie społeczne i stara się o rentę, ale to długi proces. Na razie nie mamy ani pieniędzy, ani ubezpieczenia.

- Pomyślmy, jak to załatwić - pocieszył ją doktor. - Wiem, że zdobywasz stypendia na naukę, granty i pożyczki. A także pracujesz dorywczo, żeby opłacić codzienne wydatki. Podziwiam cię za to.

- Etosu pracy nauczyłam się od dziadka - westchnęła. - Zawsze wolał zarobić na swoje potrzeby, niż dostać coś za darmo.

- To wspaniały człowiek i zrobimy dla niego wszystko, co w naszej mocy. Obiecuję.

- Dziękuję. - Bodie uśmiechnęła się po raz pierwszy w czasie tej wizyty.

- Wróćcie z wynikami badań, to ustalimy, co dalej.

- Dziękuję.

Po godzinie, kiedy wróciła z dziadkiem do gabinetu, lekarz powiedział do niego z poważną miną:

- Moja recepcjonistka umówiła cię na wizytę do kardiologa w Billings. I nie marudź. W przypadku niedomagania serca można wiele zrobić. Specjalista przedstawi ci opcje i sam wybierzesz.

- Co stwierdziłeś? - przerwał mu Rafe Mays. - Bez owijania w bawełnę.

- Myślę, że to niewydolność serca - skrzywił się lekarz.

- O nie - jęknęła Bodie.

- Wydawało mi się, że coś nie jest w porządku. - Dziadek najwyraźniej nie był zaskoczony diagnozą. - Miałem bóle w klatce piersiowej i lewym ramieniu, a czasem brakowało mi tchu. Niedługo umrę?

- Nikt ci tego nie powie. To dość częste schorzenie u osób w twoim wieku i niekoniecznie oznacza wyrok śmierci. Są różne rozwiązania medyczne, na przykład leki lub interwencja chirurgiczna.

- Żadnych operacji. Nie dam się pokroić.

- Dziadku... - zaczęła Bodie.

- Nie zmienię zdania - uciał dyskusję Rafe. - Miałem długie i dobre życie. Nie ma sensu walczyć z ciałem, które nie chce już poprawnie pracować.

- Kiedyś będę miała dzieci i chcę, żeby cię poznały! - Bodie wytoczyła najcięższe działa.

- Prawniki? - zainteresował się dziadek.

- Tak, więc masz zrobić, co każe lekarz, albo...

- Jesteś taka sama jak twoja babka - roześmiał się Rafe. - Taka właśnie była moja żona. Rozstawiała mnie po kątach i mówiła, co mam robić. Brakuje mi tego - przyznał.

- Będę się bardziej szarogęsić - obiecała Bodie - ale przyrzeknij, że spróbujesz. Zrób to dla mnie, proszę.

- Dobrze - ustąpił z westchnieniem. - Ale żadnych operacji. Kropka.

Bodie spojrzała błagalnie na lekarza.

- Wiele możemy poprawić dzięki lekom - odpowiedział na jej nieme pytanie. - Poczekamy na wyniki badań, a potem zdecydujemy. Nie wyprzedzajmy czasu, dobrze? Kiedy oboje skinęli głowami, lekarz wstał.

- A ty idź do domu i odpocznij - zwrócił się do pacjenta. - Człowiek godzi się z losem, jeśli dać mu czas. To, co z początku wydaje się nie do zniesienia, powoli udaje się opanować. Nie lubię być taki bezradny - rozżłościł się na koniec.

- Rozumiem. I dziękuję - powiedziała cicho Bodie.

- Ja też dziękuję. - Rafe podał lekarzowi dłoń na pożegnanie. - Również za to, że powiedziałaś mi, na czym stoję. Dlatego lubię przychodzić do ciebie - dodał i uśmiechnął się. - Nie cierpię być traktowany jak dziecko.

- Wiem, o czym mówisz - przyznał doktor.

Zmartwiona Bodie wróciła z dziadkiem do domu.

Tam czekała ich kolejna niemiła niespodzianka. W salonie siedział ojczym Bodie. Zupełnie nie spodobała jej się myśl, że dysponuje kluczem. To był dom jej matki. A ten człowiek nie miał prawa wdzierać się tu bez zaproszenia, nawet jeśli był teraz właścicielem nieruchomości. Bodie natychmiast mu o tym powiedziała.

Will Jones tylko spojrzał na nich wyniośle. Potem przyjrzał się Bodie, która miała na sobie dopasowany sweterek i równie dopasowane dżinsy, z taką miną, że zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Nie masz prawa nachodzić mnie w moim domu! - wykrzyknął Rafe.

Jones tylko wygodniej rozparł się w fotelu dziadka.

- Po co przyszedłeś? - warknęła Bodie.

- Po czynsz - odparł ojczym. - Właśnie podniosłem go o dwieście dolców. Nie utrzymam się z tej żalostnej polisy, którą wykupiła twoja matka. A nie miałbym nawet tego, gdybym się w porę nie zakreślił.

- Łatwo temu zaradzić. Znajdź sobie robotę.

- Ależ pracuję - odparł z przebiegłym uśmieszkiem. - I dostaję kasę. Ale potrzebuję więcej.

Bodie domyślała się, że na pornografię. Zrobiło jej się niedobrze. Najchętniej wyrzuciłaby go z domu i ziemi, która była w jej rodzinie od trzech pokoleń. Nie wiedziała jednak, jak awantura wpłynie na stan dziadka. Nie powinien się denerwować,

więc ugryzła się w język.

- Zajmę się tym - powiedziała ojczymowi. - Ale dziś bank jest już zamknięty, więc musisz poczekać do jutra.

- Och, możesz wypisać mi czek.

- Nie mam tyle na koncie - wyznała niechętnie, biorąc głęboki wdech. - Muszę podjąć oszczędności. Zresztą nie mam książeczki czekowej. Posługuję się kartą debetową.

Za zaoszczędzone pieniądze Bodie miała wymienić opony w samochodzie, ale nie mogła przecież pozwolić, żeby dziadek stracił dom. Na pewno nie po tym, co dziś usłyszał.

Powiedziałyby Willowi o stanie zdrowia dziadka, ale dla niego to było bez znaczenia. Kiedy matka Bodie umierała w szpitalu, siedział w domu i oglądał filmy. To córka i Rafe byli przy niej i załatwiali wszystkie formalności. Ojczym stwierdził, że nie jest w stanie się tym zająć, ale od razu zgłosił się do firmy ubezpieczeniowej i zażądał wypłaty z polisy. Równie szybko przedstawił testament z podpisem matki, zgodnie z którym był jedynym spadkobiercą. Wydawało się to dziwne, bo matka dawno obiecała wszystko Bodie. Może na łożu śmierci zmieniła zdanie? To się zdarzało, więc Bodie pogodziła się z losem i nie kwestionowała jej ostatniej woli, tracąc nawet dom. W końcu ojczym płacił wszystkie rachunki za leczenie w czasie choroby matki.

- Przyjdę z samego rana - zapowiedział zirytowany Will Jones. - Lepiej, żebyś miała tę kasę.

- Bank działa dopiero od dziewiątej - przypomniała mu lodowatym tonem. - Jeśli przyjdiesz wcześniej, będziesz musiał zaczekać.

Ze złością w oczach wstał i podszedł blisko do Bodie. Miał nadwagę, brudne i przetłuszczone włosy, a jego ubranie nie pachniało świeżością. Cofnęła się, hamując odruch wymiotny.

- Nie lubisz mnie, co? - mruknął. - Taka z ciebie damulka? Cóż, dumą się nie najesz. Wyleczymy cię z niej błyskawicznie - oznajmił złośliwie i przeniósł spojrzenie na teścia. - Nie powinienem był się zgadzać, żebyś tu został. Od kogoś innego miałbym dwa razy większy czynsz - warknął.

- Zapewne. Bogacze już się ustawiają w kolejce do domu z przeciekającym dachem i przegniłym na wylot gankiem - wycedziła Bodie.

Will uniósł dłoń, jakby chciał ją uderzyć, ale Bodie nie ustąpiła, patrząc na niego wyzywająco.

- Bodie, nie! - krzyknął przerażony Rafe.

- No, uderz - prowokowała ojczyma, trzęsąc się z wściekłości. - Po pięciu minutach będziesz miał na karku szeryfa z nakazem aresztowania.

Will opuścił rękę, nagle przestraszony. Wiedział, że Bodie nie rzuca słów na wiatr.

- Nic z tego - oznajmił bezczelnie. - Nie dam się sprowokować. Nie popsujesz mi opinii w moim mieści. Poza tym nie chce mi się brudzić rąk.

- Masz szczęście, bo nie uszedłbyś cało - wysyczała przez zaciśnięte zęby.

- A o tym to się jeszcze przekonamy - rzekł groźnie i rozejrzał się dookoła. - Może lepiej zacznij szukać innego lokum. Najlepiej w jakimś rządowym programie, jeśli znajdziesz coś wystarczająco taniego!

Bodie zacisnęła drobne dłonie w pięści, wiedząc, że teraz on próbuje ją sprowokować. Doskonała strategia: skierować jej groźby przeciwko sobie samej. Nie wpadła jednak w tę prymitywną pułapkę, była na to zbyt mądra. Uśmiechnęła się tylko, żeby wiedział, że go przejrzała.

- W każdej chwili mogę was stąd wyrzucić - zagroził.

- Oczywiście. Pod warunkiem że udowodnisz brak wpłat za czynsz. Właśnie. Poproszę o potwierdzenie, kiedy dam ci pieniądze. A jeśli będziesz chciał nas usunąć pod innym pretekstem, lepiej, żebyś miał właściwe uzasadnienie i nakaz sądowy. I szeryfa pod ręką, bo ci będzie potrzebny - dodała z chłodnym uśmiechem.

Will zaklął, obrócił się na pięcie i wypadł z domu, trzaskając drzwiami.

Dziadek, początkowo zarumieniony po wizycie u lekarza, teraz był śmiertelnie blady. Zaniepokojona Bodie podbiegła do niego i pomogła mu usiąść w fotelu.

- Powoli. Przepraszam, nie powinnam się z nim przy tobie kłócić... - Urwała, słysząc jego śmiech.

- Do diabła, dziewczyno! Jesteś dokładnie taka jak moja matka. Kiedyś, gdy byłem mały, sąsiad próbował ukraść nam krowę, twierdząc, że zabłąkała się na jego ziemię i teraz należy do niego. Matka wyrwała mu sznur, obijała go drugim końcem, a potem zaprosiła do domu, żeby mógł zadzwonić po szeryfa, aby ją aresztował - powiedział z błyskiem w oku. - Jego duma tak ucierpiała, że zmył się jak niepyszny i już się u nas nie pokazał. Nikomu się nie przyznał, że pobiła go kobieta.

- Rany boskie!

- Masz po niej imię. Nazywała się Emily Bolinda, pieszczotliwie Bodie.

- Zapomniałam o tym - przyznała z uśmiechem. - Jak się czujesz?

- Mam zadyszkę - przyznał i niecierpliwie machnął ręką. - Słuchaj, w ten czy inny sposób on będzie próbował się nas stąd pozbyć. Nie chodzi o pieniądze, tylko o zemstę. Nienawidzi mnie. Próbowałem powstrzymać twoją matkę przed ślubem, ale nie słuchała. Przysięgałem, że znajdziemy dla was pieniądze, ale potrafiła myśleć tylko o tobie. Wiedziała, że na raka nie ma lekarstwa, a bez ubezpieczenia sobie nie poradzi. Zrobiła to, co uznała za najlepsze dla was obu - westchnął i pokręcił głową. - Myliła się. Znaleźlibyśmy inny sposób.

- To nie w porządku, że ludzie nie mogą się leczyć, bo są biedni - powiedziała Bodie, siadając na wprost niego. - To nie fair, że niektórzy mieszkają w pałacach i jeżdżą limuzynami, podczas gdy inni koczują w kartonach. System powinien być bardziej sprawiedliwy.

- Zgadzam się z tobą - zapewnił dziadek i znów westchnął. - Kiedy idziemy do tego lekarza?

- Zadzwońię do recepcjonistki doktora Banesa i dowiem się - obiecała i poszła po telefon.

Teraz martwiła się nie tylko o zdrowie dziadka, ale też groźbami ojczyma. Bodie wiedziała, że celowo podniósł opłaty, a kiedy nie uda mu się zaszkodzić im finansowo, poszuka innego sposobu, żeby ją upokorzyć. Nigdy jej nie lubił, bo od razu go przejrzała. Wiedziała też, że czyhał na rodową biżuterię, szczególnie komplet złożony z naszyjnika oraz pierścionka z brylantami i szmaragdami. Bodie dostała je od matki parę miesięcy przed jej śmiercią i od razu schowała. Nie zamierzała sprzedawać swojego dziedzictwa. Ojczym jednak kiedyś widział klejnoty i był wściekły, kie-

dy okazało się, że legalnie nie wejdzie w ich posiadanie. Upierał się, że jako mąż zmarłej ma prawo do wszystkiego, co do niej należało, ale prawnik pokazał mu odręczną notatkę i przedstawił świadków, którzy potwierdzili, że dała biżuterię Bodie.

Zatem wojna trwała. Nie chodziło jedynie o precjoza, ale też o to, że przyjaciel ojczyma pragnął Bodie. Wyśmiała go, kiedy zaprosił ją na randkę. Z opowieści matki wiedziała, że ten człowiek spotykał się z prostytutkami i filmował te schadzki. Will wspomniał kiedyś, że zabawnie byłoby nakręcić taki filmik z Bodie, ale matka zrobiła mu wtedy karczemną awanturę. Ten jeden, jedyny raz Jones ustąpił, jednak już sama myśl o jego intencjach mroziła dziewczynie krew w żyłach.

Nienawidziła go z całego serca. Kiedyś rozważała nawet możliwość poproszenia braci Kirków o pomoc, ale oni mieli wtedy wiele własnych kłopotów z ranczem. Ich sytuacja uległa znacznej poprawie dopiero, gdy Mallory poślubił dziedziczkę fortuny Branntów. Morie była córką Kinga Brannta, jednego z najbogatszych ranczerów w Teksasie. Mallory dostał od teścia dwa, warte krocie, rozplodowe byki, których pilnowano jak oka w głowie.

Wizyta u kardiologa została umówiona na najbliższy poniedziałek. Niespodziewanie szybko, według słów recepcjonistki, bo zwykle trzeba było czekać kilka miesięcy. Problemy z sercem Rafe'a tak zaniepokoiły doktora Banesa, że wymógł na specjalistce pilną wizytę.

Bodie udała się rankiem do banku po pieniądze. Wyplaciła oszczędności, wiedząc, że będzie musiała szybko znaleźć jakąś dorywczą pracę, żeby starczyło na leki dziadka i lepsze jedzenie. Nie mieli pieniędzy. Żyli od wypłaty do wypłaty, bez luksusów, nie mogąc sobie nawet pozwolić na hamburgera czy frytki w barze. Bodie gotowała jak najprościej i najtaniej, żeby każde danie starczyło przynajmniej na dwa dni.

Wiedli skromne i niełatwe życie. Czasem czuła się winna, że poszła na studia, ale wiedziała, że dzięki temu w przyszłości dostanie lepiej płatną pracę. Teraz uznała jednak, że studia magisterskie będą musiały poczekać. Po uzyskaniu licencjatu w czerwcu znajdzie pracę na pełen etat, popłaci rachunki i zaoszczędzi pieniądze na dalszą edukację. Być może magisterka się nawet wydłuży, jeśli będzie musiała na przemian studiować i pracować. Wiele osób tak robiło. Bodie też mogłaby, gdyby dzięki temu dziadek był zdrowszy i spokojniejszy. Wiedziała, że w tej chwili tak samo jak ona jest przerażony ich sytuacją finansową.

Rozważał nawet, aczkolwiek bardzo niechętnie, możliwość zwrócenia się do Kirków o pomoc. Bodie nie wspomniała, że odrzuciła propozycję Tanka. Zresztą teraz nie mogłaby wrócić do tej rozmowy, bo wyjechał do Europy w interesach. Co gorsza, Mallory'ego i Morie także nie było w kraju.

- Można powiedzieć, że przyjaźnisz się z Cane'em. Spróbuj z nim porozmawiać.

- On nie znosi, gdy ludzie proszą go o pieniądze. Szczególnie ostatnio - powiedziała, czując się niezręcznie.

- Pewnie przez swoje kalectwo sądzi, że teraz kobiety widzą w nim wyłącznie pieniądze - zauważył dziadek.

Bodie nie mogła mu opowiedzieć o ostatniej przygodzie sąsiada ani wyjawić, że kobieta, która odrzuciła Cane'a, musi mieć nie po kolei w głowie. Na samą myśl

o jego przystojnej twarzy, muskularnym ciele i pieśczołach zrobiło jej się gorąco. Westchnęła. Nie powinna śnić na jawie, tym bardziej że on nawet nie pamiętał, co się stało. Uznała, że tak jest lepiej.

- Damy sobie radę - zapewniła dziadka.

- Nawet nie myśl o rzuceniu nauki - powiedział, mrużąc oczy. - Za dużo włożyłaś pracy i wysiłku w to, żeby stać się jedyną wykształconą osobą w naszej rodzinie. Ja nie skończyłem nawet liceum. Musiałem iść do pracy, kiedy zachorowała matka. To pułapka. Myślisz, że wrócisz do szkoły, kiedy już trochę zarobisz, ale pojawia się coraz więcej potrzeb, które musisz najpierw zaspokoić. Jeśli przerwiesz naukę, nigdy do niej nie wrócisz. To byłaby porażka, Bodie.

- Masz rację - przyznała i uściskała go mocno. - Tylko ty i ja przeciwko całemu światu.

- Popieram - zgodził się z uśmiechem, ale szybko spoważniał. - Nie mam ochoty na wizytę u kardiologa. Nie lubię ludzi, których nie znam. Pewnie od razu będzie chciał zamknąć mnie w szpitalu i pokroić.

- Nie pozwolimy mu - skłamała, co go wyraźnie uspokoiło. - Krok po kroku poradzimy sobie z sytuacją.

W końcu Rafe z wahaniem skinął głową.

Kardiolog okazał się mężczyzną niewiele młodszym od dziadka. Ku zaskoczeniu Rafe'a natychmiast przeprowadzono badanie, które pozwalało zajrzeć do jego serca bez interwencji chirurgicznej.

- Co za cholerstwo, mówię ci! - powiedział dziadek, kiedy czekali pod gabinetem na opis badania. - Widziałem na ekranie swoje wnętrze!

- Nowoczesna technologia bywa zdumiewająca - przyznała Bodie, wierząc się nerwowo na krześle.

W czasie badania dziadka odbyła długą rozmowę w rejestracji. Koszt wizyty i badań był szokujący. Niemało się natrudziła, żeby zgodzono się na spłatę należności w ratach. Okazało się jednak, że na dalszą naukę jej po prostu nie stać. Musiała postarać się więc o wybitne osiągnięcia w tym ostatnim semestrze. Nie miała pojęcia, jak tego wszystkiego dokona.

- Nie obgryzaj paznokci - skarcił ją dziadek.

- Och, po prostu się denerwuję.

- Ja też.

Bodie wstała i ze sterty czasopism wybrała sobie coś do czytania. Kiedy zorientowała się, że wzięła gazetę o wędkarstwie i polowaniach, szybko oddała ją dziadkowi i zaczęła obserwować ludzi w poczekalni. Niektórzy byli zmartwieni, inni zmęczeni lub zaniepokojeni. Świadomość, że nie są sami w nieszczęściu, trochę ją pocieszyła.

Czas dłużył się niemiłosiernie, więc przestała spoglądać na zegar. W poczekalni było coraz więcej osób. A potem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki czas przyspieszył, a ludzie zaczęli znikać w gabinetach. W końcu pielęgniarka wywołała nazwisko dziadka.

Bodie weszła z nim, nastawiona na walkę o prawo do jej obecności w gabinecie, jednak pielęgniarka tylko posłała jej uśmiech i dostawiła drugie krzesło do biurka lekarza.

Doktor wszedł zaafierowany do pokoju, wodząc oczami po trzymanym w dłoni tablecie. Po chwili uniósł wzrok na dwójkę oczekujących.

- Nie zalecam operacji - oznajmił, wywołując westchnienie ulgi Rafe'a i lzy Bodie.
- Nie chodzi o to, że sytuacja nie jest niebezpieczna - zastrzegł, odkładając tablet, siadając za biurkiem i splatając dłonie. - To niewydolność serca.

- Och, nie! - krzyknęła przerażona Bodie.
- To nie tak, jak myślisz - powiedział lekarz, unosząc dłoń. - Całkiem nie tak. Można z tym żyć, przyjmując leki i zmieniając tryb życia. Nie jest pan jeszcze kandydatem do domu pogrzebowego.

Bodie zadrżała. Tak straszliwie się bała!
- To moja prawa ręka - oznajmił Rafe, uśmiechając się do wnuczki. - Rządzi i opiekuje się mną, a także karmi.

- Żadnych smażonych potraw - ciągnął lekarz. - Tylko chude jedzenie. Ostrożnie z wołowiną i tłustymi mięsami, szczególnie solonymi i zawierającymi konserwanty. Dużo warzyw i ryb.

- Nie cierpię ryb - skrzywił się Rafe.
- To będziesz je musiał polubić, tak jak ja w nich zasmakowałem - uśmiechnął się kardiolog. - Pielęgniarka poda wam najważniejsze informacje przy wyjściu. Dostaniesz trzy leki. Za dwa miesiące zapraszam na kontrolę, chyba że wcześniej wystąpią jakieś niepokojące symptomy. Najpierw sprawdzimy, jak zadziałają leki. Jeśli zahamują postęp choroby, będziemy na dobrej drodze. Jeśli nie, zastanowimy się, co robić.

Zabrzmiało to dość złowieszczo, ale Bodie, nie chcąc straszyć dziadka, zauważyła:

- Wygląda to nieźle.
- Owszem - przyznał Rafe. - Nie mogłem znieść myśli o szpitalu i operacji. Nie wiele bardziej podobają mi się te badania, które zlecił mój lekarz.

- Wiem. Rozmawiałem z nim. Mówił, że będziesz walczył jak lew, jeśli zlecę cewnikowanie serca.

- Nie walczyłbym, tylko wrócił do domu i wyłączył telefon - oznajmił Rafe z uśmiechem.

- Podejrzewałem coś takiego. A jednak to najlepszy sposób, żeby sprawdzić, co dokładnie się dzieje w pracującym sercu i czy tętnice są drożne.

- Pański technik, który przyglądał się mojemu sercu przez tę piekielną maszynę, powiedział, że wydają się w porządku.

- Wiem, dlatego nie będę nalegał na cewnikowanie w tej chwili. Ale zlecę jeszcze badanie RTG. Potem je powtórzymy. Jeśli znajdą niekorzystne zmiany, konieczne będą bardziej inwazyjne badania - ostrzegł uczciwie.

- Jak w opowieści o latającym koniu.

- Słucham? - Lekarz nie zrozumiał.

- Taka tam historyjka. Skazaniec poprosił króla, żeby darował mu rok życia, to nauczy jego konia latać. Król mu nie uwierzył, ale zgodził się dać mu szansę. Skazaniec opuścił więzienie i spotkał przyjaciela, który upierał się, że niemożliwe, żeby nauczył konia latać. Skazaniec tylko się roześmiał. Miałem jutro umrzeć, a zyskałem rok, powiedział. Przez rok koń może zdechnąć, król może umrzeć, ja mogę zgi-

nać... a może uda mi się nauczyć konia latać. Morał jest taki, że póki życia, póty nadziei.

- Zapamiętam to sobie. Świetna opowieść - uśmiechnął się kardiolog i wyciągnął rękę na pożegnanie. - Proszę iść do domu, przyjmować leki i dzwonić do mnie w razie problemów. Albo lepiej do moich pielęgniarek. Często wiedzą więcej niż ja - dodał ze śmiechem.

Bonnie i Rafe również się roześmiali.

- Ulżyło mi - przyznał dziadek w drodze do domu. - Naprawdę bałem się, że będzie chciał mnie operować.

- Ja też umierałam ze strachu - przyznała Bonnie. - Teraz mi lepiej.

Tak było, dopóki nie weszła do apteki i nie dała farmaceucie recepty do zrealizowania. Kiedy usłyszała cenę leków, mało nie zemdląła.

- To jakiś żart! - zawołała przerażona.

- Przykro mi - powiedział współczująco farmaceuta. - Mogę wydać zamienniki, które kosztują nieco mniej, ale to i tak będzie spora suma - ostrzegł i podał kwotę równą czynszowi po podwyżce. - Wiem, jak pani ciężko. Mam chorą matkę, której kupuję leki na serce. Gdyby nie praca moja i żony, nie byłoby nas na nie stać. Ubezpieczenie pokrywa zakup tylko niewielkiej części z nich. Korzystamy też z aptecznej zniżki.

- Ludzie nie powinni być zmuszani do wyboru między ogrzewaniem, jedzeniem a zakupem leków - jęknęła Bodie.

- Doskonale panią rozumiem.

Zacisnęła zęby, zastanawiając się, za ile mogłaby sprzedać precjoza matki. Nie zamierzała pozwolić dziadkowi umrzeć z powodu braku pieniędzy.

- Proszę zrealizować receptę - powiedziała, siląc się na spokój. - Mam trochę biżuterii po matce, którą mogę sprzedać. Wystarczy aż nadto.

- Tak mi przykro - zafrasował się farmaceuta. - Ja musiałem sprzedać pierścionek zaręczynowy po babci, żeby zapłacić za naprawę samochodu - szepnął ze smutkiem. - A miała go kiedyś dostać moja córka.

- Koniec końców to tylko rzeczy. Ludzie są ważniejsi.

- Na ten temat nie będę się spierał. Zaraz przygotuję leki.

Bodie odwiozła dziadka do domu i poszła do swojego pokoju. Wyciągnęła spod łóżka pudełko ze zdjęciami, a z niego pierścionek i naszyjnik. Przyjrzała im się z mieszanymi uczuciami, pogłaskała i zatrzasnęła wieko pudełka. Nie mogła teraz kierować się sentymentami. Musiała myśleć o dziadku, nawet jeśli rozstanie z wiekowymi świedelkami nie było łatwe. Matka je uwielbiała i pokazywała córce wiele razy, opowiadając związane z nimi historie. Bodie nauczyła się je cenić, jeszcze zanim poznała ich wartość. Łączyły ją z przodkami z Hiszpanii.

Po namyśle uznała jednak, że skoro nie ma widoków na posiadanie dzieci, nie będzie ich miała komu przekazać. Nie rozglądała się nawet jeszcze za mężem. Dzięki takim myślom było jej nieco łatwiej zabrać pudełko do lombardu w mieście.

- Jest pani pewna swojej decyzji? Widać, że to stara rodzinna pamiątka - upew-

niał się sprzedawca.

- Okoliczności mnie zmusiły do sprzedaży - przyznała. - Dziadek jest bardzo chory i nie stać nas na leki.

- Wielka szkoda.

- Tak, wiem - westchnęła, walcząc ze łzami.

- Na razie schowam je w sejfie. Może da pani radę je odkupić.

- Naprawdę mógłby pan to zrobić? - zapytała zaskoczona. - To może przecież potrwać...

- To poczekam parę miesięcy - zapewnił z uśmiechem.

- Dziękuję - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Bardzo proszę. I niech pani nie zapomni kwitu.

- Jeszcze raz dziękuję.

- Oto pani gotówka - oznajmił mężczyzna, wręczając jej okazańszy, niż się spodziewała, plik banknotów. - Niech pani na siebie uważa.

- Będę - zapewniła, wpychając pieniądze do portfela.

- Do zobaczenia za kilka miesięcy.

- Do zobaczenia - pożegnała go z bladym uśmiechem i odwróciła się do wyjścia, niemal wpadając na jakiegoś kowboja.

Na jej widok mężczyzna zmarszczył brwi i zwrócił się do sprzedawcy, który był jego szwagrem:

- Czy to przypadkiem nie była Bodie?

- Owszem. Jej dziadek poważnie zachorował, więc zastawiła rodowe klejnoty, żeby kupić mu leki - oznajmił, pokazując kowbojowi biżuterię. - Nie powinno tak być.

- To prawda - odparł kowboj, sięgając po telefon.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Za część pieniędzy ze sprzedaży biżuterii Bodie kupiła dziadkowi leki. Resztę schowała pod łóżkiem na czarną godzinę. Wiedziała, że zapasu nie starczy na długo i natychmiast musi znaleźć jakąś dorywczą pracę.

Najpierw przejrzała ogłoszenia w gazecie, ale nic nie znalazła. Pomyślała, żeby spróbować w którymś ze sklepów w Jackson Hole, ale spadł śnieg i drogi stały się nieprzejezdne. Zresztą jej samochód nie zniósłby codziennych podróży do miasta i nie miałyby czym zapłacić za benzynę.

Na wszelki wypadek sprawdziła też dwie miejscowe restauracje i jeden bar szybkiej obsługi, ale nikt nie szukał pracowników, nawet do zmywania naczyń.

Wróciła do domu zniechęcona, z poczuciem zmarnowanego czasu i pieniędzy na paliwo. Wprawdzie zostawiła w kilku miejscach podanie o pracę, ale wszędzie uprzedzono ją, że nie planują nikogo zatrudnić.

W przyпіływie desperacji szukała pracy nawet na ranczu – nie u Kirków, to byłoby zbyt upokarzające – ale w dwóch innych, leżących nieopodal. Na jednym z nich było zajęcie dla operatora ciężkiego sprzętu, ale Bodie nie miała odpowiednich kwalifikacji i nie zamierzała ich zdobyć.

Po kilku dniach okazało się, że dziadek dobrze zareagował na leki. Lepiej mu się oddychało, ożywił się i poczuł przyпіływ sił. Bodie uśmiechała się, udając, że wszystko jest w porządku, ale nadal się martwiła. Pracowała wprawdzie dorywczo w sklepie w Billings, niedaleko uczelni, ale dojazd stąd był zbyt czasochłonny. W dodatku nie stać jej było na benzynę. Nie miała pojęcia, jak zapłaci za leki w przyszłym miesiącu albo wyższy czynsz, o świątecznych prezentach nie wspominając. Poszła do swojego pokoju i gorzko się rozplakała. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zdołowana, a nie chciała, żeby dziadek się zorientował.

W końcu wytarła łzy i poszła do kuchni przygotować posiłek, ufna w to, że Bóg nad nią czuwa, a wiara pomoże jej przetrwać najgorsze chwile. Coraz częściej wydawało jej się, że już tylko tyle jej pozostało.

Potem ścięła nieduży świerk rosnący obok domu i obsadziła w starym stojaku. Wyjęła ozdoby choinkowe, które od wielu lat były w jej rodzinie. Ubieranie choinki trochę poprawiło jej nastrój. Przynajmniej do czasu, kiedy nie zjawił się Will Jones, żądając zapłaty za ścięcie jego drzewka.

– Twojego drzewka?! – krzyknęła Bodie. – Matka zasadziła je, zanim zachorowała!

– To mój dom, moja ziemia i moje drzewa – oznajmił arogancko. – Wisisz mi pięćdziesiąt dolców za choinkę. Tyle kosztują na placu przed sklepem.

Bodie zbladła. Nawet nie pomyślała o tym, ścinając drzewko. Od lat tak robili. Matka właśnie po to je posadziła.

– Możesz zapłacić razem z czynszem – dodał z chłodnym uśmiechem. – No wła-

śnie, a jak sobie radzisz? Nie masz przecież pracy. Czyżby nauka przeszkadzała ci w zarabianiu na życie?

- Staralam się o pracę w całym mieście - odparła cicho.
- Ale wszystkie kierownicze stanowiska były zajęte, co? - ironizował.
- Dostaniesz swoje pieniądze.

Jones rozejrzał się wokół, szukając innej zaczepki.

- Ależ tu brudno - zauważył z udawanym zgorszeniem.
- Nie zdążyłam jeszcze dziś odkurzyć, bo szukałam pracy - przypomniała.
- Słabo się starasz, ale mam coś dla ciebie - oznajmił, obrzucając ją głodnym

wzrokiem. - Zawsze możesz przyjść do mnie.

- Dam sobie radę - powiedziała szybko, przeczuwając, co mógłby jej zaproponować.

- Naprawdę spodobałaś się Larry'emu. Chętnie spotkałby się z tobą u mnie. Zaopiekuję się tobą, jeśli się boisz - powiedział i roześmiał się ze swojego niewybrednego dowcipu.

Bodie wiedziała, co miał na myśli. Ojczym już wcześniej chciał sfilmować jej randkę z Larrym.

- Do takiej pracy poszukaj kobiety spod latarni - odparła lodowatym tonem.
- Takaś niedotykalska? - prychnął. - A może lesbijka?

- Nie. Ale gdyby tak było, nie wstydziłabym się do tego przyznać.

- Wszyscy wiedzą, jakie to ziółka te studentki - mruknął. - Jesteś taka sama, tylko nie chcesz, żeby ktokolwiek się dowiedział.

- Nieprawda. Żyję zgodnie z boskimi przykazaniami.

- Święta Bolinda - rzucił kąśliwie. - Pewnego dnia przeżyjesz szok. Powinnaś nauczyć się pokory i przestać zadzierać nosa, bo kiedyś ktoś ci go utrże.

- A ty pewnie chciałbyś zgłosić się do tego na ochotnika.

- Może i tak - warknął. - Możecie tu zostać, dopóki będziecie płacić czynsz i robić, co każę - dodał i znów się rozejrzał po domu. - Możliwe, że trzeba będzie trochę tu odnowić, a ty ze starym będziecie musieli się wynieść na czas remontu. Może potrwa rok, a może dwa? - myślał na głos. - Nikt mi nie zarzuci, że was wywaliłem, i nie będziesz mogła mnie o nic oskarżyć! - ucieszył się z własnego pomysłu.

- Gołym okiem widać, że dom wcale nie jest w tak strasznym stanie!

- Ale ciemną nocą coś mogłoby się stać z dachem - powiedział powoli.

Pod Bodie ugięły się kolana. Nie było jej stać na wynajem tego domu, jak miałyby zapłacić w innym miejscu? Nie wspominając już o kosztach przeprowadzki. W kieszeni miała tylko kilka dolarów, które ledwie starczą na zakupy spożywcze i benzynę. Will dobrze o tym wiedział, dlatego tak szeroko się uśmiechał.

- Przestraszyłaś się, co? I dobrze. Pomyśl o tym. I lepiej nie psuj mi humoru, bo mogę ci kazać wyprowadzić się stąd w każdej chwili. Z powodu niespodziewanych okoliczności oczywiście.

- Doniosłabym na ciebie.

- Że co?

- O twoich groźbach sprzed chwili.

- A jak to udowodnisz? - zapytał i znów się uśmiechnął, widząc jej przerażenie. -

Właśnie! Może ten remont będzie tu potrzebny od zaraz? I zmieniłem zdanie. Za drzewko musisz zapłacić w przyszłym tygodniu - oznajmił. - Jeśli nie, masz przyjść do mnie w sobotę i spędzić trochę czasu z Larrym. Poświęcisz nam kilka godzin. To nie tak wiele, prawda?

- Prędzej zdechnę.

- Ach tak? Skoro już teraz nie stać cię na leki dla starego, skąd weźmiesz kasę za miesiąc? A za dwa? - zapytał i obrzucił ją lubieżnym spojrzeniem. - Mogę sprawić, że twoje problemy znikną. A nawet płacić za jego leki. Jak bardzo byłabyś mi wdzięczna? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. - Zastanów się nad tym, co powiedziałem - poradził ze śmiechem - i zacznij myśleć tak jak ja.

Bodie nadal nie mogła wydobyć głosu ze złości, kiedy Will wyszedł. Na szczęście dziadek w tym czasie okrywał róże przed chłodem i nie słyszał ani słowa z tej rozmowy.

- Czy to był Will? - zapytał ze złością po powrocie z podwórka. - Przecież zapłaciłszy czynsz.

- Ścięłam drzewko.

- Rany boskie! Chyba nie każe nam płacić za choinkę, którą zasadziła moja córka na własnej ziemi?

- Jasne, że nie - skłamała, zmuszając się do uśmiechu. - Wszystko w porządku, dziadku. Może masz ochotę na kawałek ciasta i kawę bezkofeinową?

Bodie kolejny raz rozważała udanie się do Kirków po pomoc. Wszystko, włącznie ze schowaniem dumy do kieszeni, było lepsze niż pomysł ojczyma. Zastawiła już biżuterię matki i nie posiadała nic więcej cennego. Nie miała pracy, pieniędzy i nadziei, za to była pełna obaw, że stan dziadka się pogorszy i go straci. Ponadto jej auto zaczęło wydawać podejrzane dźwięki przy hamowaniu, co zapewne oznaczało wizytę w warsztacie. Bodie nie stać było na naprawę. Żałowała, że nie posiada jakichś przydatnych umiejętności, które pozwoliłyby jej dorobić. Talent i entuzjazm przy wykopywaniu kości nie mogły jej się w tej chwili do niczego przydać.

Westchnęła ciężko i potarła niewielki kamyk, który zawsze nosiła w kieszeni. Dostała go od matki, a ona od swojej matki. Babcia znalazła go tam, gdzie mieszkała w dzieciństwie, i zachowała w swojej kolekcji. Był więc w rodzinie od trzech pokoleń. Bodie nazywała go kamieniem zmartwień i pocierała zawsze, kiedy była przygnębiona. Lubiała jego obły kształt. Był dość ciężki, podejrzewała więc, że pod gładką powierzchnią może się kryć jakaś ruda. Żałowała, że nie studiowała geologii. Miałaby do dyspozycji całą kolekcję kamieni babci, która ozdabiała nimi parapety w domu. Bodie nie miała pojęcia, jakie to skały, ale to było bez znaczenia, bo liczyła się ich wartość sentymentalna.

- Znów się zamartwiasz i bawisz kamieniem - zauważył dziadek, kiedy weszła do salonu, w którym odpoczywał. - Twoja babka też obracała go w dłoni, kiedy się nad czymś zastanawiała. To chyba dziedziczne.

- Możliwe - roześmiała się Bodie i wyjęła swój amulet z kieszeni. - Ciekawe, co to za skała.

Ciemnoszary kamień o lekkim połysku był klinowaty, miał zaokrąglone krawędzie i naprawdę sporo ważył jak na swoje rozmiary. W miejscu, gdzie kawałek odprysnął, było widać, że wewnątrz ma nieco inny kolor i fakturę.

- To tylko kamień, kochanie - powiedział dziadek z westchnieniem. - Twoja babcia lubiła zbierać kamyki o nietypowych kształtach, ale żaden z nich nie kryje w środku diamentu. A szkoda.

- Ano szkoda - roześmiała się i schowała swój skarb.

Dziadek westchnął i wsunął dłonie do kieszeni niebieskich džinsów. Bodie przyjrzała mu się zaniepokojona. Był siwy, wysoki, szczupły i wyglądał blado.

- Dobrze się czujesz?

- To tylko niestrawność. Pewnie przez tę meksykańską potrawę, którą zjedliśmy wczoraj. Była pyszna, ale ostra jak diabli - powiedział, kładąc rękę na brzuchu.

- Przepraszam, sypnęło mi się za dużo ostrej papryki.

- To nie twoja wina, że lubisz wyraziste potrawy. Mnie też takie bardziej smakują, ale mój żołądek nie działa już tak jak dawniej.

- Następnym razem dodam mniej przypraw - obiecała.

- Dziękuję.

- Wychodzę na trochę - oznajmiła, biorąc kurtkę.

- Twój wóz piszczy jak zarzynane prosię. Trzeba się zająć hamulcami. Jedź ostrożnie.

Bodie skinęła głową, nie zamierzając się przyznać, że nie ma funduszy nawet na paliwo. Pieniądze, które dziadek otrzymywał w ramach emerytury od Kirków, wpłyną dopiero po świętach, a wcześniej trzeba jeszcze będzie zapłacić rachunki za media. Ubezpieczenie Rafe'a ruszy dopiero od stycznia. Niestety, nie zanosilo się na to, żeby samochód Bodie wytrzymał tak długo.

Jęknęła, kiedy hamulce zapiszczały przeciągle, gdy stawała przed znakiem stopu. Za nią zatrzymał się samochód szeryfa. Na szczęście przedstawiciel władzy nie zaczepił jej, więc ostrożnie pojechała dalej na rancho Kirków. Wiedziała, że to błąd, ale nie miała innego wyjścia.

Na podwórku nie dostrzegła żadnych samochodów. To nie był dobry znak. Bodie nie widziała się z Cane'em, odkąd przywiozła go z baru do domu, ani nie miała okazji z nim mówić od czasu tamtej nietypowej rozmowy telefonicznej. Serce waliło jej jak szalone, kiedy naciskała dzwonek. Modliła się w duchu, żeby nikogo nie było w domu.

Ucieczka byłaby jednak tchórzostwem. Bodie musiała znaleźć jakiś sposób na rozwiązanie problemów finansowych, zanim będzie zmuszona zrobić to, co proponował Will. Czuła, że wolałaby napaść na bank niż poprosić Cane'a Kirka o pożyczkę, chociaż miała świadomość, że każde z tych rozwiązań będzie uszczerbkiem na jej honorze. Musiała jednak myśleć przede wszystkim o dziadku, który był dla niej najważniejszy na świecie. Zamierzała zrobić wszystko, żeby odzyskał zdrowie. Była nawet gotowa spotkać się z przyjacielem ojczyma. Zostawiała sobie tę opcję jako ostatnią deskę ratunku i nie chciała o niej za wiele myśleć. Przysięgła też sobie, że jeżeli mężczyźni choć wspomną o czymś nieobyczajnym, natychmiast wyjdzie i poszuka pracy nawet przy kopaniu rowów.

Czekała przed drzwiami, ale z wnętrza nie dochodziły żadne dźwięki. Ponownie uniosła rękę do dzwonka, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Uznała, że zbyt trudno będzie jej poprosić Cane'a o pomoc. Odwróciła się i ruszyła z powrotem do auta. Mogła już tylko włożyć ładną sukienkę i spotkać się z Larrym. Ten człowiek był tak

okropny, że żadna kobieta przy zdrowych zmysłach...

- Cześć.

Aż podskoczyła, słysząc głęboki głos Cane'a za plecami.

- O, cześć. Wystraszyłeś mnie - przyznała, kładąc dłoń na piersi. - Myślałam, że nikogo nie ma.

- Byłem z tyłu domu i oglądałem nóż do drewna, który Darby'emu przysłała siostra jako wcześniejszy prezent gwiazdkowy - odparł i przyjrzał się Bodie, przekrzywiając głowę. - Potrzebujesz czegoś?

To aż tak oczywiste? Zmartwiona Bodie przygryzła wargę.

- Zastanawiałam się, czy...

- Witam - powiedział Darby, wychodząc z za pleców Cane'a. - Słyszałem dźwięki, jaki wydaje twój samochód. Już po hamulcach. Trzeba się tym zająć, zanim wydarzy się nieszczęście.

- Wiem o tym, ale właśnie zapłaciłam za leki dziadka, więc nie zostało mi na naprawę wozu - westchnęła.

- Wstaw auto do szopy i każ Billy'emu zająć się tymi hamulcami, dobrze? - poprosił Darby'ego Cane. - I niech przy okazji sprawdzi całą resztę.

- Jasna sprawa. - Darby wyciągnął dłoń po kluczyki.

- Och nie, nie trzeba - zaprotestowała słabo Bodie.

- Daj mu kluczyki - powiedział Cane rozkazująco i zaraz się uśmiechnął. - Chyba że wolisz, żebym sam ich poszukał.

Bodie prawie wyrwała kluczyki z tylnej kieszeni dzinsów i rzuciła je na dłoń Darby'ego, jakby ją parzyły, rozśmieszając obu mężczyzn.

- Coś mi się zdaje, że ostatnio ty musiałaś szukać kluczyków w moich kieszeniach - przypomniał sobie Cane.

- Opłaciło się, skoro od tamtej pory nie byłeś w barze - odparła wesoło.

- Tak jakby. Muszę objechać ogrodzenie. Jeśli chcesz, możesz wybrać się ze mną na przejażdżkę, dopóki chłopaki nie skończą z twoim autem. - Posłał jej zamyślane spojrzenie. - Jedyne, co trzyma ten wóz w kupie, to lakier.

- To świetny samochód mimo tych kilku wad - oburzyła się.

- Owszem, tylko że silnik działa na dwóch cylindrach, a wydech strzela ogniem przy każdym uruchomieniu.

- Ale radio działa! - wykrzyknęła po chwili namysłu.

- Punkt dla ciebie - roześmiał się Cane, prowadząc ją do stajni. - Hej, Roy, osiodłaj dla niej Pirata.

- Już się robi, szefie - powiedział kowboj doglądający koni.

Pirat był starszym, spokojnym wałachem. Klacz Cane'a już na niego czekała.

- Nadal uważasz, że nie umiem jeździć - mruknęła Bodie.

- Możesz wsiąść na Piłę, jeśli masz ochotę, ale wolałbym nie płacić szpitalnych rachunków, jak cię zrzuci.

- Mogłabym na nim pojechać, gdybym chciała - odparła, wydymając usta.

- Jasne.

- Niektórzy ludzie po prostu nie mają talentu do jazdy konnej.

- Jak ty, studentko.

- Ale za to umiem datować kości.

- Ja też. Możemy urządzić sobie kiedyś zawody.

Bodie westchnęła. Nie było sensu dalej się przekomarzać. Nie chciała też popsuć Cane'owi humoru. Nie lubiła prosić o pomoc, ale liczyła na to, że widząc, w jakim stanie jest jej półciągarówka, sam zaproponuje pomoc.

Niestety, nic nie wspomniał o pieniądzach. Jechali wolno wzdłuż ogrodzenia po zasnieżonych polach. Puchowa kołderka miała wkrótce zniknąć, bo temperatura powoli rosła. Na razie jeszcze śnieżna biel ładnie kontrastowała z ciemną gdziegdzie ziemią i pniami bezlistnych drzew.

- Może będziemy mieć białe święta w tym roku - rozmarzyła się Bodie.

- Raczej nie.

- Wszystko jest możliwe.

- Chyba tak.

Bodie zebrała wodze, ciesząc się spokojnym chodem konia. Wiedziała, że nigdy nie będzie dobrym jeźdźcem. Miała nieprawidłowy dosiad i w ogóle bała się tych wielkich zwierząt. Nie zamierzała jednak się do tego przyznać.

- Dlaczego twój dziadek bierze leki? - zapytał niespodziewanie Cane.

- Lekarz zdiagnozował niewydolność serca - powiedziała cicho. - Jestem chora ze zmartwienia. Przepisał mu trzy czy cztery leki i zapewnił, że to nie musi być śmiertelna choroba. Byliśmy przerażeni. Dziadek myślał, że to zgaga.

Cane wstrzymał konia, póki się nie zrównali.

- Nie osiągnął jeszcze wieku uprawniającego do korzystania z bezpłatnego programu socjalnego? - zdziwił się.

- Zakwalifikuje się dopiero w styczniu - westchnęła. - To nam pomoże.

- A ubezpieczenie?

Rozmowa robiła się dla Bodie krępująca. Było jej trudniej, niż przypuszczała.

- Ma - skłamała. - Dzięki temu leki są opłacone. I dzięki czekom od was. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem wam wdzięczna.

Cane popatrzył na nią przeciągle i bez słowa popędził konia.

Niedługo natrafili na filar ogrodzenia, który został uszkodzony przez padające drzewo. Cane zsiadł i zdrową ręką odrzucił pniak. Poprawił wspornik i krytycznie mu się przyjrzał.

- Cholera. Potrzebna mi będzie łopata i ktoś musi przytrzymać drut, kiedy będę obsadzał słupek.

- Wybacz, ale nie noszę przy sobie łopaty - zażartowała, dumna, że Cane nie zraża się swoją niepełnosprawnością.

Kiedy byli razem, nigdy mu to jakoś szczególnie nie przeszkadzało.

Cane pokazał jej język i sięgnął po telefon komórkowy, żeby poinformować Darby'ego, który fragment ogrodzenia wymaga naprawy.

- Najlepiej zrobić to jeszcze dziś lub najpóźniej jutro, na wypadek gdyby jakaś spłoszona krowa chciała tędy uciec. Niedaleko stąd do autostrady - powiedział, wysłuchał odpowiedzi i roześmiał się. - Dobrze. Do zobaczenia - rzucił, chowając komórkę. - Powiedział, że nie byłoby dobrze, gdyby jakaś jałówka na gigancie zdecydowała się złapać tu podwózkę.

Bodie zawtórowała mu śmiechem.

- W wiadomościach mówili o krowie, która uciekła z rzeźni i dzięki temu pozostała przy życiu. A to był byczek - powiedziała i pokręciła głową. - Dla mieszcuchów to żadna różnica.

- O ile pamiętam, ciebie też osobiście musiałem oświecić w tym temacie. Sądziłaś, że roczna jałówka to krowa. A nie jest krową, dopóki nie skończy dwóch lat i nie ocieli się - pouczył ją Bodie, dzielnie znosząc jej wymowne spojrzenie. - Jak widać, nie wszyscy rodzą się ze znajomością hodowlanej gwary.

- Doprawdy?

- Lepiej pojedźmy w tamtą stronę. Ostatnio pogoda szalała i może być sporo zwalonych drzew - zmienił temat, widząc jej minę.

- Prawdopodobnie.

- Muszę poprosić Darby'ego, żeby ściał nam jakiś ładny świerk na święta. Ty pewnie już ubrałaś swoje drzewko?

Bodie musiała się roześmiać. Jej mania obchodzenia świąt była dobrze znana w okolicy.

- Jasne, że tak - przytaknęła, nie wspominając, że będzie musiała za nie słono zapłacić ojczymowi. - Uwielbiam Boże Narodzenie. To moje ulubione święta.

Cane z pewnym trudem wspiął się z powrotem na siodło. Bodie udawała, że tego nie widzi, żeby nie poczuł się urażony. Kowbojowi musiało być naprawdę ciężko bez dłoni. Nawet z protezą wsiadanie na konia sprawiało kłopot.

- Tak się zastanawiałam... - zaczęła.

- Lepiej tego nie rób. To może być zabójcze - mruknął zachmurzony.

- Dlaczego tak mówisz? - zapytała zaskoczona i wstrzymała konia.

Cane podjechał do strumienia, zsiadł i pozwolił się koniowi napić. Bodie zrobiła to samo.

- Żyjesz z tym problemem już od jakiegoś czasu. I wydaje mi się, że świetnie sobie radzisz, pomijając incydenty z alkoholem.

- Pozory myślą - westchnął ciężko i powiódł ręką po nagich polach. - Tak właśnie czuję się w środku. Martwy i bezużyteczny - wyznał cicho.

- Gdybyś stracił mózg, mógłbyś się tak czuć - powiedziała, stając na wprost niego. Ledwie sięgała mu do ramienia. - Ale ty nadal możesz wiele robić. Możesz jeździć z bydłem na pokazy, sprzedawać je i kupować, możesz negocjować z innymi hodowcami. To są prawdziwe umiejętności - dodała, myśląc o swojej niewesołej sytuacji. - Ja nie radzę sobie z ludźmi. Jestem nieśmiała i trudno mi z nimi rozmawiać.

- Ze mną gadasz.

- Jasne, tylko że ciebie znam od wieków. No, przynajmniej na tyle, na ile można znać drugiego człowieka. Przy tobie nie czuję się dziwnie.

- Nie? - upewnił się, podchodząc krok bliżej, tak że mogła poczuć jego ciepło i siłę. Kiedy wstrzymała oddech, roześmiał się tubalnie. - Jesteś tego pewna, Bodie?

Cane pachniał piżmem. Lubiała jego wodę kolońską. Zawsze dbał o czystość, nawet o paznokcie. Kiedy przysunął się jeszcze bliżej, oparła dłonie na jego piersi i przez materiał koszuli wyczuła mięśnie. Zdrową dłonią przechylił jej głowę tak, żeby zajrzeć w jasnobrązowe oczy. Już się nie uśmiechał.

- Masz oczy jak wilk, którego kiedyś spotkałem - powiedział cicho. - Wszedłem wprost na niego, tropiąc jelenia. Przez chwilę wpatrywał się we mnie, a potem po-

truchtał z powrotem w knieję. Był wielki, potężny i szary. Nigdy nie widziałem takiej bestii.

- Czy rdzenni mieszkańcy Ameryki nie mają swoich totemicznych zwierząt? Może twoim jest właśnie wilk?

- Mam w żyłach ledwie domieszkę indiańskiej krwi. Podobno któryś z przodków pochodził z plemienia Lakota - dodał, gładząc jej włosy z czułym uśmiechem. - Może powinienem zatrudnić kogoś do zbadania dziejów rodziny, żeby moje dzieci wiedziały, skąd pochodzą. Uwielbiam dzieci.

- Ja też - wykrztusiła Bodie.

- Jesteś taka młodziutka - westchnął chrapliwie, przenosząc spojrzenie na jej usta. - Pewnie za młoda na to, co zamierzam zrobić.

- A co zamierzasz? - szepnęła łamiącym się głosem.

- To...

Pochylił się i delikatnie musnął ustami jej rozchylone wargi. Potem jego pocałunek stał się bardziej zdecydowany i namiętny. Bodie westchnęła, kiedy przeszył ją dreszcz niespodziewanej rozkoszy.

- Dlaczego mam wrażenie, że już to robiliśmy? - wymruczał Cane, przyciągając ją zdrową ręką bliżej siebie, tak żeby mogła poczuć jego podniecenie. - Och, do diabła, umieram z pragnienia! - zawołał i zgniół usta Bodie w gwałtownym pocałunku.

Ogarnięta nieznaną gorączką Bodie szarpała się z guzikami jego koszuli, dopóki nie położyła dłoni na jego nagim owłosionym torsie. Zapraszająco rozchyliła usta, z czego natychmiast skorzystał, wdzierając się językiem do ich wilgotnego, ciepłego wnętrza. Krzyknęła, cała drżąc.

- Lubisz to, prawda? - wymruczał Cane z ustami przy jej ustach i oparł ją plecami o drzewo, żeby zamknąć Bodie w pułapce swoich bioder. - Wiesz też, co to znaczy - szepnął, ocierając się o nią nabrzmiałą męskością.

Jego usta stawały się coraz bardziej natarczywe i spragnione, a dłoń błędziła w pobliżu suwaka jej dżinsów.

Bodie chciała mu się oprzeć. Wiedziała, że powinna, ale jednocześnie marzyła, aby powtórzyło się to, czego on nie pamiętał z tamtego wieczoru.

- Cane - szepnęła bezradnie.

Nagle Cane przestał napierać na nią ciałem i ustami. Wpatrywał się w nią nieprzytomnym wzrokiem, ciężko oddychając.

- Sam zacząłeś - szepnęła, widząc wyraz jego twarzy, gdy się od niej pospiesznie odsuwał.

- Ty nie protestowałaś - rzucił oskarżycielsko, wściekły, że tak go poniosło.

Bodie zadrżała z zimna, nie czując obok ciepła jego potężnego ciała. Cane z kamienną twarzą zapinał guziki koszuli. Czowała, że z trudem tłumi furię.

- Po co w ogóle przyjechałaś? - warknął.

- Chciałam...

- No, na pewno miałaś jakiś powód - burknął. - Czegoś chciałaś, więc mów.

Bodie przełknęła dumę i wstyd, zanim odważyła się odezwać.

- Chciałam zapytać, czy mógłbyś pożyczyć mi pieniędzy - wykrztusiła.

Cane uśmiechnął się w odpowiedzi. To był paskudny, zimny uśmiech.

- I co byłąbyś gotowa za to zrobić? - zapytał ze wzgardą. - Więcej niż to, co tu

przed chwilą zaszło? A może poszłabyś ze mną do łóżka za pieniądze? Zarobiłabyś je ciałem?! – wykrzyczał napastliwie.

– Przepraszam – szepnęła przerażona jego reakcją i cofnęła się o krok. Czuła się upokorzona. – Przepraszam! Jakoś dam sobie radę. Głupio zrobiłam, prosząc cię o to. Odprowadzę konia do stajni. I dziękuję, że kazałeś się zająć hamulcami w moim wozie, ale naprawdę poradzę sobie!

– Poradzisz sobie? Bez hamulców? – syknął przez zaciśnięte zęby.

Zdenerwowana do granic Bodie niezdarnie wdrapała się na siodło.

– Przepraszam – powtórzyła, starając się nie rozplakać. Świat jej się walił, bo zrobiła głupstwo. – Tak bardzo mi przykro. Nie powinnam była cię prosić o pieniądze!

– Dlaczego nie? Przecież tylko tego ode mnie chcą kobiety. Bo tylko to jest w stanie przekonać je do przespania się z kaleką! – Cane już nie próbował powstrzymać furii. – Myślałem, że jesteś inna, mała kusicielko. A ty nie jesteś lepsza od byle prostytutki, gotowej na wszystko za pieniądze! – rzucił jej w twarz.

– Przepraszam. – Czuła się tak nieszczęśliwa, sponiewierana i zawstydzona, że bała się, iż zwymiotuje.

Zawróciła konia i szybko odjechała, aby nie powiedzieć lub nie zrobić czegoś jeszcze głupszego.

Cane stał i patrzył w ślad za Bodie, usiłując opanować rozszalałe emocje i uporządkować myśli. To, co stało się przed chwilą, było mu w pewien sposób znajome, choć przecież nigdy wcześniej jej nie dotknął ani nie pocałował. Znów wrócił myślami do tamtego wieczoru, kiedy urwał mu się film. Nie pamiętał, co zrobił, ale domyślał się, że było to coś, co ośmieliło Bodie na tyle, żeby poprosić go o pożyczkę.

Chciała pieniędzy. Jak każda inna pragnęła go jedynie wykorzystać. Był wściekły nie tylko dlatego, że sprowokowała go do pocałunku, ale też na siebie, że pozwolił jej odjechać w takim wzburzeniu.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do Darby'ego. Potem z trudem wspiął się na siodło i powoli ruszył w powrotną drogę do stajni. Nie chciał znaleźć się tam, zanim Darby nie odwiezie Bodie do domu. Teraz nie miał najmniejszej ochoty jej oglądać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bodie płakała całą drogę do stajni. Kiedy zauważyła Darby'ego, otarła oczy i nos rękawem szarej bluzy od dresu i spróbowała się uśmiechnąć.

- Zostaw konia, zaraz któryś z chłopaków go rozsiodła. Odwiozę cię teraz do domu, a twój samochód odstawimy z samego rana, bo jest przy nim trochę roboty - powiedział z miłym uśmiechem.

- Nie, od razu go zabiorę.

- Bez kół nie dasz rady.

- Och.

- No chodź - powiedział i pociągnął ją w stronę pikapa.

Kiedy odjeżdżali, minęli się z wracającym Cane'em. Jego mina zdradzała, że nie ma ochoty z nikim rozmawiać. Bodie przygryzła dolną wargę aż do krwi.

- Przecież wiesz, że Cane miewa humory - zaczął łagodnie tłumaczyć Darby. - Nigdy nie wiadomo, czy będzie się śmiał, czy nagle się wścieknie. To nic osobistego. Po prostu przypomina mu się, co go spotkało, i nie umie nad sobą zapanować.

- Powinien wrócić na terapię.

- Wrócił w zeszłym tygodniu. Potem pokłócił się z psychologiem i powiedział, że więcej tam nie pójdzie. - Zerknął na nią i skrzywił się. - Nie powinnaś się tym aż tak przejmować. Zobaczysz, jak przekroczyś trzydzieści pięć lat, będziesz miała to w nosie. Nie pozwolisz, żeby wszystko aż tak cię dotykało. Stwardnieje ci skóra, gwarantuję.

- Więc żałuję, że nie mam trzydziestu pięciu lat - westchnęła. - Poprosiłam go o pożyczkę. Ależ byłam głupia!

- O pożyczkę?

Bodie musiała w końcu komuś się zwierzyć, bo już nie radziła sobie z przygnębieniem.

- Dziadek ma niewydolność serca, Darby. Musi brać kosztowne leki, a ojczym właśnie podniósł nam czynsz. Kazał mi też zapłacić pięćdziesiąt dolarów za to, że ścięłam choinkę na święta, którą mama zasadziła właśnie w tym celu. Zagroził też, że popsuje coś w domu i wyrzuci nas pod pozorem remontu - mówiła szybko, walcząc ze łzami. - Próbowałam zdobyć jakąkolwiek pracę, ale nikt nie chciał mnie zatrudnić. Oprócz Jake'a Halla, który potrzebuje kogoś z uprawnieniami do obsługiwanego ciężkiego sprzętu. Nie nauczę się przecież tego w pięć minut. Mogłabym zmywać naczynia, szorować podłogi, ale tutaj nie ma żadnej pracy. Skończyły się nam pieniądze i teraz jedyne, co mi pozostało, to zrobić to, czego chce ojczym.

- A czego on chce? - zapytał Darby, czując zimny dreszcz przebiegający mu wzdłuż kręgosłupa. - Powiedz mi, Bodie.

- Chce, żebym w tę sobotę spędziła trochę czasu z jego przyjacielem Larrym - wyznała z ciężkim westchnieniem. - I chce nam zrobić zdjęcia. Nic strasznego, tylko pozowane... Obiecał, że wtedy obniży nam czynsz i zapłaci za leki dziadka.

W styczniu będę mogła z powrotem pracować obok uczelni, ale na razie nic nie mogę zrobić – jęknęła. – A przecież muszę zapłacić wcześniej czynsz. Zastawiłam biżuterię matki i posprzedawałam, co mogłam, ale to i tak nie wystarczy na czynsz, którego zażądał Will – dodała, czując w ustach smak krwi z przegryzionej wargi.

Czuła też smak ust Cane’a, który przypominał przeżyta rozkosz, mimo że zaraz po niej nadeszła bolesna pogarda.

– Cholera! Słuchaj, dzieciaku, mam trochę odłożonych pieniędzy.

– Nie. Absolutnie nie. Poprosiłabym Tanka, gdyby był w domu. Nie czułabym się przynajmniej jak dziwka. Zresztą sam deklarował mi wcześniej pomoc. Wiedział, jak nam z dziadkiem ciężko. – Jej twarz stężała. – Nigdy nie zapomnę, jak Cane na mnie spojrzał. Nigdy mu nie wybaczę tego, co powiedział!

– Chyba nie przetrwał jeszcze tego, że tamto babsko odprawiło go z kwitkiem, wytykając mu kalectwo – domyślił się Darby.

– Przynajmniej wy pomagacie mi z samochodem. Dziękuję.

– Zawsze do usług. Mógłbym zadzwonić do Daltona.

– Nie. – Pokręciła głową i uśmiechnęła się, kiedy zaparkował pod jej domem. – Dziadek nie wie, co się dzieje. Myśli, że rozliczamy się z Willem na bieżąco. Nie chcę mu mówić. Nawet na lekach jest w złym stanie – westchnęła. – Nie wiem, jak długo jeszcze będzie ze mną. Ma kłopoty z oddychaniem, jego serce bije nierówno i często boli go brzuch. Nagle blednie i traci siły. Powiedziałam Cane’owi, że mamy ubezpieczenie, ale to nieprawda. Muszę zapłacić w kilku miesięcznych ratach za wizytę u kardiologa i u naszego lekarza – powiedziała z desperacją. – Jakim cudem ludzie mają żyć w takich warunkach? Dlaczego rząd czegoś nie robi?

– Pewnie boją się, że w razie pomyłki nikt na nich więcej nie zagłosuje, więc nic nie robią. Chodzi tylko o utrzymanie się na stanowisku, a nie faktyczną pomoc ludziom – powiedział filozoficznie Darby. – Takie funkcje powinni sprawować wyłącznie biedni ludzie, którzy wiedzą, jak to jest żyć od wypłaty do wypłaty. Zrobiliby coś dla pracujących i niepełnosprawnych.

– Byłoby miło – westchnęła, wysiadając z samochodu. – Dzięki za wysłuchanie i podwiezienie. Nie mów nic Cane’owi, dobrze?

– Nie powiem, jeśli nie chcesz – obiecał.

– Nie chcę. Nie potrzebuję litości. Zrobię, co trzeba, żeby dziadek nie wylądował w przytułku albo na ulicy – oznajmiła z zaciętością. – Mam tylko nadzieję, że pewnego dnia Will dostanie to, na co zasłużył.

– Karma wraca – mruknął Darby. – Ale nie rób nic pochopnie, słyszysz? Daj mi dzień czy dwa, to coś wymyślę. Dobrze?

– Jasne – skłamała. – Dzięki, Darby.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Żałuję, że nie mogłem zrobić dla ciebie więcej.

Bodie patrzyła za oddalającym się samochodem, myśląc o tym, że będzie musiała jakoś znieść niemiłe towarzystwo, jeśli ma to przynieść pieniądze, dzięki którym utrzyma dziadka przy życiu. Nigdy mu o tym nie powie, bo to by go zabiło. Była dość silna, by zrobić to, co trzeba. Nie zamierzała jednak zdjąć sukienki, nawet gdyby miało to ich kosztować dach nad głową.

Zaraz po powrocie na ranczo Darby zajął się razem z mechanikiem naprawą półciężarówki Bodie, jednak auto było w tak złym stanie, że skończyli dopiero w sobotę po południu. Cały czas martwił się o dziewczynę, bo podejrzewał, że pójdzie do Willa i zrobi wszystko, żeby zapewnić dziadkowi dom. Nawet gdyby jej nie obiecał, nie mógłby pomówić z Cane'em, bo ten nadal chodził wściekły i wybuchał od razu, gdy tylko ktoś się do niego odezwał. Na szczęście akurat kiedy skończyli pracę przy wozie Bodie, do domu wrócił Dalton. Darby natychmiast udał się do najmłodszego z Kirków.

- Muszę z tobą pilnie porozmawiać.

- Jasne. O co chodzi? - zapytał Tank. - Cane znów pije?

- Nie chodzi o niego, tylko o Bodie. - I opowiedział, co zaszło wczoraj i czego chciał od niej ojczym. - Myślę, że jest już w drodze do niego i zrobi wszystko, żeby jej dziadek zachował dom.

- Jasny szlag! I Cane jej na to pozwolił?! - krzyknął wstrząśnięty Tank.

- On nic nie wie. Kazała mi obiecać, że mu nie powiem, po tym jak tak podle ją potraktował - odparł Darby. - Ale nie przyrzekłem, że nie poproszę ciebie o pomoc.

- Dzięki, stary. - Tank położył kowbojowi dłoń na ramieniu. - Jestem twoim dłużnikiem. Lepiej pojedę do Jonesa, zanim ten zboczeniec coś jej zrobi.

- To ja będę twoim dłużnikiem. Lubię tę małą.

- Ja też - przyznał Tank z uśmiechem.

Natychmiast chwycił za telefon i wybrał numer do Rafe'a Maysa.

- Cześć, Rafe, tu Tank. Czy jest Bodie?

- Nie - odparł starszy człowiek stłumionym głosem. - Chyba poszła do Willa. Nie podoba mi się to, bo wiem, do czego ten drań jest zdolny. Tank, ona nie chce mi nic powiedzieć, ale usłyszałem, jak Will jej groził, żeby lepiej dotrzymała obietnicy, bo wyrzuci nas z domu. Cholera - jęknął i rozkaszał się. - Mam taką niestrawność, że ledwie mogę mówić. Muszę wziąć sodę, zobaczymy, czy to pomoże. Tank, jedź tam, proszę, i dopilnuj, żeby ten potwór nie skrzywdził mojej dziewczynki, dobrze? Nie lubię prosić o przysługi, ale jestem za słaby, żebym mógł się tym sam zająć. Zresztą nie miałbym jak tam się dostać, bo auto znikło.

- Wasza furgonetka jest u nas. Naprawialiśmy ją - powiedział Tank.

- Ten Larry sam po nią przyjechał - stęknął Rafe. - Ubrała się elegancko, ale była blada jak ściana. Powiedziała, że idzie porozmawiać przy kolacji z ojczymem i Larrym, ale moim zdaniem była śmiertelnie przerażona.

- Już jadę, a ty się nie martw, dobrze?

- To dziecko jest całym moim światem, Tank - westchnął Rafe. - Nie pozwól jej skrzywdzić.

- Wiesz, że nie pozwolę. Trzymaj się. Do zobaczenia niedługo.

- Powiedz jej... że ją kocham.

- Powiem - obiecał i odłożył słuchawkę, myśląc z niepokojem, że głos Rafe'a jakoś dziwnie brzmiał.

- Jesteś już w domu? - zdziwił się Cane, wchodząc do pokoju. - Co jest grane? - zapytał, widząc, że brat jest zdenerwowany.

- Bodie sprzedaje się właśnie Willowi Jonesowi za czynsz. Słyszałem, że prosiła cię o pożyczkę, a ty wykopałeś ją za drzwi, więc robi, co musi, żeby zapewnić swo-

jemu dziadkowi dach nad głową.

- Rany boskie! - krzyknął przerażony Cane. - Nic takiego nie mówiła!

- Może liczyła, że jesteś na tyle inteligentny, żeby wiedzieć, że nigdy nie poprosiłaby o pomoc, gdyby nie była bez wyjścia - bezlitośnie oznajmił Tank, patrząc twarzą na brata.

- Przecież ma pracę w pobliżu uczelni.

- Dorywczą i tylko w czasie roku szkolnego. Próbowwała dostać pracę na miejscu, choćby przy sprzątaniu stajni, ale nikt nie szukał pracowników. Will groził, że pozbędzie się jej i Rafe'a, choćby miał zniszczyć nocą dom. Wylądowałiby na ulicy, a jej dziadek jest bardzo chory. Ma niewydolność serca i nie stać ich na leki. Will kazał jej nawet zapłacić za choinkę matki, którą ścięła na święta!

Słowa brata wbiły Cane'a w podłogę. Nigdy nie darowałyby sobie, gdyby ojczym Bodie lub jego durny kumpel zrobili jej krzywdę. Dlaczego nie zapytał, po co jej te pieniądze? Pewnie dlatego, iż walczył z poczuciem winy, że się do niej dobierał. Była młodziutka i nic nie usprawiedliwiałoby tego, jak ją potraktował.

- Dokąd idziesz?! - zawołał, kiedy Tank wybiegł z domu.

- Ratować Bodie.

- Idę z tobą!

Kiedy dotarli do domu Jonesa, Tank zaczął walić w drzwi.

- Już idę! - zawołał Will ze złością.

Tank znów huknął pięścią w drewno.

- Pan Kirk? - zdziwił się zaczerwieniony i zakłopotany Will.

- Zaproś nas do środka, to będziesz miał mniej złamań - wtrącił Cane, wychylając się zza skrzydła drzwi.

- To nieodpowiedni moment...

Cane przepchnął się obok niego, nie słuchając dalej. Z kanapy podnosił się właśnie dość młody facet w rozpiętej koszuli. Obok siedziała sztywno poblądła Bodie. Miała ubranie w nieładzie i potargane włosy. Po jej policzkach płynęły łzy.

- Rany boskie! - jęknął Cane, podszedł do niej i spróbował ją podnieść. Załkała i cofnęła się w kąt kanapy jak wystraszone zwierzątko. Cane'owi zrobiło się niedobrze. - Tank! - zawołał rozpaczliwie.

Dalton podszedł, wziął Bodie na rękę i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, żeby rzucić Jonesowi mordercze spojrzenie.

- Rozważam zgłoszenie przestępstwa. Na twoim miejscu postarałbym się o dobrego prawnika.

Cane szedł tuż za nim. W drodze do drzwi zauważył na stoliku laptop z podpiętą kamerą. Ekran wypełniało zdjęcie Bodie, którą Larry całował w nagie ramię. Zalała go fala gniewu. Celowo zahaczył nogą o stół i komputer z kamerą wylądował z hukiem na ziemi.

- Rozwaliłeś mi sprzęt! Pozwę cię! - wrzasnął Will.

- To był wypadek. Chętnie ci go odkupię - oznajmił lodowato Cane. - Mój prawnik i szeryf skontaktują się z tobą.

- Chwileczkę! - zawołał speszony Will. - Momencik. Przecież możemy się dogadać! Ona przyszła tu z własnej woli. Sami ją zapytajcie!

- A co z jej czynszem? - warknął Cane.

- Jakim czynszem? Zapłacony za dwa miesiące z góry. Nic mi nie jest winna. Ani grosika. Przysięgam!

- Lepiej, żeby to była prawda - wycedził Cane, patrząc na Bodie chowającą twarz na piersi jego brata. - Wychodzimy.

Przytrzymał Tankowi drzwi. Bodie cicho łkała. Nigdy jeszcze nie czuł się tak podle. Tank posadził ją z przodu, między nimi. Nie był to jednak koniec kłopotów. Kiedy dojechali na miejsce, mężczyzna poszedł pierwszy, żeby wyjaśnić dziadkowi dziewczyny, co zaszło. Znalazł jego ciało na podłodze. Rafe nie żył. Tank cofnął się do samochodu, w którym czekała Bodie.

- Nie wysiadaj - powstrzymał ją. - Boże, nie wiem, jak ci to powiedzieć, żeby złagodzić cios. Twój dziadek... odszedł. Odszedł na zawsze, kochanie. Tak mi przykro!

- Jak to odszedł? Chciałeś powiedzieć... wyszedł? - usiłowała odnaleźć sens w jego słowach. Kiedy milczał, prawda zaczęła do niej powoli docierać. - Mówisz, że mój dziadek... nie żyje... Tank? - szepnęła. - On naprawdę umarł?

Tank skinął głową.

- Zadzwońę po karetkę i szeryfa i poczekam tu na nich. Ty jedź z Cane'em do nas do domu. Zostaniesz z nami, dopóki... dopóki wszystko się nie poukłada.

- Mój dziadek nie żyje. Nie żyje - powtarzała blada i drżąca Bodie.

Jej świat się rozpadł i nic nie miało już sensu. Była obolała i otepiała.

- Odwiozę ją do domu - powiedział cicho Cane.

Kiedy chciał przytulić Bodie, odsunęła się od niego. Zupełnie jakby nie mogła znieść jego obecności. Nie winił jej, widząc, w jakim jest stanie.

Zabrał ją na ranczo. Otworzył jej drzwi wozu, wściekły na swoje kalectwo, przez które nie mógł wziąć ją na ręce i zanieść do domu. Bodie wysiadła zgarbiona i z pochyloną głową. Serce pękało mu na ten widok. Miał ochotę wrócić do domu Jonesa i wybić jemu i jego kumpłowi z głowy wszelkie myśli o dziewczynie.

Z domu wybiegła Mavie, wzięła zapłakaną Bodie w ramiona i zaczęła ją kołysać jak rozżalone dziecko.

- Co się stało? - zapytała, patrząc na Cane'a.

- Zmarł jej dziadek - odparł krótko.

- Och, moje biedactwo. Połóżymy cię do łóżka. Pożyczę ci piżamę.

- Dziękuję, Mavie - załkała Bodie. - To wydarzyło się tak nagle! Mówił, że ma zgagę i boli go brzuch. Gdybym cokolwiek podejrzewała, nigdy nie wyszłabym z domu!

- W niczym by mu to nie pomogło - odezwał się cicho Cane. - To była nagła śmierć. Tak samo zmarł mój dziadek. Po prostu upadł i po kilku sekundach już nie żył. Stałem obok, a i tak nie mogłem mu pomóc.

- Dziękuję - chlipnęła Bodie, nie patrząc w jego stronę. - To mnie trochę uspokoiło.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę.

Bodie wiedziała, że nie mówił jedynie o śmierci dziadka, ale nie odezwała się, skinęła tylko głową.

Mavie pomogła jej wejść na piętro. Bodie tak bardzo płakała, że nie widziała nawet, dokąd idzie. Usłyszała jednak, jak Cane na dole klnie na czym świat stoi.

Cane był chory z rozpacz. Potraktował Bodie jak dziwkę negocjującą cenę za noc w motelu, przez co wepchnął ją w łapy ojczyrna, i nie mógł teraz nic zrobić, żeby złagodzić ból, jaki jej zadał swoim zachowaniem. Poszła do Jonesa i robiła rzeczy, których nie zapomni do końca życia, próbując uratować dziadka. Teraz Rafe umarł, a Bodie musiała żyć ze świadomością swoich wyborów. Cane wiedział, że nie będzie to łatwe dla kogoś, kto nie tylko był niewinny, ale też bardzo religijny.

Bodie mogłaby uniknąć tego wszystkiego, gdyby Cane nie okazał się idiotą. To prawda, że tamta kobieta w hotelu chciała tylko jego pieniędzy i podle się z nim obeszła, ale przecież dobrze wiedział, że Bodie nie jest taka i że nie poprosiłaby go o pieniądze na drobiazgi. Wiedział też, że jej dziadek ma kłopoty ze zdrowiem, nie zdawał sobie jednak sprawy z powagi sytuacji, w jakiej Bodie się znalazła. Teraz jednak było już za późno.

Usiadł ciężko na kanapie, wspominając zdjęcie, które dostrzegł na monitorze. Błada twarz Bodie i jej ogromne oczy pełne łez będą go długo prześladować. Miał tylko nadzieję, że twardy dysk w laptopie nieodwracalnie się zepsuł, kiedy go zrzucił na podłogę. Przynajmniej oszczędził Bodie złej sławy. Chodziły plotki, że Jones prowadzi stronę pornograficzną. Zapewne dlatego potrzebował zdjęć Bodie i Larry'ego. Bodie nie miała zielonego pojęcia o tych sprawach i zapewne nawet nie obrażała sobie, jak daleko mężczyźni mogliby się posunąć, gdyby nie powstrzymali ich bracia Kirkowie.

Cane westchnął, zamykając oczy. Co za koszmar. Bodie została samiuteńka na świecie, bez ukochanego dziadka i prawdopodobnie bez dachu nad głową, jeśli Will dopnie swego. W końcu to on był właścicielem nieruchomości. Zapewne teraz pozbędzie się wszystkich rzeczy Bodie. Kiedy o tym pomyślał, zerwał się na równe nogi, chwycił telefon i zadzwonił do brata.

- Bierz ciężarówkę - polecił Tankowi. - Will gotów jest wywalić na śmietnik rzeczy Bodie, jeśli tylko do nich się dorwie.

- Dopilnuję, żeby się nie dorwał - złowieszczco zapowiedział Tank. - Wyniesiemy meble z pokoju gościnnego do magazynu i wstawimy tam rzeczy Bodie. Sam zajmę się transportem. Szeryf już jedzie. A Cody Banks to mój przyjaciel - dodał ze złym uśmiechem. - Powiem mu, co zrobił Will. Jestem pewien, że znajdzie się odpowiedni paragraf, nawet jeśli Bodie jest pełnoletnia.

- Niech sprawdzi stronę internetową Jonesa.

- Sam mogę to zrobić. Jeśli zobaczę na niej choć jedno zdjęcie nieletniej, Jones pójdzie siedzieć.

- Mam nadzieję, że wyląduje w pace - westchnął ciężko Cane. - To wszystko moja wina. Gdybym pomyślał, zanim coś powiem...

- Trochę za późno na te mądrości.

- Musimy jej pomóc z pogrzebem, bo nie będzie wiedziała, co zrobić. Rafe był weteranem, więc pewnie należy mu się coś od wojska, ale chyba nie mieli ubezpieczenia na wypadek śmierci.

- Właśnie że mieli - wtrącił Tank. - Wykupiliśmy Rafe'owi polisę, kiedy u nas pracował, i potem była automatycznie opłacana.

- Dzięki Bogu.

- A żebyś wiedział. Bo niezależnie od tego, co sobie ubrdałeś, Bodie jest zbyt

dumna, żeby oczekiwać litości.

- Nie musisz mi tego w kółko wypominać - skrzywił się Cane.

- Muszę. Jesteś moim bratem i wiesz, że cię kocham, ale Bodie będzie zmuszona żyć z tym, co zrobiła. Zdążyliśmy na czas, żeby ochronić ją przed prawdziwą traumą, ale to, co się stało, było wystarczająco paskudne. Na pewno uznała, że zgodziła się sprzedać za pieniądze, nawet jeśli cel był szczytny. Nie będzie jej łatwo żyć z tą świadomością, zwłaszcza jeśli Will rozpuści plotki, że ma jej kompromitujące zdjęcie.

- Wtedy go pozwiemy.

- A za co? Powie, że Bodie przyszła z własnej woli i jest pełnoletnia. Mimo że wiemy, jak ją w to wmanewrował, taka właśnie jest prawda. A ona nie skłamie, nawet żeby ratować własne dobre imię.

- Cholera.

- Pogadam z szeryfem - oznajmił Tank. - Nie dopuszczę, żeby Jonesowi uszło to na sucho.

- Rafe umierał z niepokoju, kiedy poszła do ojczyma. Podejrzewam, że Bodie uzna też, iż sama się przyczyniła do jego ataku serca. Szkoda, że nie ma Morie - westchnął Cane. - Teraz Bodie najbardziej jej potrzebuje.

- Zadzwoń do Mała - powiedział Tank, myśląc o najstarszym z braci. - Kiedy do-
wie się, co tu zaszło, wróć do domu.

- Dobry pomysł - pochwalił go Cane.

- Ja zajmę się przeprowadzką, a ty w tym czasie mógłbyś zadzwonić do domu pogrzebowego. Rano weźmiemy tam Bodie, żeby zdecydowała o szczegółach uroczystości.

- Rafe miał wielu przyjaciół, więc przyjdzie dużo gości.

- Racja.

- Dziękuję - powiedział poważnie Cane po chwili milczenia. - Za wszystko, co zrobięś.

- Podziękuj Darby'emu - odparł Tank. - To jemu Bodie wszystko opowiedziała, ale kazała przysiąc, że tobie nie powtórzy. Nie obiecał jednak, że nie porozmawia ze mną.

- Nie chciała, żebym wiedział? - spytał Cane zdławionym głosem.

- Najwyraźniej uznała, że nią gardzisz.

- Rany boskie!

- Jest naiwna, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa - powiedział Tank. - Nie chodzi na randki, więc w ogóle nie ma doświadczenia z mężczyznami. Dlatego to, co się stało, będzie dla niej trudniejsze do zniesienia.

Cane nie odważył się wspomnieć o tym, co zaszło między nim a Bodie, ale teraz dziękował losowi, że tak się stało. Przynajmniej nie była kompletnie nieświadoma, kiedy ten drań zaczął jej dotykać. Nawet jeśli później on sam zachował się jak idiota, ich pocałunki były czułe, więc miała dobre wspomnienia z obcowania z mężczyzną. Cane uwielbiał ją całować. Lubił to tak bardzo, że wystraszył się, dokąd może go to zaprowadzić. Został już zraniony wiele razy, a do tego był przewrażliwiony na punkcie swojej ułomności.

Niestety, jego lęki i nieracjonalne zachowanie przyczyniły się do sytuacji, w jakiej

znalazła się teraz Bodie. Cane bardzo chciał jakoś jej to wynagrodzić, ale nie miał pojęcia jak.

Zmęczona płaczem Bodie w końcu zapadła w sen. Mavie siedziała przy niej do tej chwili, potem zeszła na dół, żeby przygotować braciom kolację.

Po jej wyjściu w sypialni zjawił się Cane. Zostawił uchylone drzwi i przysiadł na krześle przy wielkim podwójnym łóżku, w którym spała zmęczona Bodie. Jej blada twarz otoczona krótkimi czarnymi, falującymi włosami była ściągnięta bólem. Cane westchnął i delikatnie odsunął z jej policzka niesforny kosmyk włosów. Bodie zdawała się tak drobna i krucha w wielkim łóżu i białej pościeli.

Przypomniał sobie noc, kiedy to on był nieszczęśliwy i pijany, a ona przyprowadziła go na górę i położyła do łóżka. Dotąd wydarzenia tamtego wieczoru ginęły we mgle, ale widok Bodie w łóżku sprawił, że nagle wszystko sobie przypomniał.

Pocałował ją wtedy. To był gwałtowny, namiętny pocałunek, po którym Bodie znalazła się pod nim, a jego tors przygniatał jej nagie piersi. Cane czuł jej drżenie i słyszał jęk rozkoszy...

Jak mógł zapomnieć coś takiego? Ze ściągniętymi brwiami przyglądał się śpiącej, wspominając zakazaną namiętność, która ich połączyła.

Bodie nie wspomniała o tym ani słowem, nawet kiedy zadzwonił, aby upewnić się, że nie zaszło między nimi nic niewłaściwego. Skłamała, mówiąc, że był zbyt pijany. Prawie się z nią kochał. Jak mógł nie zapamiętać czegoś tak wstrząsającego?

Trzymał Bodie w ramionach. Tulił ją, pragnęła i kochała. Niewinna Bodie w ramionach zbyt pijanego faceta, żeby docenił jej dziewictwo, traktującego ją jak doświadczoną kochankę i wprowadzającego w świat doznań, które powinny przyjść dużo później w ich dziwnym związku.

Nie da się teraz cofnąć czasu i zrobić wszystko tak, jak trzeba, jednak w pewien sposób jego niezbyt chwalebne zachowanie okazało się błogosławieństwem. Ten drań Larry miał okazję zakosztować słodyczy Bodie, ale na szczęście nie jako pierwszy. Ten przywilej należał do Cane'a, a on zapamięta tę chwilę na całe życie.

Liczył na to, że wspomnienie ich bliskości dało Bodie na tyle miłe wspomnienia, że nie zatrze ich późniejsza przykrość, jaka ją spotkała. Pamiętał, że wcale z nim nie walczyła. Poddała mu się, oszołomiona pierwszym łykiem rozkoszy. Nawet teraz nie potrafił zapomnieć słodyczy jej ust, jedwabistej gładkości skóry i zachłannej niecierpliwości, z jaką próbowała jak najmocniej się w niego wtulić.

Jedyne, co ją wtedy ocaliło, to fakt, że wypił zbyt dużo. Gdyby był trzeźwiejszy, mógłby się nie powstrzymać.

Teraz, kiedy Cane odzyskał wspomnienia i uświadomił sobie, jak blisko ze sobą byli, dziwił się, że oprzytomnienie nie nadeszło szybciej. Może dlatego, że unikał Bodie, bojąc się kolejnego zranienia. Bodie była bardzo młoda, łatwowierna i kiedyś się w nim durzyła.

Po tym, jak ją potraktowałem, pewnie nie mam szans na jej uczucie, pomyślał z rozpaczą. Znienawidzi mnie za odmowę pomocy, kiedy najbardziej jej potrzebowała. Uzna, że gdybym był inny, nie musiałaby iść do ojczyma i nie straciłaby ukochanego dziadka, który się o nią zamartwiał. Bodie dojdzie do wniosku, że ją zawiodłem. Tak samo, jak po wielekroć zawiodłem samego siebie.

Siedząc przy Bodie, Cane przemyślał, co robi sobie i swoim najbliższym, i wcale mu się to nie spodobało. Był tak skupiony na sobie, własnych potrzebach, uczuciach i niedoskonałościach, że ignorował wszystkich wokół.

Nadeszła pora przestać się nad sobą użalać i odzyskać dawne życie. Pierwszym krokiem będzie rezygnacja z wycieczek do barów i pijaństwa. Był to winien i sobie, i Bodie.

Cane wstał, pochylił się nad śpiącą i delikatnie, tak żeby jej nie obudzić, pocałował ją w czubek głowy.

- Przepraszam, kochanie - wyszeptał, wpatrując się w jej zmęczoną twarz. - Tak bardzo mi przykro. Przysięgam, że jakoś ci to wszystko wynagrodzę.

Kiedy zszedł na dół, sięgnął po telefon i wybrał numer jedyne go w mieście domu pogrzebowego. Na razie tylko tyle mógł zrobić dla Bodie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rafe Mays przeżył całe swoje życie w Catelow i był tu dobrze znany. Dlatego od-
kład w lokalnej gazecie i radiu ogłoszono czuwanie przy jego zwłokach, przez dom
pogrzebowy przewijały się tłumy.

Bolinda, w czarnej sukience, którą Morie uparła się jej kupić, przyjmowała kondolencje, od czasu do czasu zerkając na zamkniętą trumnę dziadka. Życzył sobie tego
jeszcze za życia, mawiając, że nie chce, żeby wszyscy się na niego gapili.

Ludzie okazywali jej dużo sympatii i ciepła. Niektórzy dzielili się opowieściami
z lat młodości, gdy Rafe był przystojnym i rozchwytywanym kawalerem. Potem za-
kochał się w babci Bodie i uwodził ją kwiatami, słodyczami, a nawet podarował jej
wspaniałego konia izabelowatej maści, zanim ją zdobył. Bodie znała tę historię na
pamięć, ale słuchanie, jak ktoś ją opowiada, przynosiło ukojenie. Zupełnie jakby jej
dziadek żył we wspomnieniach innych ludzi.

- Wiesz, to tylko kwestia czasu - powiedział cicho Cane, stając za jej plecami.

Na dzisiejszą uroczystość założył ciemny garnitur i przypiął protezę, choć zarze-
kał się, że nigdy więcej jej nie włoży. Ze swoją oliwkową cerą i żywymi czarnymi
oczami był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Bodie w życiu widziała. Zarobił-
by fortunę jako model, ale nie zamierzała mu tego mówić.

- Jakiego czasu? - Nie zrozumiała.

- Po prostu czasu. Nie studiowałem fizyki teoretycznej, jak ten tutaj - mruknął,
wskazując spojrzeniem Darby'ego - ale trochę się orientuję. Wszyscy, których ko-
chamy, choć ich straciliśmy, nadal żyją, tylko są od nas oddaleni w czasie.

Bodie patrzyła na niego z rozchylonymi ustami, usiłując zrozumieć, co Cane chce
jej przekazać.

- Sama pomyśl. Kiedy chcesz oznaczyć jakiś punkt, określasz jego szerokość i dłu-
gość geograficzną. To daje ci namiar na cel. Ale w szerszym ujęciu potrzebujesz
także określić czas. No bo gdybyś dziś pojechała do Laredo w Teksasie, szukając
konkretnego adresu, znalazłabyś go, ale gdybyś udała się pod ten sam adres dwie-
ście lat wcześniej, niczego mogłoby tam jeszcze nie być. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Gdybym mogła cofnąć się o miesiąc w przeszłość, dziadek wciąż by żył?

- Właśnie. Dzieli cię więc od niego jedynie czas - powiedział Cane z uśmiechem.

Ten dziwny wywód pokrzepił Bodie na duchu. Ulga była widoczna w jej wyprosto-
wanej postawie i blasku brązowych oczu. Cane stał tak blisko, że mogła poczuć cie-
pło jego ciała, gdy czule pogładził jej policzek.

- Dasz radę - zapewnił ją cicho. - Wszyscy musimy przez to przejść, rozstając się
z ukochanymi członkami naszych rodzin. To nigdy nie jest łatwe, ale to jedno z pod-
stawowych praw życia.

- Dziękuję - szepnęła, cofając się odrobinę.

Doceniała jego gest, ale nie mogła zapomnieć szorstkich słów, które od niego usły-
szała, kiedy niechętnie prosiła go o pożyczkę.

Cane domyślił się, o co chodzi, i nie poczuł się urażony. Westchnął.

- To nie jest właściwa chwila - mruknął - ale przepraszam. Tak bardzo mi przykro. Wygląda na to, że w ostatnich miesiącach bez przerwy zatruwałem ci życie. Nawet nie wiem dlaczego - dodał, marszcząc brwi. - Zawsze byłeś dla mnie miła, a ja nie jestem człowiekiem, który lubi dręczyć kobiety. Nigdy taki nie byłem, nawet przed tym - powiedział, unosząc ramię z protezą.

- Musiałam robić takie rzeczy... - zaczęła i urwała, przygryzając dolną wargę.

- Tank dopilnował, żeby szeryf zajął się twoim obleśnym ojczymem - szybko zmienił temat zakłopotany Cane. - Mam nadzieję, że Cody Banks znajdzie coś, by zamknąć drania.

- Will jest bardzo ostrożny - westchnęła Bodie. - W mieście jest dziewczyna, która go zna. Pracuje w sklepie spożywczym i kiedyś mnie zaczepiła, żeby o nim pogadać. Mówiła, że on, nie chcąc złamać prawa, sprawdza dokładnie wiek osoby, którą zamierza filmować. Mimo to nie wyobrażam sobie, żeby mógł chodzić na wolności - dodała z nienawiścią.

- Muszą go zapuszkować. Jest wiele sposobów na ludzi żyjących na pograniczu prawa.

- I pewnie nie są ci obce - zauważyła po raz pierwszy od dawna z lekkim uśmiechem.

Cane rozpromienił się. Uśmiech nadał blasku jego oczom i miękkości rysom. Patrzył na Bodie jak nigdy wcześniej. Nie wiedziała, co to oznacza, ale nie miała czasu nad tym się zastanawiać, ponieważ podeszła następna osoba złożyć jej kondolencje. Cane z powrotem wtopił się w tłum.

Tego wieczoru Bodie siedziała na brzegu łóżka we własnej piżamie i wpatrywała się w przestrzeń. Nie wątpiła, że dziadek ją kochał tak samo mocno jak ona jego i że nigdy by jej nie skrzywdził, ale ludzie z upodobaniem opowiadali o tym, co dzieje się w ciemnościach po śmierci bliskich, dlatego jakoś nie miała ochoty zgasić światła. Nagle usłyszała ciche pukanie do drzwi, a po chwili do pokoju wsunął się Cane z kubkiem gorącej czekolady. On też jeszcze się nie położył i nadal był w dżinsach i błękitnej koszuli, ale zdjął już buty i chodził w samych skarpetkach.

- Pomyślałem, że nie możesz zasnąć - powiedział. - Zobacz, co przyniosłem. Gorąca czekolada z piankami cukrowymi.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała zaskoczona Bodie, która uwielbiała czekoladę, szczególnie z pływającymi w niej małymi piankami.

- Mavie przygotowała ją dla ciebie, ja tylko przyniosłem - odparł ze śmiechem.

Bodie wzięła od niego parujący kubek i ostrożnie napiła się, mrużąc ze szczęścia oczy.

- Jest boska. Dziękuję, dziękuję wam obojgu.

- Po śmierci mamy nie spałem przez dwie noce - przyznał Cane z ciężkim westchnieniem. - Zmarła na raka dawno temu, kiedy byliśmy nastolatkami.

- Moja mama też. To było straszne.

- Nikt tego w pełni nie zrozumie, dopóki sam nie doświadczy śmierci najbliższych. Ta choroba trwa długo. Czasem leki pomagają, a czasem nie. Zawsze sądziliśmy, że matka się poddała. Była dość smutną osobą. Żyła tylko dla swoich synów i poza do-

mem w ogóle nie istniała. Często zastanawiałem się, czy marzyła o byciu kimś innym. Może artystką, bo pięknie malowała. Musiała zrezygnować z własnych pragnień, żeby nas wychować.

- I świetnie się sprawiła - powiedziała cicho Bodie. - Czy to już się zupełnie w dzisiejszych czasach nie liczy? Czy każda kobieta musi być prezesem wielkiej firmy, oficerem wysokiego szczebla w wojsku albo międzynarodowym politykiem? Czy nie może poświęcić się rodzinie, dbać o nią i uczyć dzieci prawdziwych wartości, zapewniając im szczęśliwe dzieciństwo?

- Nie wiem. Nie mam dzieci.

- Ale ja chciałabym je mieć. Chciałabym odnieść sukces w zawodzie, ale też założyć rodzinę. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Moja znajoma ma rodziców archeologów. Jeżdżą z dziećmi po całym świecie i sami je uczą. Dzięki temu dzieciaki o lata świetlne wyprzedzają program edukacyjny - powiedziała i westchnęła rozmarzona. - Też bym chciała zabierać dziecko na wykopaliska.

Myśl o Bodie piastującej dzieci innego mężczyzny była poruszająca i Cane obrzucił ją mrocznym spojrzeniem.

- Nie patrz na mnie jak na wariatkę tylko dlatego, że sam nie chcesz się żenić.

- Wcale tak nie patrzyłem - odparł, odwracając wzrok.

- Patrzyłeś.

- Przestań. Nie zamierzam się z tobą kłócić. Nie dzisiaj.

- Ach, więc jesteś w pokojowym nastroju.

- Coś w tym stylu - przyznał Cane i przyjrzał się jej bladej twarzy. - Przykro mi, że tak się to wszystko ułożyło i nie miałaś okazji pożegnać się z dziadkiem. Pamiętaj jednak, co powiedział Tank. Rafe przeczuwał swoją śmierć, dlatego prosił, żeby ci przekazał, że cię kocha. Chciał, żebyś o tym wiedziała.

Bodie przełknęła łyżę razem z kolejnym łykiem gorącej czekolady. Prawie nie czuła jej smaku. Nie podniosła wzroku, dopóki nie wypłała wszystkiego, żeby nie okazać przy Cane słabości. Wciąż nie mogła zapomnieć, co jej powiedział.

Nagle poczuła, że mężczyzna ociera jej oczy miękką chustką, i spojrzała na niego zaskoczona. Cane patrzył na nią z troską.

- Myślę, jak mam ci wynagrodzić to, co powiedziałem i zrobiłem - wykrztusił łamiącym się głosem. - Zamierzam przestać pić, Bodie. I wrócę na terapię. Czy to pomoże?

- To najlepsze, co możesz zrobić dla siebie - powiedziała, oddając mu kubek. - Rodzina cię kocha i nie powinieneś narażać ich na przykrości z powodu tego, co spotkało cię w czasie wojny. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Wiem, że to było straszne, ale musisz żyć dalej. Świat stoi przed tobą otworem, a ty zamknąłeś się w sobie.

- Przestań - poprosił, odwracając chmurne spojrzenie.

- Widzisz?

- Przestań czytać mi w myślach - dodał.

- Wybacz, to nie było zamierzone. - Szybko zmieniła temat. - Boję się zasnąć. Czy to nie głupie?

- Wcale nie. Ja po śmierci matki przez dwa dni nie gasiłem światła. Właściwie nie bałem się ciemności, tylko czułem się... niepewnie.

- Też tak mam. Wiem przecież, że dziadek nigdy by mnie nie skrzywdził. To tylko atawistyczne lęki.

- Być może.

- Cóż - westchnęła. - Jeszcze raz dziękuję za czekoladę i przekaż to, proszę, Mavie.

W odpowiedzi Cane odsunął brzeg kołdry.

- Przesuń się - powiedział.

- Co?

- No, posuń się.

Była tak zaskoczona, że bez protestu zrobiła mu miejsce. Cane położył się obok, wsuwając kikut ramienia pod jej głowę.

- A teraz śpij - zarządził, gasząc zdrową ręką nocną lampkę.

Zszokowana Bodie zeszywniała.

- Drzwi są otwarte - przypomniał. - I chyba nie sądzisz, że wykorzystałbym moment, gdy jesteś przerażona i w żałobie. Może i bywam szorstki, ale sądziłem, że masz o mnie lepsze zdanie.

- Co pomyśli sobie twoja rodzina? - szepnęła, odprężając się odrobinę.

- Że postąpiłem rycersko.

- Jestem damą w opałach?

Cane odwrócił się w jej stronę. Jego oczy lśniły w półmroku.

- Byłaś w tarapatach tamtej nocy, gdy za dużo wypilem.

- Mówiłeś, że nie pamiętasz - mruknęła, unikając jego wzroku i czując, jak rumieniec oblewa jej policzki.

- Nie pamiętałem aż do wczoraj - przyznał i zapatrzył się w sufit. - Aż było za późno i powiedziałem coś, czego nie da się cofnąć, a co zmusiło cię do podjęcia decyzji, która będzie cię dręczyć całe życie.

- Och - westchnęła Bodie, z trudem przełykając ślinę.

Tamta noc wyryła się w jej pamięci na zawsze. Może i Cane nieco się pospieszył, ale przyjemność, której doświadczyła, sprawiła, że wspomnienia miały słodki smak.

- To był twój pierwszy raz?

Bodie milczała. Nie chciała się przyznać, tym bardziej jemu.

- Powiedz, Bodie - ponaglił ją zduszonym głosem, odwracając głowę tak, by ją widzieć.

- Tak... ja nigdy... to znaczy... - szepnęła niezdecydowanie.

W jego wzroku pojawiło się coś, czego nie umiała nazwać. Sięgnął do jej twarzy zdrową ręką, pogładził po policzku i nachylił się, żeby pocałować jej powieki.

- Przynajmniej miałaś już jakieś przyjemne doznania, zanim przyjaciel Willa dotknął cię swoimi łapskami - mruknął, a kiedy chciała coś powiedzieć, przywarł ustami do jej warg.

Całował ją niespiesznie, z nieskończoną czułością i czcią, które zawróciły jej w głowie.

- Jesteś jak różany pączek, który boi się rozchylić płatki - wyszeptał między pocałunkami.

- No wiesz!

Cane'a rozśmieszyło jej oburzenie, tym bardziej że rozchyliła usta, co natych-

miast wykorzystał. Całował ją wprawnie, skubiąc wargę zębami i pieszcząc językiem delikatne wnętrze ust, dopóki nie poczuła mrowienia w całym ciele. Kiedy ci chutko jęknęła, przerwał pocałunek, oddychając ciężko.

- Gdybyś była trochę starsza, a ja byłbym większym łajdakiem, niż jestem, wstałbym, żeby zamknąć drzwi - wydyszał.

Bodie nie miała pojęcia, o czym mówił. Jej doświadczenie w kontaktach z mężczyznami ograniczało się do tych kilku zbliżeń z Cane'em.

- Zamknąłbyś mnie tutaj?

- Zamknąłbym tu nas i zaczął cię rozbierać! - wykrztusił, znów przywierając do jej ust w coraz bardziej namiętym pocałunku.

Rozpłomieniony Cane przesunął się nad Bodie i wsunął dłoń pod jej bluzę. Na szczęście zachował na tyle przytomności umysłu, żeby usłyszeć czyjeś kroki na schodach. Szybko przeturlał się na plecy i krzywiąc się, próbował wyrównać oddech.

- Udawaj, że śpisz, bo inaczej brat wyrzuci mnie przez okno - powiedział schrypniętym głosem.

- Sama powinnam mu w tym pomóc - wykrztusiła Bodie, ale zamknęła oczy, starając się wyglądać niewinnie.

Kroki gwałtownie zatrzymały się przy drzwiach sypialni. Intruz cicho się zaśmiał, a potem dyskretnie wycofał.

Cane wypuścił wstrzymywane powietrze i ułożył się tak, żeby widzieć Bodie.

- Nie wyrzuciłabyś mnie przez okno - oznajmił z roziskrzonym wzrokiem - bo nie miałby kto nauczyć cię całować.

- Cane! - oburzyła się bezradnie.

- Uwielbiam cię całować - wymruczał, przesuwając opuszką kciuka po jej miękkich wargach. - Jesteś taka młoda, że muszę chyba być niespełna rozumu. Zraniłem cię, odepchnąłem i wpakowałem w niezłą kabałę przez swój temperament...

- Zapomniałeś o nazwaniu mnie dziwką - przypomniała ze złością.

- Tak. Zapomniałem - westchnął.

Wyglądał na tak zakłopotanego i nieszczęśliwego, że Bodie zrobiło się przykro, że poruszyła ten temat.

- Wybacz. To zabolalo.

- Pragnąłem cię.

- Słucham?

- Pragnąłem cię aż do bólu - powtórzył, wznosząc oczy ku niebu. - Byliśmy sami, a ja z trudem nad sobą panowałem po naszym pocałunku, szczególnie że pozwalałaś mi robić, co chciałem. A chciałem wiele - przyznał, zaciskając zęby. - Wolałem więc cię odstraszyć. Przepraszam. Powinienem być z tobą szczerzy. Ale na taką prawdę stać mnie tylko, kiedy jestem pijany - szepnął, unikając jej wzroku. - Ty jesteś jeszcze taka młoda, Bodie, i niczego w życiu nie doświadczyłaś.

- Pragnąłeś mnie - powtórzyła jedyne słowa, jakie zapamiętała z jego przemowy.

- Tak.

- Nic nie mówiłaś.

- Naprawdę się nie domyśliłaś, czując moją męskość, kiedy się całowaliśmy? - zapytał, posyłając jej wymowne spojrzenie.

- No wiesz! - krzyknęła i uderzyła go w ramię.

- Może chciałabyś, żebym ci to znów zademonstrował? - zapytał, szczerząc zęby w łobuzerskim uśmiechu.

Już miała mu odpowiedzieć, gdy na schodach znów rozległy się kroki.

- Śpimy - przypomniał jej szeptem, położył się na plecach i zamknął oczy.

Tym razem były to kroki kilku osób, ale Cane nie odważył się spojrzeć. Znów usłyszeli zduszony śmiech i kroki się oddaliły.

Kiedy Cane rozchylił powieki, dostrzegł Bodie krztuszącą się ze śmiechu.

- No co? - zapytał.

- To byli twoi bracia oraz Morie i Mavie - prychnęła. - Trzeba było widzieć ich miny!

- Jakim cudem?

- Podglądałam zza twojego ramienia. Nie mogli mnie zobaczyć.

- Pewnie wyglądamy dziwnie - westchnął, kręcąc głową.

Bodie z powrotem położyła głowę na jego okaleczonym ramieniu.

- Dziękuję - szepnęła.

- Za pocałunek? - zapytał żartobliwie.

- Za szlachetność. Za troskę, żebym nie była sama w ciemnościach... i za to, że nie wyśmiałeś moich obaw.

Cane nie trzymał kobiety w ramionach od czasu swojego wypadku. Obawiał się, że nie jest już zdolny do miłości albo że jakaś światowa kobieta wyśmieje jego niezgrabne wysiłki. Przy Bodie nie czuł się niezręcznie. Przesunął ramię i zgiął kikut ręki, tak by dotknąć jej talii. Nawet nie drgnęła.

- Nie przeszkadza ci to? - zapytał zduszonym głosem.

- Nie bądź niemądry. Dlaczego miałoby mi przeszkadzać?

- Bo nie mam dłoni - wykrztusił.

- Wielu mężczyzn straciło kończyny podczas wojny - powiedziała sennie. - Wielu z nich było żonatych. Naprawdę uważasz, że to mogłoby odstręczyć ich kobiety? - zapytała, a on tylko zamrugał w zdumieniu. - Czy brzydziłbyś się mną, gdybym nie miała ręki?

- Nigdy - oznajmił bez zastanowienia, a Bodie posłała mu promienny uśmiech.

Cane nie wiedział, co myśleć. Z trudem oddychał. Z jednej strony był szczęśliwy, że Bodie widzi w nim mężczyznę, z drugiej jednak bał się zaangażować. Dopiero co przeżyła ogromną stratę i nieprzyjemne doświadczenie z przyjacielem ojczyma. Jednak teraz, leżąc bezpiecznie w objęciach Cane'a, zdawała się o tym nie pamiętać. Wiedział jednak, że kiedy otępienie, błogosławiona reakcja organizmu na stres, minie, będzie musiała stawić czoło ostatnim wydarzeniom. Może go nawet znienawidzić za udział w jej upodleniu. Może obwinić go o stratę dziadka i sytuację, w jakiej się znalazła, nie chcąc stracić dachu nad głową.

Mogło się tak zdarzyć. Teraz jednak odpływała w sen, skulona bezpiecznie w jego ramionach. On zaś tulił ją niczym najcenniejszy skarb, wdychając w upojeniu zapach jej różanych perfum.

Następny dzień mógł przynieść więcej bólu i problemów, ale dziś byli razem i było wspaniale. Cane czuł się jak nowo narodzony. Wypełniała go nadzieja i czuła namiętność.

Nie zamierzał myśleć o niczym nieprzyjemnym, tylko cieszyć się bliskością Bodie. To mógł być jedyny moment w jego życiu, gdy miał ją wyłącznie dla siebie. Nie chciał marnować ani sekundy, zamartwiając się na zapas. Zamknął oczy i nawet się uśmiechnął.

Następnego ranka Bodie obudziła się w łóżku sama. Przez chwilę bała się, że Cane jej się tylko przyśnił, jednak kubek po gorącej czekoladzie i wgniecenie na poduszce, w którym z uśmiechem zanurzyła twarz, żeby poczuć piżmowy zapach, były dowodem jego obecności.

Wstała radośnie, a potem nagle przypomniała sobie, że to dzień pogrzebu dziadka. Jej szczęście natychmiast się ulotniło. Wiedziała, że już do końca życia będzie sama. Nie miała też dokąd wracać, bo właścicielem jej dawnego domu był Will Jones. Wszystkie jej rzeczy znajdowały się teraz albo w tym pokoju, albo w magazynie Kirków.

Z jakiegoś powodu najbardziej zabolą ją strata drzewka, które ścięła i musiała za nie zapłacić, a dekorowała je z takim optymizmem i miłością. Bodie usiadła z powrotem na łóżku i wybuchła płaczem.

- O mój Boże! - Morie wbiegła do pokoju i mocno ją objęła. - Wiedziałam, że prędzej czy później to cię dopadnie. Już dobrze, kochana - pocieszała, kołysząc ją w ramionach.

- Moja choinka - szlochała Bodie. - To głupie płakać o taką bzdurę, ale mama zasadziła kilka, żebyśmy zawsze mieli żywe drzewko na święta. Ścięłam świerk jak zawsze, a Will Jones kazał mi za niego zapłacić, bo rósł na jego ziemi...

- To drań!

- Były na niej moje ozdoby. Niektóre odziedziczyłam po babci, a teraz wszystko przepadło!

- Nie martw się, nic nie przepadło - powiedział Mallory, wchodząc do pokoju i uśmiechając się do żony. - Morie pamiętała o nich, więc Tank rozebrał drzewko i spakował ozdoby do pudła. Są w magazynie razem z resztą twoich rzeczy. Budynek jest ogrzewany, więc nic się nie zniszczy.

- Pewnie, że ogrzewany, bo mieszkają w nim też twoje drogocenne byki rozplodowe - zauważyła Morie z przekąsem.

- Jak to miło z waszej strony! - wzruszyła się Bodie, wybuchając na nowo płaczem.

- Mam dla ciebie nową sukienkę na pogrzeb - powiedziała cicho żona Mallory'ego. - I nie marudź. Gdybym to ja znalazła się w takiej sytuacji, zrobiłabyś dla mnie to samo. Wszystko jest już gotowe, nawet miejsce na cmentarzu. To samo, gdzie pochowano twoją babkę, ojca i matkę.

- Powinnaś zobaczyć te wszystkie kwiaty - wtrącił od drzwi Tank. W ciemnoszarym garniturze był olśniewająco przystojny. Miał takie same ciemne włosy i oczy jak jego bracia. - Kościół jest pełen. Po pogrzebie zostanie mnóstwo roślin do posadzenia.

- Tak, na pewno moja współlokatorka pozwoli mi posadzić je na środku pokoju - mruknęła ironicznie Bodie.

- Możesz zasadzić je tutaj - odparła Morie. - Będą czekały na twój powrót, tak

samo jak twój pokój.

Bodie uniosła wzrok i wpatrzyła się w nią, nic nie rozumiejąc.

- Teraz to jest twój dom, Bodie - oznajmił Mallory z uśmiechem. - Mieliśmy spotkanie rodzinne, na którym zostałam uznana za jedną z nas. Od tej chwili to jest twoje miejsce na świecie i możesz z niego korzystać, kiedy nie jesteś na uczelni czy wykopaliskach.

Po policzkach Bodie znowu popłynęły wielkie jak groch łzy.

- Nie wiem, co powiedzieć - wykrztusiła. - Jesteście wspaniali.

- Właściwie to był pomysł Cane'a - zachichotał Tank.

- Powiedział, że nie możesz mieszkać w motelu - zawtórowała mu Morie.

- Chociaż rozważaliśmy ustawienie ci namiotu na wprost domu Jonesa i wezwanie prasy, by pokazać, jak podstępnie ukradł ci dom - dodał jadownicę Mallory.

- Ale zgodziliśmy się o tym nie rozmawiać, prawda? - zapytała z naciskiem jego żona.

- Owszem, przepraszam, ale nie mogłem się oprzeć - wymamrotał.

- Pewnego dnia Will Jones za to wszystko zapłaci - zapowiedział Tank. - Szeryf wpadł na ślad niepełnoletniej dziewczyny, z którą Will się zadawał. Jeśli to się potwierdzi, pójdzie siedzieć.

- Gdyby był uczciwy, nic takiego by go nie spotkało - chlipnęła Bodie.

- Poprosiliśmy też naszych prawników o przyjrzenie się testamentowi twojej mamy - oznajmił Tank. - Sądzymy, że może nie być zgodny z prawem, tym bardziej że zawsze powtarzała, iż chce, żebyś to ty wszystko po niej odziedziczyła.

- Spisała ostatnią wolę... - zaczęła Bodie.

- Dokument może być sfałszowany, kochanie - łagodnie przerwała jej Morie.

- Wspaniale byłoby odzyskać dom, ale to tylko budynek. Kiedy skończę studia licencjackie, pójdę na magisterskie, a potem doktoranckie. Będę tu rzadkim gościem. - Bodie westchnęła, ocierając oczy brzegiem bluzy. - Ale dziękuję, że zechcieliście przechować moje rzeczy - dodała, zdobywając się na blady uśmiech. - Każdy musi mieć jakieś własne drobiazgi.

- A on ma nawet więcej niż zwykli ludzie - mruknęła Morie, patrząc na męża.

- Bo jestem starszy od reszty - bronił się rozbawiony Mallory.

- Ach, ty mój staruszkule - mruknęła Morie, całując go w policzek. - Powinniśmy się przygotować, bo niedługo wychodzimy.

- Niektórzy są już ubrani i wyglądają olśniewająco - oznajmił Tank, przybierając wymyślną pozę.

- Chyba śnisz! - odezwał się Cane, wchodząc do pokoju. - Tutaj masz okaz przyzwoitego gościa - rzekł, wskazując swój ciemnogrnatowy garnitur, białą koszulę i pasujący do stroju krawat.

- Co jeden to bardziej zarozumiały - mruknęła Morie.

- Cóż poradzić, skoro mam powody - odparł niezrażony Cane, rozśmieszając wreszcie Bodie. - Mam liczne zalety. Sama im zresztą powiedz.

- To prawda - musiała przyznać.

- Tak. To bardzo miło z twojej strony, że zostawiłaś otwarte drzwi - wtrąciła Morie. - Niektórzy z nas mieli wątpliwości co do czystości twoich intencji, gdy zobaczyli cię z Bodie w jednym łóżku.

- Ty niecna kobieto. Jestem wcieleniem rycerskości.

Wszyscy spojrzeli na Bodie, żeby potwierdziła jego słowa, ale ona natychmiast spłonęła rumieńcem, budząc powszechną wesołość.

- Do diabła z otwartymi drzwiami - burknął Cane. - Lepiej się ubierz, bo czeka cię jeszcze jedna przeszkoda - zwrócił się do Bodie.

- Będziesz musiała podjąć ważną decyzję - wtrącił Tank.

- Naprawdę? - zdziwiła się, pamiętając, że zdecydowała już w sprawie muzyki, trumny i nabożeństwa.

- Owszem. Chodzi o to, co mamy zrobić, jeśli Will zjawi się na pogrzebie.

- Nie ośmieli się! - krzyknęła Bodie. - Nie pojawił się nawet na czuwaniu.

- Tak, ale żyje w tej społeczności i byłoby źle widziane, gdyby nie przyszedł na pogrzeb własnego teścia. Zwykle ma w nosie, co sądzą inni, ale w tej sytuacji może przyjść.

- Jeśli tak, poproszę właściciela domu pogrzebowego, żeby go wyprosił. Dziadek go nie cierpiał i nie życzyłby sobie jego obecności - zdecydowała bez wahania.

- Wiele osób nie znosi Jonesa - przyznał Tank. - Macza swoje brudne paluchy we wszystkich ciemnych sprawkach. Nigdy go nie aresztowano, choć parę razy oskarżono o różne podłości. Niestety, zwykle było za mało dowodów.

- To się zmieni - oświadczył groźnie Cane.

- Tak - zgodził się Tank bez uśmiechu. - Szykuj się, Bodie, bo po pogrzebie przyjdzie mnóstwo osób na stypę, żeby rozprawić się z tymi górami jedzenia, które po-przynosili sąsiedzi. Żyjemy wśród bardzo miłych ludzi.

- Wiem o tym - przyznała Bodie z lekkim uśmiechem. - Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to matka krzątająca się w kuchni i szykująca pyszne potrawy na konsolacje u tych sąsiadów, którzy właśnie zegnali kogoś bliskiego.

- Dlatego tak lubimy tu mieszkać - wtrącił Mallory. - No dobra, wszyscy wyjść!

- Dziękuję - powiedziała Bodie. - Jeszcze raz bardzo wam dziękuję.

- Zrobiłabyś to samo dla nas, mała - rzucił Cane, zatrzymał się w progu i uśmiechnął, widząc jej minę, kiedy usłyszała to pieszczotliwe słowo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bodie przepłakała całą ceremonię, nie odrywając wzroku od okrytej kwiatami trumny. Zbliżały się święta, więc żałobnicy przynieśli mnóstwo czerwonych i białych poinsecji. Kiedy na ich widok uświadomiła sobie, że już nigdy nie spędzi z dziadkiem świąt, rozplakała się jeszcze żałośniej.

- Trzymaj się, już niedługo - szepnął jej do ucha Cane, obejmując ją mocno.

Bodie była w stanie jedynie skinąć głową.

Po ostatniej modlitwie organista zaczął grać *Amazing Grace*, a kilku mężczyzn podniosło trumnę. Kiedy Bodie u boku Cane'a ruszyła za nią, jej wzrok padł na stojącego przy jednej z ławek ojczyma. Cane ruchem głowy wskazał mu drzwi. Will nie był na tyle odważny, żeby mu się sprzeciwić, więc tylko wzruszył ramionami i poszedł do wyjścia, jednak na tyle powoli, żeby go rozzłościć.

Potem Cane pomógł Bodie wsiąść do limuzyny i cofnął się, aby porozmawiać z braćmi. Nie słyszała, o czym mówili, ale podejrzewała, że mogło to dotyczyć Jone-sa.

Na cmentarzu zgromadził się tak samo gęsty tłum jak w kościele. Cane nie puszczał dłoni Bodie, nie zważając na spojrzenia niektórych uczestników pogrzebu.

Trumnę pokrywał kobierzec białych, czerwonych i niebieskich róż kupionych przez Kirków, którzy wiedzieli o służbie Rafe'a w Wietnamie. Było też mnóstwo wieńców i wiązanek w świątecznych kolorach. Niebo zasnuwały ciężkie chmury, z których w każdej chwili mógł spaść śnieg. Bodie nie miałyby nic przeciwko temu, choć utrudniał on życie i ranczerom, i mieszkańcom miasteczka.

Po ostatniej modlitwie i spuszczeniu trumny do grobu żałobnicy podchodzili uści-skać Bodie i złożyć jej kondolencje. Trwało to dość długo, choć liczba osób żegnają-cych dziadka radowała jej serce. Kiedy wszyscy odeszli, jeszcze przez chwilę stała samotnie przy grobie.

- Będę za tobą tęsknić do końca życia - wyszeptała. - Kocham cię, dziadku.

Wreszcie otarła łzy i odwróciła się, żeby odejść. Nie było to łatwe. A jeszcze trud-niej było nie oglądać się za siebie.

Stypa odbywała się w domu Kirków. Sąsiedzi przynieśli mnóstwo jedzenia i zro-biono szwedzki stół. Bodie, choć nie była głodna, nałożyła sobie udko kurczaka, tłu-czone ziemniaki i zielony groszek. Nie wypadało odmówić jedzenia, skoro ludzie za-dali sobie tyle trudu z przygotowaniami. Przyjmowała ich życzliwość z wdzięczno-scią. Aż do tej pory nie wiedziała, jak wspaniałych ma sąsiadów.

- Niezła frekwencja - mruknął Mallory przy deserze, na który składały się różne ciasta, ciasteczka i puddingi. - Twój dziadek miał więcej przyjaciół, niż sądziłem.

- Urodził się tutaj - odparła Bodie z bladym uśmiechem. - A na pomniku wetera-nów w centrum miasteczka jest wyryte jego imię i nazwisko.

- Byliśmy zachwyceni, że został na ranczu, kiedy je kupiliśmy - wtrącił Tank, pijąc kawę. - Nauczył nas wszystkiego o hodowli bydła, a Darby'ego przygotował do zarządzania ranczem.
- To prawda. Rafe był dobrym człowiekiem - potwierdził Darby.
- A mnie nauczył pływać, kiedy byłem mały - odezwał się inny kowboj.
- Naprawdę?
- O tak - odparł tamten z błyskiem w oku. - Przyznałem mu się kiedyś, że nie umiem pływać, a on wrzucił mnie do stawu!
- O mój Boże! - krzyknęła Bodie. - Nie zacząłeś się topić?
- Cóż, podtopienie było doskonałą zachętą do błyskawicznej nauki pływania. Natychmiast ruszyłem pieskiem do brzegu. W razie czego Rafe nie czekałby przecież, aż utonę. Powiedział, że skoczyłby mi na ratunek, gdyby było trzeba. Zresztą tak właśnie jego ojciec nauczył go pływać - dodał starszy kowboj i przyjrzał się Bodie, mrużąc oczy. - A ty umiesz pływać, moja panno?
- Umiem! - zapewniła skwapliwie, a wszyscy się roześmiali.

Wieczorem Mallory i Morie oglądali wiadomości, a Bodie siedziała z Tankiem w salonie, słuchając, jak próbuje zagrać nowe utwory kupione w sieci.

- To było piękne - powiedziała, kiedy skończył grać.
- Mnie też się podobało - przyznał, odwracając się od fortepianu. - Jakies życzenia? - zapytał z ciepłym uśmiechem.
- Tak. Przestać brzdąkać - burknął Cane od drzwi.
- Zazdrościsz, bo trzeci koncert Rachmaninowa dobrze mi idzie, a ty nigdy nie miałeś dość cierpliwości, żeby nauczyć się go grać. - Ten koncert fortepianowy z powodu wyzwań technicznych i ekspresyjnych, jakie stawiał przed pianistami, uchodził za jeden z najtrudniejszych do wykonania.
- Gdybym chciał, tobym się go nauczył - mruknął Cane, o dziwo, nie wybuchając złością na wspomnienie swego kalectwa.

Kiedy Cane miał obie dłonie, grał niemal tak samo dobrze jak Tank. Zresztą wszyscy Kirkowie byli muzykalni.

- Akurat - prychnął Tank. - Matka prawie musiała go przywiązywać do stołka, żeby słuchał nauczyciela.
 - Zawsze wolałem bardziej aktywne zajęcia. - Cane usadowił się na kanapie obok Bodie, krzyżując długie nogi.
 - Jak strzelanie do innych dzieciaków z wiatrówki - wytknął mu Tank. - Omal nas nie pozwali.
 - To tamten chłopak pierwszy do mnie strzelił - zaprotestował Cane. - A potem skłamał, że to ja go zaatakowałem. Ja nigdy nie kłamię.
 - To prawda - westchnął Tank. - Kiedyś poprosiłem go o małe kłamstewko w sprawie nachalnej wielbicielki, która stale do mnie wydzwaniała, a on nie tylko powiedział jej, że jestem w domu, ale nawet przyniósł mi telefon, żebym mógł z nią od razu porozmawiać.
 - Tylko ci pomagałem. Ucieczka od problemu niczego nie załatwia.
- Tank i Bodie niemal równocześnie ugryźli się w język, żeby nie skomentować jego picia po utracie dłoni. Cane musiał jednak zgadnąć po ich minach, o czym pomyśleli,

bo się skrzywił.

- Zaczynam nowy rozdział - powiedział usprawiedliwiająco. - Umówiłem się z innym psychologiem i kazałem Mavie pozbyć się z domu całej whisky. Śmiała się w głos, wylewając ją do zlewu.

- To ci dopiero.

- Zamierzam wpaść w inny nałóg, o wiele poważniejszy niż uzależnienie od alkoholu - mruknął Cane, patrząc na Bodie.

- Czyżby? - zdziwił się nieszczerze Tank. - Co masz na myśli?

- Na razie nie mogę zdradzić - zaśmiał się Cane. - Nie masz nic lepszego do roboty? Chyba coś grałeś.

- Owszem. Te nowe utwory nie są złe, ale i tak nie mogą się równać z twórczością Rachmaninowa - oznajmił Tank i znów zaczął grać.

Cane tak długo wpatrywał się w Bodie, że spłonęła rumieńcem i spuściła wzrok, co wywołało szeroki uśmiech na jego twarzy.

Tej nocy Bodie długo wierciła się w łóżku, zanim zasnęła. Nie spała dobrze, więc rano, kiedy zeszła na śniadanie, miała podkrążone oczy.

- Wyglądasz jak zombie - powitał ją Cane, kiedy usiadła obok i naląła sobie kawy.

- Nie spałam do trzeciej.

- Złe sny?

- Raczej strach przed złymi snami - odparła cicho.

- To minie - zapewnił ją Mallory. - Trzeba tylko czasu.

- Wiem. Jestem wam wszystkim bardzo wdzięczna. Gdyby nie wasza rodzina, nie miałabym dachu nad głową.

- Bzdury - zaprzeczył Tank. - Sam słyszałem na pogrzebie, jak pół miasta proponowało ci gościnę. Wiele osób znało i ceniło Rafe'a.

- Chyba tak - przyznała, grzebiąc bez entuzjazmu w jajecznicy.

- Nie kręć mi tu nosem na moje ekologiczne jajka od szczęśliwych kur z wolnego wybiegu - wtrąciła Mavie, stawiając na stole usmażony na chrupko bekon, kiełbaski z wody i talerz biszkoptów. - Co dzień śpiewam moim kurkom, żeby zdobyć te jajka.

- To prawda. Raz nawet widziałem, jak grała na skrzypcach w kurniku - zażartował Cane.

- Ty masz już wystarczająco wiele kłopotów, łobuzie - oznajmiła Mavie, grożąc mu chochlą.

- Co przeszkrobał? - chciała wiedzieć Bodie.

- Pożarł wieczorem cały talerz ciastek, które wczoraj upiekłam na deser do dzisiejszego obiadu.

- To pomówienia - bronił się Cane z łobuzerskim uśmiechem. - Upiekłaś je dla mnie.

- Nieprawda!

- Sama mówiłaś, że trzeba mnie podkarmić.

- Ale przecież nie ciastkami! A biszkoptów wcale nie chcesz tknąć.

- Mam na nie alergię.

- Nikt nie ma uczulenia na biszkopty.

- Ja mam. Sama zobacz - powiedział, sięgając po puszyste ciastko i upuszczając je

obok swojego talerza. – Widziałaś? A najgorzej jest, kiedy są posmarowane masłem.

– Poddaję się – jęknęła Mavie ze śmiechem.

– Nie dziwię ci się – powiedział Tank. – Jego nie da się przekonać.

– Mnie raz się udało – wtrącił się Mallory.

– Cóż, chemia nie jest moją najmocniejszą stroną.

– Nie chodziło o chemię – odparł Mallory, dopijając kawę. – Byliśmy wtedy nastolatkami. Upierałeś się, że metan nie wybuchą. Tank zapalił zapałkę i udowodnił, że się mylisz.

– Prawie wysadził w powietrze krowę, która dostarczyła mu próbek do doświadczenia – parsknął śmiechem Cane.

– Ach, cudowne dzieciństwo – rozmarzył się Mallory. – Ale dostaliście wtedy baty od ojca.

– To on nas w to wkręcił – mruknął Cane, wskazując najstarszego brata widelcem.

– Kazał Tankowi powiedzieć mi, że metan nie jest niebezpieczny. Wiedział, że będę się upierać przy odmiennym poglądzie. Zawsze byłem przekorny.

– Nadal tak jest – roześmiał się Tank.

– Tylko wtedy, kiedy wiem, że mam rację.

– Czyli cały czas.

– Nieważne. To był pouczający eksperyment. Potem przez jakiś czas nie miałem wstępu do obory i nie musiałem jej czyścić.

– Miałeś cały tydzień laby – wypomniął mu Mallory.

– Dziadek wspominał, że eksperymentowaliście z wykorzystaniem metanu do zasilania obory prądem – wtrąciła Bodie.

– Owszem – zgodził się Mallory. – Instalacja nie jest tania, ale się opłaca. Dzisiejsza technologia potrafi zdziałać cuda.

– Dlaczego nikt więcej nie stosuje tego rozwiązania?

– Gdziekolwiek jest wykorzystywane, ale, jak mówiłem, sprzęt i instalacja są drogie.

– Byłoby cudownie, gdyby można było używać też innych odpadów do rozwiązania problemów energetyki.

– To prawda.

– Ale podłapaliście temat do śniadania – skrzywiła się Morie, podchodząc do stołu z pustym kubkiem.

Mallory pocałował żonę czule i nalał jej kawy.

– Rozmawialiśmy o metodach pozyskiwania energii.

– Właśnie słyszałam. Jak się czujesz, Bodie?

– Smutno mi, ale jakoś sobie radzę.

– Czas leczy rany.

Cane skrzywił się, słysząc ten banał.

– Jadę do Jackson Hole w sprawie byka. Masz ochotę się przyłączyć? – zwrócił się do Bodie.

– Ja... pewnie – odparła, mile zaskoczona.

– To nie zajmie dużo czasu. Chcę na własne oczy obejrzeć młodego byczka, ponieważ ranczerska prasa rozpisuje się o jego ojcu.

- Lubię bydło.
- My też - przyznał Mallory ze śmiechem.
- Pojedziemy po śniadaniu - zdecydował Cane.

Bodie skinęła głową z zadowoleniem. Wiedziała, że powinna zająć się czymś, co oderwie jej myśli od żałoby. A to, że Cane sam szukał jej towarzystwa, było niecodziennym i przyjemnym doświadczeniem.

Cane wybrał samochód, który mógł prowadzić jedną ręką.

- Bill Sanders to ranczer w trzecim pokoleniu - powiedział. - Jego ojciec niemal stracił ziemię, kiedy firma deweloperska chciała tam postawić wielki kompleks hotelowy. Walczył z nimi w sądzie dwa lata, ale wygrał. W końcu wybrali inną część stanu, gdzie ludzie byli bardziej otwarci na zmiany.

- Jackson Hole jest dość dobrze rozwinięte ze swoimi hotelami i sklepami.

- Owszem. Bardzo się skomercjalizowało w ostatnich latach. Góra Grand Teton jest tak znana, że ludzie tłumnie się zjeżdżają, by ją zobaczyć. Zresztą tak samo przyciąga ich cały park narodowy, jego czyste wody i powietrze.

- Dziadek powtarzał mi, że dożyję czasów, gdy ludzie będą walczyć o wodę. Kiedyś wydawało mi się to zabawne, ale teraz już nie.

Cane zerknął na swoją pasażerkę. Było jej do twarzy w zielonym golfiku i dżinsach. Ponieważ w półciężarówce było ciepło, położyła znoszoną skórzaną kurteczkę na kolanach.

- Ślicznie wyglądasz, Bodie - powiedział. - Zresztą ty zawsze ładnie wyglądasz.

- Dziękuję.

- Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść po drodze lunch. Znam miejsce, gdzie podają najlepsze w Wyoming dania z grilla.

- Uwielbiam mięso z rusztu!

- Tak, wiem. Ja też. Im ostrzejsze, tym lepsze.

- Ja jeszcze mam kubki smakowe. Mogą chyba dać mi mniej ostre jedzenie?

- Oczywiście, kochanie.

Bodie poczuła się dziwnie, słysząc z jego ust takie czułe słowa. Cane nigdy nie był zbyt serdeczny. Może było mu jej żal albo czuł się winny, ale niezależnie od powodu i tak była zachwycona.

- Z frytkami - dodała po chwili.

- Nie da się jeść grillowanego mięsa bez frytek - roześmiał się Cane. - Tam gdzie jedziemy, robią własne, a nie mrożone z paczki.

- Cudownie.

- A matka właściciela knajpy piecze wspaniałe ciasta. Najlepsze, jakie w życiu jadłem.

- Przez ciebie zgłodniałam.

- I dobrze. Przyda ci się trochę ciała na tych kościach.

- Wcale nie jestem za chuda.

- Trochę jesteś. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę twoje ostatnie problemy - powiedział z powagą. - Żałuję, że mi o nich nie powiedziałaś, Bodie. Zachowałem się skandalicznie i nie mogę sobie tego wybaczyć. Gdybym wiedział, jak bardzo u ciebie źle się dzieje, w życiu bym cię nie odepchnął.

- To przez tę moją dumę. Nie chciałam przyznać, że nie umiem się zająć własnymi finansami.

- Nikt nie dałby rady w takiej sytuacji - westchnął, posyłając jej mroczne spojrzenie. - Jeden z kowbojów powiedział, że zastawiłaś nawet biżuterię babci, żeby kupić Rafe'owi leki.

To wspomnienie zabolowało. Bodie zacisnęła zęby.

- Nie miałam wyboru - wykrztusiła po chwili. - Klejnoty, nawet będące w rodzinie od pokoleń, to tylko rzeczy. Ludzie są ważniejsi. Poza tym właściciel lombardu obiecał je zatrzymać, żebym mogła je później wykupić.

Cane nic nie powiedział, ale na jego ustach błąkał się uśmiech, którego nie dostrzegła.

Restauracja okazała się barem dla kierowców ciężarówek. Parking był pełen zaparkowanych w równych rzędach tirów.

- Nie wspomniałaś, że to bar dla zmotoryzowanych - powiedziała z wahaniem Bodie.

- Nikt lepiej niż oni nie wie, gdzie dobrze zjeść - roześmiał się Cane, przytrzymując jej drzwi. - Większość życia spędzają przecież w drodze.

Kilku mężczyzn dziwnie spojrzało na Bodie, kiedy weszli. Poczowała się niezręcznie. Dostrzegła tylko jedną kobietę; siedziała ze starszym facetem w głębi sali. Cane zmarszczył brwi. Zaniepokoiła go jej reakcja.

- Hej, wszystko w porządku - zapewnił.

Bodie przygryzła wargę. Jeden z kierowców popatrzył na nią, jakby była naga, potem stuknął swojego towarzysza łokciem i wskazał ją ruchem głowy. Drugi mężczyzna posłał jej niezbyt miły uśmiech. Spłoszona Bodie przysunęła się bliżej do Cane'a. Ten zatrzymał się w pół kroku i przyjrzał kierowcom, mrużąc groźnie oczy. Mężczyźni szybko zajęli się swoim jedzeniem.

- Wychodzimy stąd - warknął Cane, chwycił ją za rękę i wyciągnął z baru. - Co jest grane? - zapytał, zaglądając jej w oczy. - Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak na ciebie reagował.

- Ja też nie - przyznała. - Przecież nie mam na sobie niczego wyzywającego - szepnęła z zakłopotaniem. - Rany, czułam się tak, jakbym to ja była w menu.

Cane wziął głęboki wdech. Przypomniawszy sobie laptop Willa i zdjęcie Bodie. Facet był niezłym komputerowcem i mógł wyciąć jakiś numer w sieci, choć Tank zapewniał, że Larry tylko całował dziewczynę. Nie było to nic przyjemnego dla niedoświadczonej dziewczyny, ale też nic, co zainteresowałoby internautów.

- Masz mnie za latawicę? - zapytała zduszonym głosem. - Oni tak na mnie patrzyli, jakbym zarabiała na ulicy...

Cane porwał ją w ramiona i mocno przytulił.

- Nie mam pojęcia, co się wydarzyło, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyliłby cię z kobietą lekkich obyczajów. A ja lepiej niż ktokolwiek wiem, jaka jesteś niewinna.

Serce Bodie zaczęło szaleńczo łomotać. Zabrakło jej tchu. Cane pogłaskał ją po miękkich ciemnych włosach.

- Wystarczy ci wrażeń. Zjemy gdzieś indziej. Tam gdzie stołują się rodziny

z dziećmi, a nie kierowcy ciężarówek, dobrze?

- Zgoda - przytaknęła potulnie.

- Hej! - zawołał nagle za ich plecami głęboki męski głos.

Kiedy się odwrócili, zobaczyli, że w ich stronę idzie niedźwiedziowaty facet z jakąś kobietą. Bodie zauważyła, że Cane natychmiast przyjął pozycję do walki. Czyżby wyczuł niebezpieczeństwo?

Obcy mężczyzna podszedł bliżej.

- Właściciel knajpy jest moim kumplem - rzekł. - Nie wiem, dlaczego poczułaś się źle przez tamtych dwóch pajaców, ale już ich wywalił za drzwi. Wróćcie i zjedzcie w spokoju. Nie rezygnujcie z pysznej wyżerki przez jakichś palantów.

- Widziałam twoją minę na mój widok - dodała kobieta z lekkim uśmiechem. - Mój mąż i ja zawsze jeździmy razem w dłuższe trasy. Ja prowadzę, kiedy on śpi, a potem się zamieniamy - wyjaśniła, patrząc z miłością na wielkoluda. - Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat, choć wydaje się, że braliśmy ślub wczoraj.

- Czuję to samo, kochanie - zawtórował jej mąż. - Chodźcie do środka. Jeśli chcecie, możecie usiąść z nami. Jeżeli ktoś cię zaczepi, nauczę go dobrych manier - powiedział do Bodie, a potem zaśmiał się, patrząc na Cane'a. - Widziałem twoją bojową postawę. Nie chciałbym ci podpaść - dodał, nieświadom irytacji Cane'a faktem, że inny mężczyzna proponuje Bodie obronę z powodu jego kalectwa. - Wyglądasz na niezłego zabijakę.

Dopiero wtedy Cane uświadomił sobie, że włożył protezę i jego ułomność nie rzuca się w oczy. Natychmiast się uspokoił.

- Ponosi mnie, gdy ktoś grozi mojej dziewczynie - przyznał.

- Mam tak samo. Chodźcie. Nie możecie stracić takiego żarcia - powiedział kierowca i poprowadził ich do stolika, który zajmował z żoną. Cane i Bodie usiedli z nimi i zamówili swoje dania. Zanim skończyli jeść, zaprzyjaźnili się ze swoimi wybawcami.

- Nie spodziewałam się czegoś takiego - oznajmiła Bodie, kiedy ruszyli w dalszą drogę do Jackson Hole.

- Prawda? Ludzie jednak potrafią być mili. Z początku nie wiedziałem, czego się spodziewać po tym wielkoludzie. Sądziłem, że chce się bić.

- Ja też. Ale się nie bałam. Ty umiesz sobie radzić w takich sytuacjach.

- Jasne. Ja i moja jedna ręka.

- Przestań. Nie masz dłoni, ale to nie odbiera ci męskości. W każdej walce postawiłabym na ciebie.

- Poważnie?

- Oczywiście.

Bodie nie zdawała sobie sprawy, jak Cane się poczuł, kiedy inny facet zaproponował jej obronę. Teraz miał się o wiele lepiej, wiedząc, że nie wątpiła w jego umiejętności.

- Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało. Wiem, że nie lubisz o tym mówić, ale naprawdę uważam, że postąpiłaś jak bohater. Nie znam nikogo, kto poświęciłby się tak dla innych ludzi. No, może poza twoimi braćmi - poprawiła się. - Ale zachowałeś się jak strażak, który wchodzi w ogień, żeby ratować dziecko. Wykazałeś się

wielką odwagą.

Cane zarumienił się. Pierwszy raz w życiu nie wiedział, co powiedzieć.

- Cholera, znów coś palnęłam? - zdenerwowała się Bodie, widząc jego zmieszanie. - Nie umiem znaleźć właściwych słów.

- Te były bardzo właściwe - odparł cicho, hamując przed skrzyżowaniem i patrząc na nią przenikliwie. - Ja również mam kłopot z wyrażaniem uczuć. Jestem prze-wrażliwiony na punkcie swojego kalectwa. Kiedy tamten kierowca ciężarówki za-proponował, że będzie cię bronił, jeśli ktoś cię zaczepi, poczułem się zraniony. My-ślałem, że nie uważa mnie za prawdziwego mężczyznę - dodał z cichym śmiechem. - Potem zorientowałem się, że nie mógł widzieć braku mojej dłoni, bo miałem prote-zę.

- Czasem wpadasz w złość, choć ludzie wcale nie chcą cię obrazić - powiedziała powoli.

- Jak tamta babka z hotelu? - zapytał, ale Bodie milczała. - No co?

- Nie myślałam, że jesteś taki.

- Jaki?

- Że sypiasz z przypadkowymi kobietami - wyjaśniła cicho. - Dobra, mam średnio-wieczne poglądy. Wiem, że ludzie tak robią. Ale to niebezpieczne. Nic nie wiesz o tej drugiej osobie. Mogła nie tylko chcieć od ciebie pieniędzy, ale też dosypać ci czegoś do drinka albo nasłać przyjaciela, który by cię pobił i okradł.

- O rany, ależ ty masz wyobraźnię.

- Dlatego nie szlajam się za chłopami po barach.

- To nieprawda. Od lat wyciągasz mnie z takich miejsc.

- Nie słuchasz, co mówię - odparła zirytowana. - Kobiety, które się tak zabawiają, mogą mieć przeróżne choroby. Nawet śmiertelne! Skąd będziesz to wiedział? Py-tasz je o wyniki ostatnich badań, zanim... - Nie umiała nawet wymówić tego słowa.

- Nie pasuję do dzisiejszego świata. Myślę, że ludzie powinni najpierw wziąć ślub.

- Cóż, nie wszyscy podzielają twoje poglądy - powiedział łagodnie.

- Zauważyłam.

- I czy ci się to podoba, czy nie, będą postępować według własnego uznania.

- Nie jestem świętoszką, mam tylko bardziej tradycyjne spojrzenie na świat niż większość ludzi.

- Zamknąć kina i bary. Wylać cały alkohol. Zamieszkać w białym domku otoczonym płotkiem, nosić fartuszek i mieć tuzin dzieci.

- Nie kpij ze mnie - poprosiła zawstydzona.

- Ale to takie trudne, mała - odparł ze śmiechem. - Naprawdę jesteś niczym dino-zaur. Skąd ci się wzięły takie niedzisiejsze poglądy?

- Przekazał mi je ojciec, który był pastorem metodystów - powiedziała ze złością.

- Wychował mnie w przekonaniu, że niektóre rzeczy są złe, niezależnie od tego, że cały świat twierdzi odwrotnie. Zawsze postępował zgodnie z wiarą i nie był hipokrytą.

- Nigdy nie mówisz o ojcu - zdziwił się Cane.

- Bo to za bardzo boli - odparła z ciężkim westchnieniem. - Jechałam z nim samo-chodem, a w górach leżał śnieg i droga była obludzona. Właściwie zamknięto prze-jazd, ale on chciał dotrzeć do jednego z członków kościoła, który właśnie wyszedł ze

szpitala i przeżywał kryzys wiary. Czuł, że musi do niego jechać. - Z trudem przełknęła, wracając myślą do tamtych chwil. - Na drogę wyskoczył jeleni. Złapałam za kierownicę... - Urwała i tak mocno przygryzła wargę, że pojawiła się na niej kropla krwi. - Zjechaliśmy z drogi i uderzyliśmy w drzewo. Zmarł na miejscu - westchnęła, zamykając oczy. - Zabiłam własnego ojca.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cane zjechał na pobliski parking, gdy tylko nadarzyła się okazja, i wziął Bodie w ramiona. Kołysząc dziewczynę w objęciach, próbował ją uspokoić.

- Wcale go nie zabiłaś - wyszeptał jej do ucha. - To był wypadek.

- Szarpnęłam kierownicą!

- Bodie, jesteś głęboko wierząca, więc wiesz, że nic się nie dzieje bez woli Boga - powiedział, scałowując jej łzy.

- No tak.

- Kochanie, kiedy nadchodzi twój czas, nic nie możesz z tym zrobić - tłumaczył, gładząc ją po włosach. - To był jego czas. Może byłaś instrumentem do wypełnienia się jego losu, ale przecież nie morderczynią.

- Tak bardzo go kochałam - szepnęła. - Mama też. Bardzo długo była w żałobie. Nigdy mnie nie obwiniła, ale zawsze się zastanawiałam, czy jej rak nie wziął się ze złamanego serca. Wiem, że to nieracjonalne, ale tak właśnie czułam. Straciłam ojca, matkę, a teraz jeszcze dziadka. Całą swoją rodzinę, Cane...

- Nie całą. Nadal masz nas.

- Dziękuję - powiedziała, zdobywając się na lekki uśmiech.

- Wytrzyj oczy. - Podał jej chusteczkę. - Ludzie pomyślą, że to ja doprowadziłem cię do płaczu.

- Bo najczęściej płaczę przez ciebie.

- Nie robię tego specjalnie - mruknął, przyglądając się jej w skupieniu. - I przepraszam. Naprawdę jest mi przykro.

- Mnie też - odparła, uśmiechając się blado.

Cane uniósł jej brodę i tak długo wpatrywał się w oczy, aż się zarumieniła.

- Lubię wytrącać cię z równowagi - wymruczał zmysłowo.

- To nie było miłe.

- Ja nie jestem miły - odparł, zawieszając wzrok na jej ustach. - Nigdy... - dodał, zgniatając jej wargi w gorącym pocałunku. - Smakujesz sosem barbecue - szepnął po chwili.

- Tak?

- To nie była skarga - zaśmiał się, rozbawiony jej zmieszaniem, a potem usiadł i zerknął we wsteczne lustro. - Musimy jechać.

- Śledzą nas Marsjanie? - zażartowała.

- Nie sądzę, żeby zastępca szeryfa był Marsjaninem, ale nie będę tego sprawdzał - odparł Cane, włączając się do ruchu.

- Racja.

- Ale jeśli jego samochód patrolowy zacznie lewitować, złamię wszystkie ograniczenia prędkości, żeby nas stąd zabrać - powiedział z szerokim uśmiechem.

Po dojechaniu na miejsce i obejrzeniu rocznych byczków Sandersa Cane wybrał

dwa i kazał je przetransportować na Rancho Real. Przez cały czas nie puszczał dłoni Bodie. Spoglądał na nią z taką czułością, że co chwilę się rumieniła. To go bawiło i zarazem rozczulało.

Bodie czuła się szczęśliwa. Przypomniało jej się powiedzenie matki, że każde skaleczenie należy pocałować. W jej przypadku skaleczeniem była śmierć dziadka i traumatyczne doświadczenie z Willem, a obecne zachowanie Cane'a - pocałunkiem przynoszącym ulgę w cierpieniu.

Zanim dotarli do domu, zatrzymali się w sklepie z artykułami żelaznymi w Cate-low, żeby zamówić zapasy na ranczo. Była to tak mała miejscowość, że wszyscy się tu znali, a rodziny spotykały się ze sobą od pokoleń. Kirkowie byli dość nowi w tej społeczności, ale krewni Bodie żyli tu przez ostatnie sto lat.

- Dziadek Jacka sprzedawał narzędzia mojemu dziadkowi - szepnęła Bodie, wskazując sprzedawcę. - Plotka głosi, że kiedyś pobili się o kobietę. Potem zostali najlepszymi przyjaciółmi, zupełnie o niej zapominając - dokończyła z uśmiechem.

- Z korzyścią dla twojej babci.

- Racja. Ona uwielbiała dziadka i była najlepszą kucharką na świecie. Chciałabym gotować tak jak ona - westchnęła Bodie. - Ale na razie cały mój czas pochłania nauka.

Aż do tej chwili nie myślała o uczelni. Tak wiele wydarzyło się ostatnio w jej życiu. Diagnoza choroby dziadka zapoczątkowała pasmo przerażających wydarzeń, a epizod z ojczymem i jego przyjacielem jeszcze wszystko pogorszył.

- Znów się zamartwiasz - mruknął Cane. - Przestań. Nic dobrego z tego nie wynika. Wiem to z doświadczenia.

- W twoim przypadku zamartwianie się kończy się zniszczeniami - odparła; w jej oczach lśniły iskierki humoru.

- Każdy radzi sobie ze stresem na swój sposób - mruknął. - Dobrze, że to były głównie połamane sprzęty, a nie szczęki i kończyny.

- Zazwyczaj.

- Cóż, bywało, że...

- W czym mogę pomóc? - zapytał Jack, zauważając klientów.

- Tu mam listę. - Cane podał sprzedawcy kartkę. - Trochę dłuższą niż nasze zwykłe zamówienia, ale tym razem mi się nie spieszy. Niektórzy nasi ludzie dostaną wolny tydzień, więc nie będziemy pracować pełną parą.

- Słyszałem o zaletach pracy na Rancho Real - oznajmił Jack z szerokim uśmiechem. - Zastanawiam się nad nauką jazdy konnej, żeby starać się u was o robotę. Każdemu marzy się płatny urlop.

- Nasi ludzie naprawdę ciężko pracują - odparł Cane - dlatego uważamy, że powinni mieć jakieś dodatkowe korzyści.

- Dwa tygodnie płatnego urlopu rocznie, polisa ubezpieczeniowa i emerytura - wyliczał Jack. - Znam ranczerów, którzy płacą połowę tego co wy i nie dają wolnego nawet w Wigilię!

- Nam dopisało szczęście, ale wielu ranczerów cienko przedzie i robią, co muszą, żeby utrzymać się w biznesie.

- Racja. Żadna praca nie daje dziś pewności. - Jack pokiwał głową. - Nam też nie jest lekko. Mieliśmy fart, że żadna sieciówka nie zdecydowała się otworzyć tu swo-

jego sklepu, bo upadłyby wszystkie małe przedsiębiorstwa. Widziałem, jak to się dzieje w innych miastach.

- Ja też - westchnął Cane. - Okropność.

- Większą część zamówienia będę mógł przygotować na przyszły tydzień - oznajmił Jack, przebiegając wzrokiem listę. - Ale te specjalistyczne narzędzia ściągamy z daleka, więc może to potrwać nawet do dziesięciu dni.

- Zadzwoń, kiedy wszystko skompletujesz, to ktoś z rancza przyjedzie po odbiór.

- Z przyjemnością. Dziękuję za zakupy u nas.

- Kiedy tylko można, zaopatrujemy się w lokalnych sklepach. Tak samo jak wam zależy nam na podtrzymaniu tutejszego rynku.

- Moja żona i dzieci będą wdzięczne - zachichotał Jack.

W drodze do domu Cane był bardzo zamyślony.

- Dziwnie ucichłeś - zauważyła w końcu Bodie.

- Myślę.

- O czym?

- O rodzinie.

Bodie zamilkła zaskoczona. Cane, widząc jej minę, roześmiał się wesoło.

- Jakoś dotąd nie myślałem, żeby się ustatkować. Żona, dzieci, odpowiedzialność za czyjś byt wydawały mi się czymś dość... ekstremalnym.

- A ja sądzę, że to nie ludzie decydują się przyjąć tę odpowiedzialność, tylko ona w pewnych warunkach po prostu się pojawia.

- Innymi słowy, kobieta zagina na ciebie parol i ma mi obietnicami nocnych rozkoszy, dopóki nie wsuniesz jej obrączki na palec.

Jego słowa zabrzmiały tak gorzko, że najwyraźniej musiał doświadczyć tego na własnej skórze.

- Niektóre kobiety po prostu mają jakieś ideały.

Cane obrzucił ją zmęczonym spojrzeniem dojrzałego człowieka.

- Czasem trzeba odłożyć te ideały na bok. Powinnaś to już wiedzieć, Bodie.

Dziewczyna poczerwieniała. Odwróciła twarz do okna i obronnym gestem założyła ręce na piersiach. Wiedziała, że na zawsze zapamięta, do czego została zmuszona, starając się ocalić dziadka. Teraz musiała żyć nie tylko ze świadomością swojego wyboru, ale też potępienia jedynej mężczyzny na świecie, którego opinia dla niej się liczyła.

- Zrobiłam to, co musiałam - wykrztusiła. - Will groził, że wyrzuci nas z domu, a stan zdrowia dziadka był tak zły, że...

- O Boże! - krzyknął Cane, zjechał na pobocze i zgasił silnik. - Zupełnie nie to miałem na myśli - zapewnił z twarzą ściągniętą bólem. - Przysięgam, Bodie, że nawet o tym nie pomyślałem.

Z trudem uspokoiła oddech, ale na niego nie spojrzała.

- Zrobiłam coś strasznego. Powiedziałam im, że dalej się nie posunę, ale pozwoliłam Larry'emu się pocałować... - wyznała i zamknęła ze wstydu oczy. - To było obrzydliwe. Aż mnie skręcało, kiedy mnie dotknął, a Will to filmował... Przysięgał, że to do prywatnego użytku i nikt się nigdy nie dowie. Obiecał, że jeśli się zgodzę, pozwoli nam zostać w domu i zapłaci za leki dziadka. A ja musiałam jeszcze uregu-

lować rachunek od kardiologa i nie miałam złamanego grosza – powiedziała znękany głosem. – Czułam się jak dziwka!

Cane chciał wziąć ją w ramiona i pocieszyć, ale bał się, że jeśli to zrobi w tej chwili, zburzy delikatne uczucie, jakie między nimi powstawało.

– Oboje wiemy, dlaczego podjęłaś taką decyzję. To było poświęcenie w imię miłości do dziadka. I stało się to z mojej winy. Myślisz, że mi łatwo ze świadomością, do czego cię popchnąłem? Wciąż wymyślam sobie od głupców, wspominając krzywdę, jaka cię spotkała przez to, że pochopnie osądziłem cię tak samo jak tę kobietę z hotelu. Stale popełniam błędy w ocenie ludzi – jęknął.

– Masz swoją własną tragedię, z którą musisz się mierzyć – powiedziała cicho Bodie, ocierając oczy.

– Tak – przyznał, patrząc na nią ze smutkiem. – Nie mogę sobie poradzić z wypadkiem i utratą dłoni... Z niczym sobie nie radzę... – westchnął, odchylając głowę na zagłówek. – Nie umiem nawet o tym rozmawiać. Nie ufam ludziom. Terapeuci, do których mnie wysłano, chcieli, żebym się otworzył i podzielił z nimi swoimi myślami, jakbym pisał bloga. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie obrzydliwe czytać o czyimś prywatnym życiu na stronach, do których każdy ma dostęp. Co się dziś porobiło z ludźmi? Nie mogą opowiedzieć tego rodzinie czy przyjaciółom? Muszą dzielić się swoją traumą z całym światem, żeby się dobrze poczuć?

– Mnie nie pytaj. Nie korzystam z serwisów społecznościowych. W sieci mam tylko kilku przyjaciół.

– A oni nie opowiadają tego, co im powiesz, swoim przyjaciółom? – zapytał ironicznie Cane.

– Nie wiem – przyznała, nagle zbita z tropu.

– A jak bardzo intymnymi szczegółami ze swojego życia z nimi się dzielisz?

– Nie robię nic, co mogłoby kogokolwiek zainteresować – szepnęła, czując się niezręcznie. – Najczęściej rozmawiamy o uczelni lub komentujemy archeologiczne odkrycia. To nie są prywatne sprawy.

– Gratulacje. Znam kogoś, kto zamieścił post o swoim szefie, a ten to przeczytał i go zwolnił. Nadal szuka pracy.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć o nadmiernym dzieleniu się informacjami. Będę ostrożniejsza.

– Postaraj się. Kiedy coś trafi do sieci, to już na zawsze. Niby można to usunąć, ale tylko specjaliści z dobrym sprzętem zrobią to skutecznie. Przypadkiem jeden z naszych kowbojów to potrafi. Z Redem Davisem liczy się nawet CIA.

– Skąd wiesz?

– Och, powiedzieli nam, kiedy wyprowadzali go w kajdankach za zhakowanie ich plików o Al-Kaidzie – roześmiał się.

– I co było dalej?

– Udało mu się wywinąć, dzieląc się programem, który napisał. Nie wiem jakim, ale używają go w wywiadzie. Chcieli go nawet zatrudnić, ale powiedział, że woli paść bydło na pastwisku niż siedzieć w biurze, i wrócił do domu.

– Ich strata, wasz zysk – zaśmiała się, ale zaraz spoważniała. – Moja współlokatorka Beth zamieściła kiedyś na portalu swoje zdjęcie w samej bieliźnie, które miał widzieć tylko jej chłopak. A ono potem jakoś wyciekło do sieci. Pisała chyba do dzie-

sięciu webmasterów, błagając, żeby je usunęli.

- Głupota.

- Beth jest osobą religijną, ale nie tak bardzo jak ja. Za to jej narzeczony Ted jest mocno wierzący. Był przerażony. Nie sypiają ze sobą przed ślubem.

- Hm.

- Czekają na noc poślubną. Widzisz? - rozpromieniła się. - Niektórzy mężczyźni też mają takie poglądy. Ludzie wierzący patrzą na świat inaczej.

- Nie ma nic złego w spędzeniu upojonej nocy w cudzym łóżku - powiedział, żeby ją zirytować.

- Jasne. Nie krępuj się - odparła jadownicie. - Złap rzeźączkę, kiłę albo AIDS, a potem przekaż to innej, niczego niepodejrzewającej kobiecie. Zrób to bez wyrzutów sumienia. Wyobraź też sobie, że ta schadzka może się znaleźć w sieci, a twoja rodzina to zobaczyć.

- Namalowałaś smutny obrazek.

- Bo to jest smutne. Ludzie sądzą, że przygodny seks to odpowiedź na dochowanie czystości, oddanie się wybranej osobie, wspólne życie pełne szacunku, miłości i dzieci.

- Niektórzy przestali wierzyć w bajki.

- Cóż, inni wiedzą, jak jest naprawdę. Ale tego nie znajdziesz w barze w towarzystwie obcych kobiet.

- Punkt dla ciebie - powiedział Cane, patrząc na nią dziwnie.

- Sam zaczęłaś - mruknęła, zaciskając usta.

- Nieprawda!

- Zasugerowałaś, że ideałami można kupczyć!

Cane nie odpowiedział. Uruchomił silnik i ruszył z marsową miną. Kiedy dotarli na miejsce, Morie już na nich czekała. Od razu zorientowała się, że się pokłócili.

- Coś się stało?

- Nie żenię się - warknął Cane.

- Nikt cię o to nie prosił! - odkrzyknęła Bodie.

- I będę sypiał z kim popadnie, ilekroć najdzie mnie ochota. Nie przerażają mnie wyrzuty sumienia ani choroby weneryczne.

- A rób sobie, co chcesz. Mnie to w ogóle obchodzi!

Cane obrócił się na pięcie i pobiegł do stajni.

Morie chciała coś powiedzieć, ale się pohamowała. Bodie skrzywiła się, posłała jej przepaszające spojrzenie i pomaszerowała do swojego pokoju.

Przy kolacji panowała ciężka atmosfera. Bodie jadła, nie czując smaku potraw i nie patrząc na Cane'a. On z kolei udawał, że jej w ogóle nie ma. Po deserze przeszli do salonu, ale zamiast włączyć telewizor, Tank usiadł przy fortepianie.

- Muzyka łagodzi obyczaje - powiedział, wodząc wzrokiem od milczącego brata do spiętej Bodie.

Kiedy zaczął grać *Rapsodię na temat Paganiniego* Rachmaninowa i pełne ekspresji dźwięki wypełniły przestrzeń, Bodie odprężyła się i usiadła zasłuchana. Piękno muzyki za każdym razem wywoływało u niej łzy wzruszenia.

Zanim Tank skończył grać, Morie również ocierała oczy.

- Przysięgam, że z każdym dniem jesteś coraz lepszy - powiedział Cane ze szczerym podziwem. - To prawdziwy dar móc tak grać.

- Racja. Jest niemal tak dobry jak ja - oznajmił Mallory z błyskiem w oku. - Tylko że ja trenowałem, a on objął się od miesięcy.

- Wyzwij go na pojedynek - zaproponowała Morie.

Mallory się skrzywił, ale Tank już ustąpił mu miejsca, kłaniając się teatralnie.

- No dobrze - westchnął Mallory, sadowiając się na stołku. - Ale jeśli targnie się na własne życie, będziecie musieli go jakoś powstrzymać. Męskie ego to poważna sprawa.

Kiedy przebrzmiał śmiech, Mallory zawiesił palce nad klawiaturą i przez chwilę zastanawiał się, nim zaczął grać. Pokój wypełniły dźwięki muzyki Marka Manciny z filmu *Cudowne dziecko*. Kiedy skończył, wstał i uklonił się.

- Poddaję się - westchnął Tank. - Ktoś ma białą chusteczkę, żebym mógł ogłosić kapitulację?

- Słyszałam to w kinie. Muzyka była powalająca - wtrąciła Morie.

- A ty co lubisz najbardziej, Bodie?

- Będziecie się śmiać...

- Obiecuję, że nie. No, powiedz.

- Najbardziej podoba mi się muzyka Strawińskiego do baletu *Ognisty ptak*.

- Dlaczego mieliby się śmiać? Jest cudowna. Też ją lubię - przyznał Cane.

Mavie przyniosła kawę na tacy i także się przysiadła.

- A ja uwielbiam muzykę do *Opowieści z Narnii*, którą skomponował Harry Gregson-Williams.

- O tak, jest wspaniała! - zauważyła Bodie.

- Super! Ale nie zapominajcie o serialu *Na południe od Brazos* i *Polowaniu na Czerwony Październik* z muzyką mojego ulubionego Basila Poledourisa - dodała Mavie.

- A jak wam się podobają kompozycje Jerry'ego Goldsmitha do filmu animowanego *Dzielna pani Brisby* albo dramatu wojennego *Patton* czy serii *Star Trek*? - zapytał Tank.

- Moje serce skradł poemat symfoniczny Respighiego *Pinie rzymskie* - wyznała Bodie z uśmiechem. - Kiedy go słucham, niemal widzę maszerujące rzymskie legiony.

- Mnie podoba się Debussy - odezwała się Morie.

- Toby'emu Keithowi też niczego nie brakuje - oznajmiła Mavie, wstając. - Gdybym była piękna i bogata, zaśpiewałabym chłopakowi, który mnie kiedyś zostawił, *How do you like me now?* - rozmarzyła się, myśląc o jednym z bardziej znanych wcześniejszych utworów artysty.

- A ja lubię *Online*, piosenkę Brada Paisleya o tym, że w sieci można być bardziej czadowym. Przekomiczny teledysk! Równie śmieszny jest ten do *Celebrity*, gdzie w konkursie talentów jurora gra William Shatner - zachichotała Bodie.

- Muzyka ma wielką moc - powiedział Mallory. - Zawsze podobała mi się ścieżka dźwiękowa do *Titanica* Jamesa Hornera i do *Ekspresu polarnego* Alana Silvestriego.

- Albo Howarda Shore'a do *Władcy pierścieni* - podrzucił Cane.

- David Arnold i western *Last of the Dogmen* - wtrącił Tank. - Albo film *Góra czarownic* z muzyką Trevora Rabina, w którym grał Dwayne Johnson. To mój ulubiony aktor. On i Vin Diesel.

Wszyscy się roześmiali, bo Tank był zagorzałym fanem filmów akcji.

- Skoro o tym mowa - zaczął Mallory, zerkając na zegarek - to dziś leci *Pitch Black*, film science fiction z Vinem w roli głównej.

- Zobacz, czy nie ma gdzieś drugiej części - poprosił Tank. - W *Kronikach Riddicka* są niesamowite efekty specjalne.

Mallory włączył telewizor i zaczął przeszukiwać kanały.

- Też to lubię, więc kiedyś nagrałam ten film. Sprawdź w nagranych - wtrąciła Morie.

- Chyba gdzieś się przejadę. Za bardzo mnie nosi, żeby siedzieć przed telewizorem - powiedział Cane, wstając.

Bodie nie spojrzała na niego, choć po cichu liczyła, że zaproponuje jej wspólną przejażdżkę. Dałoby im to możliwość pogodzenia się, jednak on po prostu wyszedł.

Tank i Mallory usiedli przed telewizorem, a Morie gestem wywołała Bodie z salonu.

- Co wydarzyło się między tobą a Cane'em? - zapytała. - Pokłóciliście się?

- To było głupie - westchnęła Bodie. - Zaczął mówić o małżeństwie i o tym, że woli sypiać z różnymi kobietami niż się ustatkować, a ja odparłam, że niektóre kobiety nadal zachowują moralność. Wtedy rzucił mi w twarz, co zrobiłam - wykrztusiła z trudem. - Chyba nigdy się z tym nie pogodzę. Próbowałam ocalić dziadka, a nawet to mi się nie udało.

- Och, Bodie, nikt cię nie wini za to, co się stało. - Morie przytuliła ją mocno. - Zresztą nikt nie jest na tyle bez winy, żeby obrzucać innych kamieniami. Życie polega na przebaczeniu. Wiesz więcej o antropologii niż inni. Przecież w kulturach zbieracko-łowieckich ludzie żyli w kilkudziesięcioosobowych grupach i konflikty były nieuniknione.

- Owszem, ale rozwiązywali je z korzyścią dla grupy. Jeśli jeden człowiek zabił drugiego, musiał wynagrodzić to jego rodzinie. Istniały kary, ale nie skazywano na śmierć czy banicję, nawet za ciężkie przestępstwa. Chyba byli bardziej tolerancyjni niż my. - Bodie lekko się uśmiechnęła. - Zdarzali się nawet mężczyźni, którzy nie chcieli polować i woleli żyć tak jak kobiety. Pozwalano im na to. Ludzie przystosowywali się do warunków, bo nie mieli innego wyjścia. Od tego zależało ich przetrwanie.

- Kiedyś będziesz wspaniałą nauczycielką - powiedziała Morie. - Pomogę ci, jeśli potrzebowałabyś pieniędzy na chesne. I nie protestuj. Wiesz, że mnie stać.

- To bardzo wielkoduszne - szepnęła Bodie, czerwieniejąc na twarzy.

- Wcale nie. Moja rodzina funduje stypendia na dwóch uczelniach. Zależy nam na edukacji. Chętnie ci pomogę, tym bardziej że należysz do rodziny.

- To wiele dla mnie znaczy. Szczególnie teraz, kiedy uczę się żyć bez dziadka. Nie jest mi łatwo.

- Ja też kochałam swojego dziadka - wyznała Morie. - Był taki zabawny. Często kłócił się z ojcem o głupstwa. Mama wspominała, że kiedyś w czasie rodzinnego obiadu, zanim poślubiła tatę i jeszcze spotykała się z wujkiem Dannym, ojcu wyrwa-

to się przekleństwo. Dziadek strasznie go zrugął, ale babcia wytknęła mu, że sam klnie przy stole. Na co Big Jim, mój dziadek, odpowiedział: To nieprawda, do chole-ry! – Kobieta zaśmiała się. – Był cudowny. Nauczył mnie łowić ryby.

– Krążą plotki, że z twojego ojca w młodym wieku było niezłe ziółko.

– To prawda. Nadal ma okropny charakter. Potwornie ściał się z Mallorym pod-czas którejś aukcji bydła. Do tego stopnia, że Mallory zapowiedział, że nie chce mieć z moją rodziną do czynienia i na pewno w nią się nie wżeni. Na szczęście póź-niej zmienił zdanie.

– Mallory jest wspaniały, Tank zresztą też. Powinien znaleźć sobie jakąś miłą dziewczynę na żonę.

– Tank nadal walczy z własnymi demonami. Może nie tak spektakularnie jak Cane, ale i jego spotkała tragedia. Gdybyś go widziała, kiedy strzeli gaźnik w samo-chodzie...

– Widziałam. Padł plackiem na ziemię.

– Ja o tym nie wiedziałam – westchnęła Morie. – Śmiałam się do łez, aż Darby opowiedział mi, co go spotkało. Poczulałam się jak ostatnia świnia. To dziwne, że z walk na Środkowym Wschodzie wrócił bez najmniejszego draśnięcia, a tu w kraju jako strażnik graniczny brał udział w strzelaninie, którą rozpętał meksykański kar-tel narkotykowy.

– To przerażające. I cud, że w ogóle przeżył tamtą jatkę.

– Nie widziałam jego blizn. Może się mnie wstydzi – westchnęła Morie i spojrzała na Bodie wymownie. – Ale ciebie lubi.

– Ja go też. Jest jak starszy brat, którego nigdy nie miałam.

– Rozumiem.

– Za to Cane jest jak brat, którego nigdy nie chciałabym mieć.

– Nie wydaje mi się, żebyś traktowała Cane’a jak brata – mruknęła Morie i uśmiechnęła się, widząc zaróżowione policzki Bodie. – Tak myślałam.

– Cóż, nawet jeśli, to nic z tego nie będzie – oznajmiła chłodno Bodie. – Nie zamie-rzam się angażować w związek z kimś, kto tak traktuje kobiety.

– Niektórym potrzeba więcej czasu, żeby się wyszumieć.

– On nigdy się nie ustatkuje. Uważa, że małżeństwo jest dla idiotów.

– Może zmieniłby zdanie, gdyby go właściwie zachęcić. Daj mu trochę czasu, Bo-die. Wciąż nie uporał się z własnymi problemami.

– Cane nie chce rozmawiać z psychologami. Mówi, że nie umie się otworzyć tak, jak tego chcą.

– Więc może powinien porozmawiać z kimś, komu ufa – zasugerowała Morie.

– Z braćmi?

– Z tobą, Bodie.

– Nie będzie rozmawiał ze mną na trzeźwo o swoim prywatnym życiu.

– A może pił właśnie po to, żeby móc porozmawiać z tobą o tym, co go dręczy? O tym, czego, będąc trzeźwym, nigdy nie powiedziałaby na głos?

Bodie przypomniała sobie ich intymne rozmowy i znów spłonęła rumieńcem.

– Mam rację, czyż nie? – domyśliła się Morie.

– Nie wiem. Może masz, tylko że brakuje mi doświadczenia – wyznała zmartwio-na Bodie. – Nie wiem, co powiedzieć i jak mu pomóc.

- A może skontaktuję cię z moją znajomą, która jest psychologiem? Mogłaby ci doradzić, jak z nim rozmawiać.
- Rzeczywiście, to mogłoby pomóc. Bardzo bym nie chciała pogorszyć jego stanu, mówiąc coś niewłaściwego.
- Ona na pewno ci nie każe robić mu psychoanalizy, ale podrzuci parę pomysłów na rozmowę - zaśmiała się Morie.
- Zatem zgoda... - zaczęła Bodie, ale przewał jej dźwięk komórki.
- Słucham - rzuciła Morie, wyciągając telefon z kieszeni dżinsów.
- Pani Kirk, czy może pani przysłać kogoś po Cane'a? - odezwał się barman z pobliskiej knajpy. - Znow demoluje mi lokal!
- Już kogoś wysyłam. Zapłacimy panu za szkody, dobrze?
- Tak, ale się pospieszcie!
- To chyba twoje zadanie - powiedziała Morie, patrząc na Bodie bez uśmiechu. - Przykro mi. Zaraz poproszę Darby'ego, żeby cię zawiózł.
- Niech schowa łyżkę do opon - burknęła Bodie. - Tym razem pokusa mogłaby się okazać zbyt wielka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy podjechali pod bar, zaczął prószyc śnieg.

- Tylko go nie bij - zażartował Darby, widząc bojowy nastrój Bodie.

- Postaram się - mruknęła w odpowiedzi i wysiadła z wozu.

Ze względu na późną porę w barze było już tylko kilku mężczyzn. Na podłodze walało się rozbite szkło, ale sprawcy nie było w zasięgu wzroku.

- Czy jest tu Cane Kirk? - zapytała barmana sprzątającego bałagan.

- Już sobie poszedł - westchnął Sid. - Znów mamy straty na setki dolarów. Wiesz co, Bodie? Powiedz jego braciom, że następnym razem zadzwonię po gliny. Przebrała się miarka. Współczuję mu, ale przez jego wybryki tracimy klientów. Zresztą może kilka dni w pace pomoże mu się otrząsnąć.

- Nie wydaje mi się - westchnęła zmartwiona Bodie. - Zupełnie nad sobą nie panuje. Nie wiesz, dokąd mógł pojechać? - zapytała; jeśli Cane wsiadł w tym stanie za kierownicę, mógł zrobić krzywdę nie tylko sobie.

- Nie mam pojęcia, ale z parkingu skręcił na północ, w stronę Jackson Hole.

- Dzięki, Sid.

- Nie ma sprawy. I przykro mi z powodu twojego dziadka. Rafe był dobrym człowiekiem - dodał cicho.

- To prawda.

- Ale ten twój ojczym... Podobno toczy się przeciwko niemu śledztwo. Mówią, że założył w sieci stronę pornograficzną ze zdjęciami nieletnich.

- Will? - wykrztusiła przerażona Bodie.

Wiedziała, że Jones czytuje i ogląda różne świństwa dla swojej przyjemności, ale o coś takiego go nie podejrzewała.

- Oczywiście zaprzeczył, ale jedną z dziewczyn matka zmusiła do wyznań. Miała szesnaście lat, kiedy dla niego pozowała, choć mu się do tego nie przyznała. Zresztą nie pytał. Okropna sprawa. Taka miła nastolatka, a teraz przez Willa cały internet ją poznał. Przynajmniej tak mówią. Ja nie odwiedzam takich stron - zastrzegł się szybko. - Ale wiem, że nawet u nas są miłośnicy tego typu rozrywek.

- Nie można wykasować tych zdjęć? - zapytała Bodie, martwiąc się o własną sesję, którą Will mógł z zemsty również zamieścić w sieci.

- Raczej nie. Są już wszędzie. A przynajmniej tak mówi szeryf. Oczywiście jej rodzice mogą pozwać Jonesa, ale to jeszcze bardziej skomplikuje jej życie. Matka posłała ją do szkoły w Oregonie i kazała jej przefarbować włosy, licząc na to, że tam nikt jej nie rozpozna.

- Biedna dziewczyna!

- Różądek przychodzi z wiekiem - westchnął Sid. - Larry, przyjaciel Willa, obiecał jej karierę filmową i nakłamał o kontaktach na Zachodnim Wybrzeżu. Ona pochodzi z biednej rodziny i chciała lepszego życia, zrobiła więc, o co prosili. Zaszkodziła swojej reputacji i okryła bliskich hańbą - powiedział, wycierając bar. - To, co

człowiek robi, ma wpływ na jego otoczenie. Zupełnie jak kamień wrzucony do stawu - kręgi powstające na wodzie rozchodzą się daleko od tego miejsca.

- Ależ z ciebie filozof, Sid.

- Pracując w takim miejscu, można się sporo dowiedzieć o ludzkiej naturze.

- A nie wiesz, czy Willa aresztowano?

- Na razie nie ma jeszcze wystarczających dowodów - pokręcił głową z niesmakiem - ale dziewczyna jest gotowa zeznawać, a matka wziąć prawnika. Nawet jeśli Jones nie zostanie skazany, jego proceder wyjdzie na jaw.

- To też jakaś korzyść - westchnęła Bodie i rozejrzała się wokół. - Mallory zapłaci za szkody - obiecała.

- Ktoś powinien się zająć Cane'em. On potrzebuje pomocy.

- Wszyscy to wiedzą, poza nim samym.

- Niektórzy są odporni na wiedzę.

- Racja. Dzięki, Sid.

- Mam nadzieję, że go znajdziesz.

- Ja też mam taką nadzieję, ale niech się lepiej ma na baczności, kiedy go dorwę.

- Bierz go, mała! - zaśmiał się barman.

Kiedy wróciła do samochodu, Darby spytał ją ze zmarszczonym gniewnie czołem:

- Gdzie Cane? Potrzebujesz pomocy, żeby go przyprowadzić?

- Nie ma go tutaj. Podobno pojechał w stronę Jackson Hole. Jedźmy na północ i sprawdźmy, czy gdzieś się nie zatrzymał na drzemkę.

Choć nie powiedziała tego na głos, oboje zdawali sobie sprawę, że sytuacja może być o wiele poważniejsza. Darby bez słowa uruchomił silnik i ruszył w stronę miasteczka.

Jechali powoli w ciemnościach, lustrując pobocza w poszukiwaniu auta Cane'a. O tej porze na drodze było zupełnie pusto. Ta część stanu była najbardziej otwarta, piękna i dzika. Mimo że spadł śnieg, w tę bezksiężycową noc trudno było dostrzec szczegóły krajobrazu.

- Może pojechał do domu? - powiedział Darby i skorzystał z zestawu głośnomówiącego, żeby zadzwonić na ranczo. - Mal? Czy Cane przypadkiem nie wrócił? - zapytał po uzyskaniu połączenia.

- Nie. Nie było go w barze?

- Wyszedł, zanim dotarliśmy. Podobno pojechał w stronę Jackson Hole, więc też ruszyliśmy na północ.

- W tym stanie w ogóle nie powinien prowadzić.

- Co racja, to racja, tylko jak go przekonać?

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić - westchnął Mallory. - Obudzę kilku kowbojów i poślę wam do pomocy. Macie spory teren do przeszukania.

- Dzięki, szefie.

- To w końcu mój brat. Nie porzuca się bliskich w potrzebie, nawet jeśli bardzo cię korci - rzucił z rozdrażnieniem. - Ale przysięgam, że nauczę go rozumu. Tak dalej być nie może. Za długo mu na to pozwalaliśmy.

- Sid powiedział, że przydałby mu się pobyt w więzieniu dla otrzeźwienia. To trochę drastyczne, ale może Cane rzeczywiście potrzebuje wyraźnego bodźca, żeby

zawrócić z drogi ku samozagładzie, zanim będzie za późno – wtrąciła Bodie.

- Zgadzam się. Zamiast po nim sprzątać i ratować mu tyłek, należałoby pozwolić szeryfowi pracować – wtrącił Darby, ale odpowiedziała mu cisza. – Wiesz, że przyzwalając na takie zachowanie, nie wyświadczasz mu przysługi.

- Niestety, pewnie masz rację – powiedział ciężko Mallory.

- A może lepiej byłoby skierować go na odwyk? – odezwała się Bodie, nie mogąc znieść myśli o Cane w więzieniu, niezależnie od tego, co twierdziła w gniewie.

- To mogłoby być nawet lepsze rozwiązanie – przyznał Mallory. – Dobrze. Póki co wysyłam wam chłopaków. Bądźcie w kontakcie.

- Będziemy – obiecał Darby, rozłączając się. – Czeka nas długa noc.

Tak też się stało. Wkrótce dołączyli do nich kowboje z rancza i każdy wybrał jedną z dróg prowadzących z autostrady do miasta. Body i Darby nadal jechali główną drogą, wypatrując na poboczu i w rowie śladów furgonetki Cane'a.

Po kolejnej godzinie bezowocnych poszukiwań Bodie była półprzytomna i śpiąca.

- Naprawdę mam ochotę go stłuc – mruknęła.

- Mallory się tym zajmie, kiedy go znajdziemy – odparł Darby. – To jednak przykre. Cane był świetnym specem od marketingu. Po wypadku musiał go zastąpić Mallory, a kiedy Tank odszedł ze służby granicznej po swoich przejściach, to on zajął się reklamą. Cane'owi zostało jedynie prezentowanie bydła. To poniżające dla kogoś z jego wiedzą. Gdy kończył studia archeologiczne, był najlepszy na roku. Został zaproszony na wykopaliska w Egipcie, gdzie dokonano potem wielkich odkryć. Zrezygnował jednak i poszedł do wojska, aby spełnić swój patriotyczny obowiązek. Tak naprawdę poświęcił życie dla ojczyzny.

- Nie wiedziałam. Szkoda, że wraz z utratą dłoni stracił dużo więcej. Wielu żołnierzy wracało z kampanii na Środkowym Wschodzie bez kończyn, a jednak potrafili ułożyć sobie życie. Nie rozumiem, dlaczego jemu się to nie udało.

- Z powodu dumy – westchnął Darby. – Był zbyt ambitny, żeby prosić o pomoc. Trzeba go było zmusić, żeby zabierał ze sobą człowieka na pokazy bydła. Próbował robić to sam, ale raz byk mu się wyrwał, poturbował go i narobił mu wstydu. Cane miał za mało siły w zdrowej ręce, żeby utrzymać spłoszone zwierzę. Na dodatek jakiś pijany ranczer stwierdził, że to nie jest zajęcie dla kalek.

- Ale palant.

- Przeprosił, jak Cane wybił mu dwa zęby jedną ręką.

- Dobrze mu tak.

- Mimo to musiał pogodzić się z faktem, że nie jest fizycznie zdolny do zapanowania nad bykiem na arenie.

- To musiało go zboleć.

- Bardziej bolało to, jak traktowały go kobiety. Próbował bodaj dwa razy i źle się to skończyło. Zrobił się mściwy i odgrywa się na tobie.

- Zauważyłam – mruknęła.

- Trzeba mieć odwagę, żeby przy nim wytrwać. – Darby popatrzył na nią z uznaniem. – Lubimy cię i uważamy, że nie powinnaś mu pozwalać tak się traktować.

- Staram się – odparła z bladym uśmiechem. – Czy święta nie powinny być czasem radości i miłości do bliźnich?

- Powinny. Może należałoby ustawić Cane'a obok choinki i założyć mu lampki, łańcuchy i ozdoby, żeby go trochę rozweselić.

- Niezła myśl - powiedziała Bodie, parszając śmiechem, kiedy to sobie wyobraziła.

- Można go ustawić pod jemiolą i... O mój Boże!

Darby urwał w pół zdania. Na poboczu leżała do góry kołami półciągarówka z ich rancza. W mroźnym powietrzu unosiła się para z chłodnicy. Kowboj zjechał z drogi i zgasił silnik. Samochód jeszcze się nie zatrzymał, a Bodie już biegła do Cane'a.

- Nie patrz! - zawołał Darby, starając się ją przegonić.

- Niedoczekanie! - odkrzyknęła, klękając przy drzwiach kierowcy, z których wyleciała szyba. - Pomóż mi! - krzyknęła, próbując wpełznąć do środka.

Darby siłą otworzył pocięte drzwi. Cane zwisał bezwładnie z zakrwawioną głową i zamkniętymi oczami, przypięty pasami do fotela. Darby próbował je rozpiąć, a kiedy to mu się nie udało, wyciągnął z kieszeni nóż i po prostu przeciął czarną taśmę, starając się jak najdelikatniej wyciągnąć Cane'a z wraku.

- Wiem, że nie powinno się ruszać ofiar wypadku, ale ta pozycja bardziej mu zaszkodzi - powiedział zmartwiałej z przerażenia Bodie. - Trzeba go czymś przykryć. Leć do wozu po koc, a ja zadzwonię po pomoc. - Widząc, że Bodie nadal stoi jak zaklęta, krzyknął: - Pospiesz się!

Bodie wreszcie ocknęła się i pobiegła, a stary kowboj wybrał numer alarmowy.

- Centrum powiadamiania ratowniczego Carson County. Proszę opisać zdarzenie - usłyszał po chwili.

Darby wyjaśnił, co się stało, po czym bezskutecznie starał się wytłumaczyć, w którym miejscu się znajdują.

- Proszę poczekać - powiedział w końcu zirytowany i zaczął szukać w telefonie swoich obecnych koordynatów GPS. Potem wyjął portfel Cane'a i szybko przekazał potrzebne dane.

- Pomoc jest już w drodze. Proszę pozostać na linii.

W czasie kiedy Darby dzwonił na numer alarmowy, Bodie wróciła z kocem i delikatnie okryła nim Cane'a. Obecna sytuacja przypominała jej wypadek z ojcem. Też tak mocno krwawił i nie dało się go uratować. Nagle poczuła, że to zbyt duży stres jak dla jednej osoby. Śmierć i pogrzeb dziadka, epizod z Willem, a teraz śmiertelnie ranny Cane, z którym niedawno się pokłóciła. Rozstali się w gniewie i być może już nigdy nie będzie miała szansy tego zmienić. Zrozumiała, że jeśli on umrze, jej świat całkowicie się zawali.

Darby przyglądał się ze współczuciem łzom spływającym po jej policzkach.

- Jeszcze go nie skreślaj, dziewczyno. Kirkowie są twardzi.

- Kiedy przyjedzie pomoc? - wyszlochała.

- Są dziesięć kilometrów od was - odparła dyspozytorka, słysząc jej pytanie. - Spiesz się, jak mogą.

- Dziękuję - szepnęła zdławionym głosem.

- Po to jesteśmy.

- Patrz, Bodie! - krzyknął Darby, wskazując Cane'a; mężczyzna jęknął i zaczął podnosić głowę.

- Nie ruszaj się - powiedziała, układając z powrotem jego głowę na ziemi. -

Wszystko będzie dobrze.

Cane zamrugał. Wypity alkohol zupełnie zamroczył mu umysł. Znow spróbował usiąść, ale Bodie delikatnie go popchnęła i upadł na plecy.

- Musisz leżeć. Ratownicy już jadą.

- A co ty tu robisz? - zapytał.

- Próbuję utrzymać cię przy życiu - odparła krótko.

Cane kaszlnął, skrzywił się boleśnie i spojrzał na Darby'ego.

- Jak bardzo jest źle?

- Samochód do kasacji. A ty będziesz w niezłych tarapatach, jak przyjedzie szeryf.

- Ja mu pokażę kłopoty - mruknął buntowniczo Cane.

- Zamknij się - ofuknęła go Bodie. - Jak trafisz do więzienia, sama będę błagać, żeby potrzymani cię tam z pięćdziesiąt lat!

- Ty mała, podła...

- O nie. Nic z tego! - przerwał mu Darby.

Cane spojrzał na nich z gniewem, ale zamilkł. Ból musiał być coraz bardziej dotkliwy, bo jęknął, kiedy spróbował zmienić pozycję.

- Szlag! - zaklął, dotykając zdrową dłonią piersi. - Chyba pękło mi żebro.

- Oby nie to samo, które pół roku temu załatwił ci byk - powiedział Darby.

Cane odetchnął chrapliwie i zapatrzył się w niebo.

- Ale te gwiazdy mocno świecą... - powiedział i nagle stracił przytomność.

- Czy on zemdłał? Jak to możliwe, skoro leży? - dopytywała się zdenerwowana Bodie.

- To przez uraz głowy - wyjaśnił jej zmartwiony Darby.

- Proszę odwrócić jego głowę na bok, na wypadek gdyby dostał torsji - powiedziała przysłuchująca się rozmowie dyspozytorka. - Inaczej mógłby się zadławić.

Ledwie Darby zdążył przekreślić mu głowę, Cane szarpnął się i zwymiotował. Potem bez przytomności z powrotem opadł na trawę.

- O Boże! - jęknęła Bodie.

- Bez paniki - szepnął Darby. - To tylko wstrząs mózgu.

Nie powiedział jednak, że uraz, który go spowodował, może okazać się śmiertelny. Bodie i tak była wystarczająco przerażona.

Po kilku minutach usłyszeli dźwięk syreny i dostrzegli migające światła karetki. Darby wstał i zaczął machać. Pojawił się także wóz patrolowy, z którego wysiadł szeryf i razem z ratownikami pobiegł na miejsce zdarzenia. Darby krótko zreferował im stan pacjenta.

- Przez kilka minut był przytomny. Potem zemdłał, zwymiotował i znow stracił przytomność.

Kobieta zajęła się badaniem obrażeń Cane'a, a mężczyzna wrócił do karetki po nosze.

- Może się pan już rozłączyć - powiedziała dyspozytorka z centrum ratowniczego. - Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Serdeczne dzięki. Jesteście warci swojej wagi w złocie - odparł.

- Ja również dziękuję. Przekażę pana opinię przełożonemu - zaśmiała się i poze-

gnała.

Ratownicy przetransportowali Cane'a do karetki i podłączyli mu kroplówkę. Jednocześnie porozumieli się z dyżurnym lekarzem w szpitalu, aby opisać stan pacjenta i przyjąć szczegółowe zalecenia.

- Pojedziemy za wami do szpitala. Zadzwoń po jego braci - powiedział Darby do ratowników.

- Dobrze. Tylko ostrożnie. Nie trzeba nam kolejnej kraksy.

- Oczywiście.

Bodie próbowała wsiąść do karetki, żeby być przy Canie, ale jej nie pozwolono. Kiedy ambulans odjechał, została na poboczu, zbyt wściekła, żeby płakać; nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez twarogłowego uparciucha, którego zabrali ratownicy.

Szeryf tymczasem oglądał furgonetkę Cane'a i zamawiał holowanie na policyjny parking.

- Obawiam się, że będą zarzuty za jazdę pod wpływem alkoholu. To nie przelewki. Zbyt wiele widziałem nietrzeźwych ofiar wypadków.

- Rozumiem. Miał szczęście, że w ogóle żyje - zauważył Darby.

- Duże szczęście, biorąc pod uwagę zniszczenia wozu. Przynajmniej wy jedźcie ostrożnie. Należycie do rodziny?

- Tak jakby. Pracuję dla niego - odparł kowboj.

Bodie nie odezwała się wcale, pozwalając szeryfowi na domysły. Wprawdzie powiedziała Cane'owi, że powinien wylądować za kratami, ale teraz, kiedy okazało się to realne, było jej źle i smutno. Ruszyła w stronę samochodu.

- Możemy już jechać? - zapytała Darby'ego znękany głosem.

- Oczywiście. Do zobaczenia! - zawołał do szeryfa, idąc za nią.

Po kwadransie Darby podjechał pod szpital w Jackson Hole. Aż do tej chwili Bodie nie miała pojęcia, jak daleko od domu się znaleźli.

- Ujechał spory kawał - powiedziała zaskoczona.

- Tak. Dobrze, że po drodze nikogo nie zabił - mruknął, dzwoniąc na ranczo.

- Tu Mallory - odezwał się natychmiast najstarszy z braci. - To ty, Darby? Znaleźliście go?

- Tak. Miał poważny wypadek.

- Żyje? - wykrztusił Mal z przerażeniem.

- Tak, ale jest nieprzytomny i na pewno ma wstrząśnienie mózgu - wyjaśnił Darby.

- Lepiej weź Daltona i jak najszybciej przyjeżdżajcie do szpitala w Jackson Hole.

Nie chciał straszyć Bodie, ale jednocześnie musiał uświadomić Kirkom powagę sytuacji. Mallory wiedział, jak niebezpieczne bywają uszkodzenia głowy. Bracia mogli nie mieć zbyt wiele czasu na pożegnanie.

- Tylko uważajcie po drodze - dodał po chwili.

- A jak się trzyma Bodie?

- Ledwie - szepnął Darby, patrząc na nią z ukosa.

- Będziemy tak szybko, jak się da - rzucił Mallory i rozłączył się.

-- Musisz uwierzyć, że wszystko będzie dobrze - powiedział kowboj łagodnie do Bodie. - Cane jest twardy. Naprawdę. Wyjdzie z tego.

- Nakrzyczałam na niego - wykrztusiła.

- Hej, to on zaczął - przypomniał jej łagodnie. - Nie rób tego. Nie karz samej siebie.

- Jeśli on umrze... - zaczęła i urwała, zamykając oczy.

- Nie umrze. Musisz w to wierzyć.

- Spróbuję.

- Z Cane'a jest kawał skurczybyka, ale nikt z nas nie chce go stracić.

- Nawet ja.

Szczególnie ty, dopowiedział w myślach. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak wiele Cane znaczy dla tej młodej, cichej kobiety. Niestety wisiało w powietrzu. Cane był buntownikiem. Nie nadawał się na męża i ojca. Było więcej niż pewne, że złamie Bodie serce. Darby miał nadzieję, że dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę, bo sam nie zamierzał jej tego mówić. Lubił ją, tak samo jak Kirkowie, i było mu przykro, że Cane tak podle ją traktuje.

Darby siedział w szpitalnej poczekalni, a Bodie z bladą twarzą i rękoma zaciśniętymi w pięści niespokojnie przemierzała korytarz, czekając na lekarza.

- Dlaczego to tyle trwa? - zapytała, zerkając na drzwi, za którymi zajmowano się Cane'em.

- Myślę, że robią mu badania. Muszą się dowiedzieć, co mu jest.

- Uraz głowy - mamrotała. - Jak to się leczy?

- Zależy od stanu pacjenta.

- A jeśli jest zły?

- Pewnie położą go na oddziale intensywnej terapii, dopóki się nie ustabilizuje.

- OIOM - mruknęła, znowu patrząc na drzwi, za którymi ważyły się losy Cane'a. -

Dlaczego to tyle trwa?

Nagle do poczekalni wparowali zmartwieni bracia Kirkowie i Morie; kobieta natychmiast objęła Bodie.

- Moje biedactwo - szepnęła. - Tak mi przykro, że musiałaś tam być.

Współczucie było kroplą, która przepełniła czarę goryczy, i Bodie się rozplakała.

- Nakrzyczałam na niego - wyszłochała w poczuciu winy. - Powiedziałam, że chcę, żeby go zamknęli w pudle.

- A co on ci wcześniej powiedział?

Bodie wysunęła się z jej objęć i sięgnęła po chusteczkę.

- Trochę powiedział - przyznała.

- Tak myślałam - skwitowała Morie i spojrzała na Darby'ego. - Jak bardzo jest źle?

- Lekarz jeszcze do nas nie wyszedł, ale chyba ma rozległy uraz głowy. Na dwoje babka wróżyła - powiedział cicho, niezadowolony, że Bodie słucha ich rozmowy.

- Cane może umrzeć? - wykrztusiła przerażona.

- Istnieje takie prawdopodobieństwo - mruknął Mallory. - Ale bądźmy optymistami. Ma dobrą opiekę i był przytomny, kiedy go znaleźliście.

- Był. A potem nagle odpłynął i wymiotował - szepnęła.

- To nie najlepszy znak - zmartwił się Tank.

Miał tak samo poważny wyraz twarzy jak jego brat. Był na wojnie i widział, jak ludzie umierali z powodu urazów głowy. Być może lepiej niż ktokolwiek w tym po-

mieszczeniu zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Mają tu naprawdę świetny personel i sprzęt - powtórzył Mallory, kładąc bratu dłoń na ramieniu. - Poza tym to Kirk i bywał już w gorszych opałach.

- Wiem - przyznał Dalton. - Ale tak sobie myślę, że modlitwa nie zaszkodzi. Gdzie jest kaplica?

- Zaraz kogoś zapytam - zaoferowała Morie.

Bodie nawet nie drgnęła. Już od dłuższego czasu żarliwie się modliła.

Wszyscy poszli na kilka minut do kaplicy, żeby zawierzyć Bogu swoje troski. Kapłan czekał na nich przy wejściu. Kiedy skończyli się modlić, poszedł z nimi do poczekalni. Choć Mallory był wdzięczny za jego towarzystwo, czuł wielki niepokój. Słyszał wcześniejszą rozmowę duchownego z lekarzem przez telefon i widział głęboką troskę na jego twarzy. Domyślał się więc, co znaczy jego obecność. Lekarze obawiali się, że Cane nie przeżyje. Mallory nie wypowiedział jednak na głos swoich obaw. Wszyscy byli wystarczająco zdenerwowani i przygnębieni, a Bodie wyglądała, jakby lada moment miała zemdleć.

- Może mógłby ksiądz dowiedzieć się, co się dzieje? - zapytał po jakimś czasie Mallory.

- Oczywiście, zaraz zadzwonię - obiecał kapłan i poszedł do dyżurki, aby skorzystać z telefonu stacjonarnego.

Mallory domyślił się, że wolał, żeby nikt z rodziny nie słyszał jego rozmowy.

Wokół ludzie pojawiali się i znikali. Jedni wychodzili z twarzami rozjaśnionymi radością i nadzieją, inni we łzach. Siedząca nieopodal starsza pani posłała Bodie ciepły uśmiech. Odpowiedziała jej tym samym, czując z nią nagłą więź. W środku jednak cała drżała. Dziadka śmierć zabrała szybko, ale pamiętała swój strach, kiedy usłyszeli diagnozę. Teraz było sto razy gorzej. Ta niepewność, bezsilność i czekanie rozdzierały jej duszę.

Duchowny stał do nich tyłem, potakując słowom lekarza. Kiedy się odwrócił, na jego twarzy malował się smutek. Powoli ruszył w stronę Kirków. Bodie patrzyła na niego z przerażeniem. Nie chciała usłyszeć tego, co za chwilę im powie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Serce Bodie biło w rytm kroków kapłana. Jej oczy zaszyły łzami. Nic nie mów, błagała go w myślach. Zostaw nam nadzieję!

Duchowny nie zatrzymał się jednak przy nich. Posłał im przepraszający uśmiech i podszedł do siedzącej nieopodal starszej kobiety. Ta wybuchła płaczem, podobnie jak mężczyzna, który jej towarzyszył. Kapłan szeptał im słowa pociechy. Po chwili wstali i powoli ruszyli do wyjścia. Dopiero wtedy duchowny podszedł do Kirków.

- Wybaczcie. Rozmawiałem o waszym bracie, gdy lekarz oznajmił, że stracili matkę tamtej kobiety. To była wiekowa osoba, ale dla rodziny to nie ma znaczenia.

- Bardzo mi przykro - szepnęła Bodie, patrząc za odchodzącą kobietą, do której już wcześniej poczuła sympatię.

- Mnie również. A jeśli chodzi o członka waszej rodziny - duchowny uśmiechnął się - to jest już przytomny i pokrzykuje na lekarzy. Ma wstrząśnienie mózgu, ale wszystko wskazuje na to, że będzie dobrze. Przeniosą go na wszelki wypadek na resztę nocy na OIOM. Nie ukrywają, że było naprawdę niebezpiecznie.

- Dziękujemy - powiedział Mallory z ulgą, Tank skinął głową, a Morie posłała duchownemu promienny uśmiech.

- Bardzo dziękujemy! - zawołała Bodie ze łzami płynącymi po policzkach.

- Jesteśmy tu po to, żeby wspierać rodziny w trudnych chwilach - odparł kapłan. - Cieszę się, że mogłem przekazać wam dobre wieści.

- My też, choć żal nam tamtych ludzi - westchnął Mallory.

- Życie i śmierć to dwie strony tej samej monety. W tym miejscu często wazą się ludzkie losy - powiedział duchowny.

- Kiedy będziemy mogli się z nim zobaczyć?

- Zaraz się dowiem. W tej chwili jest transportowany na oddział intensywnej terapii, więc liczba gości będzie ograniczona do dwóch osób.

- Tank i Bodie - powiedzieli jednocześnie Mallory i Morie, po czym roześmiali się ze swojej jednomyslności.

- Ale... ja nie należę do rodziny - szepnęła Bodie.

- Należysz - zapewniła ją Morie. - Cane postępuje jak idiota, ale coś do niego czujesz. Wszyscy to wiemy, nawet jeśli on tego nie zauważa. Idź z Tankiem.

- Dziękuję - odparła Bodie, patrząc na Mallory'ego.

- Idź - powtórzył. - I powiedzcie mu, że my z Morie odwiedzimy go później.

Bodie, dziękując w duchu niebiosom za ocalenie Cane'a, otarła łzy. Mógł jej nie lubić i nie chcieć małżeństwa i dzieci, ale najważniejsze, że będzie żył. To jej na razie wystarczało.

Kiedy wpuszczono ich do sali, w której Cane leżał oddzielony parawanem od innych pacjentów, Bodie zacisnęła zęby. Był podłączony do kilku urządzeń, które szumiały i piszczały, a z jego ciała wystawało wiele różnych rurek. Podawano mu tlen, a w jego ramieniu tkwił wenflon z podpiętą kroplówką. Na twarzy miał kilka zadra-

pań, a na czole, wzdłuż linii włosów, założone szwy. Był biały jak prześcieradło i leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami. Bodie przyjrzała się jego twarzy. Cane zawsze był spięty i pobudzony, nie potrafił się odprężyć. W szpitalnym łóżku wydawał się jednak spokojniejszy. Jego twarz wygładziła się, jakby był młodszy. Wydawał się wręcz kruchy i bezbronny.

Do czasu, kiedy nie uniósł powiek i jej nie zobaczył.

- Dlaczego cię tu wpuścili? - wychrypiał wrogo.

Bodie nie odpowiedziała. Po prostu stała, przyglądając mu się uważnie.

- To ona i Darby cię znaleźli - wyręczył ją Tank. - Przestań marudzić. Uratowali ci życie. Gdyby nie oni, do rana byłoby po tobie.

Cane odwrócił wzrok i z jękiem bólu poruszył się na łóżku.

- Lekarze powiedzieli, że złamałem żebro.

- Raczej trzy - uściślił Tank. - Będiesz nosił opaskę elastyczną i sporo wypoczywał.

- W przyszłym tygodniu mam pokaz bydła w Denver.

- Red Davis cię zastąpi - odparł niewzruszony Tank. - Można na nim polegać.

- O ile nie włamie się do serwerów FBI i nie aresztują go już pierwszego wieczoru - warknął Cane. - Kiedy będziemy próbowali wyciągnąć go z aresztu, moje byki zostaną bez nadzoru.

- Nie pozwolimy mu zabrać laptopa - obiecał młodszy brat.

- Miał zatarg nie tylko z CIA, ale też z FBI? - zapytała Bodie z niedowierzaniem.

- Lubi życie na krawędzi - roześmiał się Tank. - Z FBI miał problem w zeszłym roku, a trzy miesiące temu zgarnęło go CIA. Udało mu się z tego wywinąć, choć szukał jakichś zastrzeżonych informacji o atakach terrorystycznych na ich serwerach. Znam jednego z agentów i powiem wam, że nie są to ludzie, z którymi warto zadziierać - dodał, kręcąc głową.

- Powinni po prostu dać mu pracę w jednostce do zwalczania terroryzmu w sieci - skomentowała Bodie.

- Zaproponowali mu to, ale się nie zgodził - mruknął Cane. - A ty uważaj, co mówisz, bo to jeden z naszych najlepszych kowbojów, nie licząc Darby'ego.

Tym razem w jego słowach nie było złości.

- Przepraszam - szepnęła, spuszczaając oczy.

- Kiedy stąd wyjdę? - chciał wiedzieć Cane. - Czuję się jak cyborg - oznajmił, wskazując towarzyszące mu przewody i urządzenia.

- Na pewno zostaniesz na noc - oznajmił Tank.

- Hm. Żeby mogli podjąć próbę ratowania mnie, gdybym znów stracił przytomność? Wiem co nieco o urazach głowy. Właśnie to zabiło Jamiego Franklina.

- Jamie był już stary, kiedy byk kopnął go w głowę, a potem jeszcze stratował - wyjaśnił Tank, ponieważ Bodie nie знаła tej historii.

- To było w Arizonie, gdy mieliśmy po kilkanaście lat - dodał Cane.

- To ty byłeś kiedyś nastolatkiem? - udała zdziwienie Bodie.

- Byłem nawet dzieckiem - mruknął Cane.

- Trudno to sobie wyobrazić.

Cane przez chwilę przyglądał się jej zmęczonej twarzy, zanim przeniósł spojrzenie na brata.

- Robię się śpiący. Podali mi coś?
- Środki przeciwbólowe. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.
- Skoro tak mówisz... - wybełkotał Cane i zamknął oczy.

Kiedy zasnął, Tank wyszedł, ale Bodie została przy jego łóżku. Delikatnie pogładziła go po włosach.

- Tak bardzo mi przykro - szepnęła. Kiedy Cane się nie poruszył, odważyła się musnąć wargami jego czoło. - Musisz żyć, słyszysz? - dodała ze łzami w oczach. - Nie dam sobie rady, jeśli ciebie zabraknie.

Jeszcze chwilę pozostała przy jego łóżku, jakby zbierała siły na wyjście z sali. Nie opuściła jednak szpitala, chociaż Kirkowie wynajęli pokoje w pobliskim hotelu. Zanim wyszli, wymusili na niej zjedzenie kanapki, wypicie herbaty i obietnicę, że przyjdzie później do hotelu. Bodie jednak z uporem trwała na niewygodnym krzeselku w poczekalni.

Nad ranem natknęła się na nią przełożona pielęgniarek. Stan Cane'a gwałtownie się pogorszył. Kobieta wielokrotnie widziała w swojej karierze mniejsze urazy głowy, które kończyły się tragicznie. Ten pacjent najwyraźniej wymykał się lekarzom.

- Jak się pani czuje? - zapytała, podchodząc do Bodie.
- Nie najlepiej - przyznała. - Martwię się o... przyjaciela, który leży na OIOM-ie.
- Może chciałaby pani przy nim chwilę posiedzieć?
- Myślałam, że można widywać pacjenta tylko na krótko i co kilka godzin.
- Czasami robimy wyjątki - odparła kobieta z uśmiechem. - Proszę za mną. Powiadomię lekarza.

Doktor, tak samo jak pielęgniarka, zdawał sobie sprawę, że pacjent nie reaguje prawidłowo na terapię. Cekał właśnie na konsultację neurologiczną. Młoda kobieta, którą przyprowadziła pielęgniarka, była bardzo blada i przejęta, więc lekarz uznał, że pacjent jest dla niej kimś ważnym i że ta wizyta może dla niego być szansą na powrót do świata żywych.

- Dobrze. Dam jej parę minut, ale ma zachować ciszę i nie wchodzić w drogę personelowi - powiedział. Przełożona pielęgniarek zaprowadziła więc Bodie do Cane'a.

Dziewczyna usiadła na taborecie obok jego łóżka, podczas gdy pielęgniarka spisywała wszystkie parametry pacjenta. Cane nie wyglądał dobrze i był nawet bledszy niż wcześniej.

- Zawsze trzeba mieć nadzieję - szepnęła pielęgniarka, wychodząc.

Kiedy Bodie została sama z Cane'em, przysunęła taboret bliżej łóżka i delikatnie ujęła wielką dłoń mężczyzny, splatając jego palce ze swoimi.

- Tyle kłótni - szepnęła. - Zawsze je wygrywałeś, bo nie umiałam oddawać ciosów. Powiedziałam ci parę okropnych rzeczy, ale wiesz, że wcale tak nie myślę - westchnęła, mocniej ściskając jego dłoń. - Musisz walczyć, Cane. Co z tego, że jakaś kobieta odepchnęła cię, bo nie masz dłoni? Jesteś bohaterem. Poświęciłeś siebie, żeby ocalić towarzyszy. To jest ważniejsze nawet od tej głupiej baby, która nie dostrzegła nic poza twoją protezą... - Bodie urwała, dławiona emocjami. Cierpiała na myśl o Canie z inną kobietą, ale wyraźnie pokazał jej, że nie ma dla niej miejsca w jego życiu. Że ze swoimi ideałami nie pasuje do jego świata. - Spotkasz jeszcze wiele wspaniałych kobiet - podjęła po chwili. - Ale przecież nie w barach. Może

w czasie spotkań hodowców? Tam jest wiele pań, które kochają ziemię i zwierzęta. Może któraś pokocha i ciebie? Chociaż tobie nie zależy na miłości. Wolałbyś od czasu do czasu po prostu mieć kobietę, prawda? – zapytała, przyglądając się jego dłoni. – To twoje życie i nie mam prawa cię oceniać. Może gdybym przeszła to co ty, tak samo bym się zachowywała. – Zamyśliła się. – Nie. Uważasz mnie za osobę staromodną i pewnie taka jestem, jednak to tradycjoniści podtrzymują wiarę, przekazują ideały i nie pozwalają społeczeństwu stoczyć się na powrót w barbarzyństwo – wyjaśniła z delikatnym uśmiechem. – Wiem, że to głupie, ale mówię, co czuję. Wiem, że to dla ciebie bez znaczenia i że uważasz mnie za idiotkę – westchnęła, gładząc jego dłoń.

Cane miał szczupłe, długie palce o czystych, zadbanych paznokciach i oliwkową skórę. Był zabójczo przystojny. Podobno przed wypadkiem nie mógł opędzić się od kobiet. Nigdy nie miał kłopotu z zaproszeniem którejś z nich na randkę. Tamten Cane nawet nie spojrzałby na Bodie. Ale w obecnym stanie, z kalekim ciałem i poturbowanym ego, zależało mu na aprobachie każdej kobiety, która uzna go za mężczyznę. Dotykał jej i całował, mówił też szalone rzeczy. A Bodie uległa, ponieważ...

Westchnęła cicho, uświadamiając sobie z całą jasnością, że go kocha. Krew odpłynęła jej z twarzy. To przegrana sprawa. Cane nigdy nie odwzajemni jej uczuć. Nie pragnie miłości ani małżeństwa, a Bodie nie zgodziłaby się na luźny związek, nawet gdyby w przyпыłwie szaleństwa jej to zaproponował.

– Ależ z nas para. Don Juan i zakonnica – roześmiała się cicho i pocałowała jego nieruchomą dłoń. – Pragnę tylko, żebyś żył – wyznała z czułością w głosie. – Nawet jeśli przez resztę życia będziesz chwalił się swoimi miłosnymi podbojami. Wystarczy mi, że będziesz oddychał tym samym powietrzem. – Kiedy odważyła się na niego zerknąć, dostrzegła, że oczy Cane'a poruszają się szybciej pod powiekami i nie jest już tak śmiertelnie blady. Ścisnęła mocno jego rękę. – Ja nigdy... nie miałam do czynienia z mężczyznami. Wszystkiego, co o nich wiem, ty mnie nauczyłeś. Czuję, że mnie nie lubisz – westchnęła, patrząc na ich splecione palce. – Wchodzę ci w drogę, jestem bezpośrednia i niedoświadczona. Nie jestem ładna ani towarzyska i nie zdobędę nagrody za inteligencję. Ale cię kocham. Nigdy ci tego nie powiem, bo byś mnie wyśmiał albo się obraził. To będzie mój sekret. I mój problem – dodała łamiącym się głosem. – Nikt oprócz mnie się nie dowie. Nadal będę udawać, że nie obchodzą mnie twoje uszczypliwości i wyśmiewanie moich zasad. Chociaż za każdym razem po trochu w środku umieram. – Odsunęła się trochę i wyprostowała. – Musisz tylko przeżyć – oznajmiła, walcząc ze łzami. – Nigdy nie chodziło o mnie czy moje uczucia. Nic nie poradzisz na to, jaki jesteś. Niektórzy po prostu nie potrafią oprzeć się pięknym kobietom. Nie ma w tym nic złego. Szkoda tylko, że ja nie jestem piękna. Jestem jak stare, wygodne kapcie, które chowa się w szafie, kiedy przychodzą goście. W żaden sposób ci nie zagrażam. Nigdy nie wyśmiewałam się z twojego kalectwa. Jestem po prostu sąsiadką, z którą możesz porozmawiać zawsze, kiedy masz ochotę. – Pogładziła czubkami palców jego dłoń. – Bo rozmawiasz ze mną, prawda? Nawet o najbardziej krępujących sprawach. Z początku nie wiedziałam, o czym mówisz, i musiałam sprawdzić w sieci. Trzeba przyznać, że byłeś bardzo dosłowny. Można to uznać za edukację seksualną. I pewnie tylko tyle będę wiedziała o miłości. Nie jestem rozrywkowa i nawet dla ciebie się nie zmienię. Je-

stem staroświecka i uparta. Nie pasuję do dzisiejszych czasów. Ale kiedyś zostanę uznanym archeologiem, a może nawet wykładowcą uniwersyteckim. Albo dokonam wielkiego odkrycia - rozmarzyła się, patrząc na jego twarz. - Jesteś taki przystojny, Cane. Po prostu piękny. Nigdy nie będę miała dość patrzenia na ciebie.

Widząc, że mężczyzna lekko się poruszył i zmarszczył brwi, Bodie przestraszyła się, że słyszał jej słowa, choć była pewna, że Cane mocno śpi. Rejestrowane przez urządzenia bicie jego serca było może trochę szybsze niż normalnie, ale tłumaczyła to urazami, jakie odniósł w wypadku.

Przerwało jej delikatne pukanie we framugę drzwi.

- Pora iść - powiedziała cicho pielęgniarka. - Dam pani jeszcze minutkę.

- Cane, każą mi wyjść. Zostałabym całą noc, gdyby mi pozwolili. Nigdy cię nie opuszczę - zapewniła łamiącym się głosem. - Musisz walczyć, słyszysz? Musisz! Nie waż się poddawać! Jeśli zrezygnujesz, to ja... to ja... nie wiem, co zrobię. - Bodie jęknęła, połykając łzy. - Nie przeżyję bez ciebie.

Cane znów się poruszył i westchnął, ale nie otworzył oczu. Bodie nagle zawstydziała się swojej otwartości.

- Muszę już iść - mruknęła. - Jutro obudzisz się i jak zwykle będziesz na wszystkich krzyczał. Tak, jutro będzie lepiej. Na pewno. - Nachyliła się i musnęła wargami jego czoło. - Śpij i śnij o tych wszystkich pięknych kobietach, które na ciebie czekają. Kiedyś znajdziesz swoją ukochaną i będziesz szczęśliwy. Tylko tego pragnę.

Twarc Cane'a nabrała rumieńców, oddech stał się równiejszy, a serce przestało gubić rytm. To dziwne, ale nie wyglądał już tak źle jak wtedy, gdy weszła do sali.

- Reszta rodziny przyjdzie do ciebie rano - powiedziała cicho. - Ja już nie wrócę. Musisz wydobrzeć, a tylko cię denerwuję. Śpij dobrze. Do zobaczenia, Cane.

Bodie odwróciła się i z bólem serca wyszła. Za drzwiami czekała na nią uśmiechnięta przełożona pielęgniarek.

- Jego stan się poprawił i z minuty na minutę jest coraz lepszy - powiedziała.

- Rzeczywiście, wydawało mi się, że kiedy wychodziłam, wyglądał lepiej.

- Urazy głowy bywają podstępne. Czasem wystarczy drobny impuls, żeby przywrócić do życia. Wielokrotnie widziałam, jak ludzki dotyk pomagał nieprzytomnym pacjentom.

- Czy on przeżyje? Proszę powiedzieć, że tak.

- Nikt z nas nie ma pewności w takich przypadkach - oznajmiła łagodnie pielęgniarka - ale myślę, że idzie ku lepszemu. A teraz proszę odpocząć.

- Dobrze - zgodziła się Bodie z bladym uśmiechem.

Nie wyszła jednak ze szpitala. Resztę nocy przedrzemała na niewygodnym szpitalnym krześle w poczekalni. Tam znaleźli ją rankiem Tank, Mallory i Morie.

- Rany boskie! Dlaczego nie przyszedł do hotelu się przespać?! - zawołał Tank, wyrrywając ją z płytkiej drzemki.

- Bo było za daleko - odparła półprzytomnie Bodie. - Pielęgniarka pozwoliła mi w nocy przy nim posiedzieć.

- Naprawdę? - zdziwił się Mallory.

- Czy możecie się dowiedzieć, jak minęła mu reszta nocy? Nie jestem z rodziny, więc mi nie powiedzą.

- Zaraz się dowiem - obiecał Mallory i ruszył do dyżurki pielęgniarek.

- Wyglądasz na wykończoną - zauważyła Morie. - To była ciężka noc dla nas wszystkich.

- Cane żąda jajek na bekonie - oznajmił Mallory z szerokim uśmiechem. - Lekarz mówi, że niebezpieczeństwo w zasadzie minęło. Już niedługo zabiorą go z intensywnej terapii na zwykłą salę.

- Dzięki Bogu! - krzyknęła Bodie i wybuchła płaczem.

- Może teraz pójdziesz się trochę przespać w hotelu? - zapytała uradowana Morie, biorąc ją w ramiona.

- Zawsze możesz wrócić później - wtrącił Tank.

- To nie jest dobry pomysł - odparła spokojnie Bodie. - Denerwuję go, a w jego stanie to niewskazane. - Zmusiła się do uśmiechu. - Chyba wrócę na ranczo, o ile nikt nie ma nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie, jeśli tego właśnie chcesz - powiedział z wahaniem Mallory.

- Tak będzie lepiej dla Cane'a.

- Odwiozę cię - zaoferowała Morie, wstała i pocałowała męża. - Wrócę za jakieś dwie godziny.

- Jasne. Jedź ostrożnie.

- Oczywiście. Wiesz, że na siebie uważam - odparła z porozumiewawczym uśmiechem.

- Mamy coś przekazać od ciebie Cane'owi? - zapytał Tank.

- Tylko że... cieszę się, że się lepiej czuje. Tylko to.

- Zatem do zobaczenia później - powiedział, a Bodie skinęła mu głową na pożegnanie i razem z Morie opuściła szpital.

Kiedy obaj Kirkowie poszli odwiedzić brata, Cane był przygaszony i małomówny.

- Jak się trzymasz? - zapytał zmartwiony Tank.

- Jakoś. A gdzie Bodie? Nie pozwolili jej tu wejść?

- Morie odwiozła ją na ranczo - powiedział cicho Mallory.

- Nie podoba jej się, że przeżyłem? - warknął Cane.

- To było podłe - oburzył się Tank.

- Tym bardziej że całą noc spędziła pod twoją salą - poparł go Mallory.

- Pewnie czuje się winna, że pokłóciła się ze mną przed wypadkiem.

- Przypomnę ci, że to ty zacząłeś - zdenerwował się Tank. - To nie ona prowokuje kłótnie, tylko ty.

- Skąd możesz to wiedzieć? Zawsze mnie poucza i gada tylko o domu, małżeństwie i dzieciach!

- Ja na przykład nie miałbym nic przeciwko temu - mruknął Tank. - To miła dziewczyna i ma serce wielkie jak Wyoming.

- Jest dla ciebie za młoda - oburzył się Cane.

- Czyżby? Jestem dwa lata młodszy od ciebie. Poza tym ona mnie lubi.

- Jeśli ją tkniesz, w życiu się do ciebie nie odezwę - zapowiedział Cane z groźną miną.

- To moja sprawa, co z nią zrobię - odszczeknął się Tank.

Mallory uznał, że pora interweniować, i stanął między braćmi.

- To szpital, a tobie nie wolno się denerwować - powiedział do Cane'a. - Zamiast wszczynać awantury, najpierw wydobrzej.

Cane warknął coś niezrozumiałego i rzucił Tankowi wrogie spojrzenie.

- Ona jest biedna, a ty masz kasę - powiedział złośliwie. - Łatwo zakochać się w bogatym facecie, no nie?

- Myślisz, że forsa to moja jedyna zaleta? - rzucił wojowniczo Tank.

- Moja na pewno. - Cane z powrotem opadł na poduszki. - Kobiety tylko to we mnie widzą. Chętnie bym się napił - oznajmił, nie zważając na zmartwione miny braci.

- Kiedy stąd wyjdiesz, trafisz prosto na odwyk - powiedział sucho Mallory. - Mam dość. Koniec z uzalaniem się nad sobą, pora wracać do normalnego życia. - Cane i Tank gapili się na niego zdumieni. - Mówię poważnie. Jesteś moim bratem i kocham cię, dlatego nie będę beczynie patrzył, jak siebie niszczysz. Musisz pogodzić się z faktem, że zostałeś okaleczony, i wziąć się w garść. Świat się nie skończył. Z jakiegoś powodu wciąż żyjesz i powinieneś zastanowić się dlaczego. - Cane nadal wpatrywał się w niego bez słowa. - Owszem, robię się religijny. To stres tak wpływa na ludzi. Odchodziliśmy od zmysłów, kiedy powiedziano nam, że możesz nie przeżyć. Nikt nie poinformował o tym Bodie, ale i tak odmówiła opuszczenia szpitala. Przełożona pielęgniarek była zaniepokojona twoim stanem, dlatego pozwolono Bodie przy tobie posiedzieć. Obrażasz ją, a być może to dzięki niej dziś rozmawiamy.

Cane spuścił wzrok. Gdy leżał nieprzytomny, wydawało mu się, że słyszy cichy szept i szloch. Teraz przypomniał sobie, co powiedziała Bodie...

Nie potrafił wypowiedzieć tych słów nawet w myślach. To było... przytłaczające. Z jednej strony wstydził się, z drugiej dzięki jej słowom poczuł się na powrót kompletnym człowiekiem. A teraz znów zachowywał się jak idiota, bo za nią tęsknił.

Napiętą sytuację przerwała pielęgniarka.

- Przenosimy pana na zwykłą salę - oznajmiła z uśmiechem - dlatego na razie wszystkich przeproszę. Będą mogli się z panem zobaczyć za parę minut.

- Chętnie napiję się w tym czasie kawy - mruknął Tank.

- Ja też chcę - oznajmił Cane.

- O nie. Na razie żadnej kofeiny - zaprotestowała pielęgniarka i roześmiała się, kiedy posłał jej oburzone spojrzenie. - Ale jak będzie pan grzeczny, mogą być lody na deser.

- Będę grzeczny - obiecał Cane z uśmiechem.

Kobieta także się uśmiechnęła i lekko zarumieniła. Cane rozkwitł, widząc błysk zainteresowania w jej oczach. Mallory i Tank pokręcili głowami. Brat flirtował jak dawniej. To nie był dobry znak dla Bodie.

Kiedy Cane znalazł się już w swoim pokoju, poczuł się lepiej, choć dokuczały mu złamane żebra.

- Boli - poskarżył się, dotykając opaski uciskowej.

- Będzie lepiej - zapewnił go Tank. - Też miałem pęknięte żebra po tamtej strzelaninie. - Zwykle nie mówił o tych wydarzeniach.

- Zapomniałem. Przepraszam - mruknął Cane.

- Będzie lepiej - powtórzył Tank - kiedy wreszcie stawisz temu czoło.

- Jeszcze tego nie zrobiłem - skrzywił się Cane.

- A może już pora? Demolowanie barów i rozbijanie samochodów nie załatwi sprawy.
- No właśnie. Przypomniałeś mi o telefonie od szeryfa - westchnął Mallory. - Masz zarzuty za jazdę pod wpływem alkoholu.
- Cane skrzywił się, dotykając żeber.
- Należało mi się - przyznał. - Dzwońcie po prawnika. Będzie mi potrzebny.
- Już to zrobiłem - odparł Mallory. - Podobno można zmniejszyć karę, o ile się zgłosisz po pomoc.
- Cane wyglądał na zirytowanego, ale milczał. Poprawił się na poduszkach.
- Próbowałem szukać pomocy - oznajmił po chwili. - Posłano mnie do ludzi, którzy korzystają z portali społecznościowych, i chciano, żebym rozmawiał z nimi jak z przyjaciółmi pięć minut po tym, jak mi się przedstawili.
- Powinieneś więc zwrócić się do kogoś, komu ufasz.
- Ha! To będzie krótka lista.
- A my? - zapytał Tank. - Rodzina nie będzie cię oceniać.
- Owszem, jesteśmy braćmi - skrzywił się Cane - ale tym bardziej niektórych rzeczy nie mogę wam powiedzieć!
- To może znajdziemy prywatnego psychologa?
- Będzie tak samo jak z tym wojskowym. - Cane rzucił Mallory'emu kose spojrzenie. - Nie otworzę się przed kimś, kogo nie znam.
- Jest jeszcze jedno rozwiązanie - powiedział powoli Mallory.
- To zły pomysł - mruknął Tank, domyślając się, co brat chce zaproponować.
- Co jest złym pomysłem? - dopytywał się Cane.
- Zawsze po pijaku rozmawiasz z Bodie. Może spróbuj zrobić to samo, kiedy jesteś trzeźwy - podpowiedział najstarszy z Kirków.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Wcale z nią nie rozmawiam! Nawet kiedy za dużo wypiję! - krzyknął Cane.

- Ja słyszałem co innego - mruknął Mallory.

- To jeszcze dziecko - dalej złościł się Cane.

- W porządku. To był zły pomysł - ustąpił Mallory i spojrzał na Tanka. - Miałeś rację.

- Bodie ma własne problemy - powiedział spokojnie najmłodszy z braci. - Od śmierci jej dziadka minęło niewiele czasu, a jeśli Will zostanie oskarżony w związku ze stroną, którą prowadzi w sieci, jej zdjęcia mogą wypłynąć w internecie. Jeśli tak się stanie, to ją zniszczy.

- Zaraz. Jakie zarzuty? - zdziwił się Cane.

- Podobno śledczy szeryfa zgromadzili dowody na rozprowadzanie przez Jonesa pornografii dziecięcej.

- Nareszcie! To wspaniałe wieści!

- Tyle tylko, że Bodie znajdzie się na linii ognia - mruknął Tank. - Will filmował jej spotkanie z Larrym. Udało ci się zniszczyć laptopa, ale zdjęcia prawdopodobnie zachowały się w kamerze.

- Jeśli wrzuci je do sieci, będzie miał ze mną do czynienia. - Cane powiedział to takim tonem, że bracia przyjrżeli mu się ze zdumieniem.

Tank wyglądał na rozdrażnionego. Mallory domyślał się jego uczuć do Bodie, ale z reakcji Cane'a wynikało, że on również coś do niej czuje, choć się do tego nie przyznaje.

- Nie lepiej od razu stawić czoło problemom? - myślał na głos Cane. - I znaleźć eksperta, który sprawdzi i usunie z sieci co trzeba?

- Red Davis - powiedzieli bracia jednocześnie, a Cane pokiwał głową.

- Dobry pomysł - pochwalił Mallory. - Zaraz poproszę go o pomoc.

- Tylko czy to się uda? - spytał z powątpiewaniem Tank. - Jak pomyślę, że obcy ludzie mogą zobaczyć Bodie w takiej sytuacji...

- Musimy spróbować - przerwał mu Mallory.

- Sama jest sobie winna - wtrącił Cane ze złością. - Powinna była posłać Willa do diabła razem z jego fantazjami.

- Pewnie by to zrobiła, gdybyśmy wiedzieli, jak bardzo przycisnęła ją bieda - odpowiedział Mallory.

- I gdybyś nie wyzwał jej od dziwek, kiedy cię poprosiła o pożyczkę - zauważył ja-dowicie Tank.

- Myślałem, że potrzebuje pieniędzy na jakieś bzdury - warknął Cane. - I że jak każda inna przyszła do mnie po kasę, bo jestem bogaty.

- To nie w jej stylu - odparł sucho Tank. - Jeśli tego nie dostrzegasz, twoja strata. To wspaniała kobieta.

- To jeszcze dziecko - powtórzył Cane z uporem, unikając spojrzenia brata.

- Rzeczywiście - roześmiał się Tank. - W sobotę w mieście jest potańcówka i zamierzam ją zaprosić na randkę.
- Jeszcze czego! - wydarł się Cane. - Chyba po moim trupie!
- Z tobą nie będzie chciała się spotykać po tym, jak ją potraktowałeś.
- Nawet nie wiesz, jak tego żałuję - westchnął zawstydzony Cane, wspominając słowa, które usłyszał w nocy w szpitalnej sali.
Zaskoczeni bracia popatrzyli na siebie w zdumieniu.

Bodie karmiła właśnie kurczaki, kiedy Kirkowie przywieźli obolałego Cane'a ze szpitala. Stała na ganku z wiadrem karmy, patrząc, jak pomagają mu wysiąść z furgonetki. Miała na sobie dzinsy i szarą koszulkę z krótkimi rękawami. Wyglądała na zmęczoną, ale podekscytowaną.

- Jak się czujesz? - zapytała Cane'a z wahaniem.
- Lepiej. Ale nie dzięki tobie! - warknął.
Dziewczyna oblała się rumieńcem, odwróciła na pięcie i walcząc ze łzami, ruszyła do kurnika.
- Czekał, Bodie! - zawołał za nią. - Przepraszam.
- Nic się nie stało - odparła, zatrzymując się, ale nie odwracając. - Mam... dużo pracy. Cieszę się, że wróciłeś - dodała i odeszła.
- Cholera! - zaklął Cane. - Niech to szlag!
- Rób tak dalej, a oddasz mi przysługę - powiedział Tank z szerokim uśmiechem.
- Jeśli pójdziesz z nią na tańce, wyprowadzę się domu! - zagroził Cane.
- To twoja decyzja - odparł Tank i ruszył za Bodie.
- Uspokój się - poradził Mallory rozgorączkowanemu bratu. - Nie rozwiążesz problemu wrzaskami. Chodź do środka. Nie musisz wszczynać awantur, ledwie wróciłeś do domu.

Cane nie odpowiedział. Był obolały, cierpiący i w tej chwili nienawidził Tank'a. Naprawdę nienawidził. Tank poszedł za Bodie, a ona mogła szukać u niego pocieszenia. Aż się potknął na schodach, kiedy o tym pomyślał.

- Idziesz prosto do łóżka - zakomenderował starszy brat. - Na razie na nic więcej nie masz siły.
- Może i racja - mruknął Cane, wspierając się na nim ciężko w drodze do sypialni.
- Tank chce jej dla siebie - poskarżył się.
- Bo to świetna dziewczyna. On od dawna jest sam, a ty nie chcesz Bodie. Powinieneś się cieszyć, że twój brat wreszcie się kimś zainteresował.
- Ona jest moja! Moja! - krzyknął Cane z wściekłością, aż brwi Mallory'ego powędrowały w zdumieniu do góry. - Nie zrezygnuję, dopóki mi nie powie, że nie mam u niej szans. A tak się nie stanie, bo mnie kocha.

- Skąd wiesz?
- Sama mi to powiedziała w szpitalu, kiedy myślała, że jestem nieprzytomny. Czulem, że umieram. A wtedy ona wzięła mnie za rękę i kazała mi walczyć. Mówiła, że nie chce beze mnie żyć. - Usiadł na łóżku, patrząc na brata cielecym wzrokiem. - I że jestem najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.
- Jesteś niezły, ale ze mną nie możesz się równać - zażartował Mallory, świadom, że jest najmniej przystojny spośród braci Kirków. - Dobrze, że przywróciła ci chęć

do życia – dodał poważniej.

– Nie mówiła tego ot tak sobie. Naprawdę tak myśli.

– To chyba nie musisz się obawiać zalotów Tanka.

– Pewnie masz rację – zgodził się Cane i z westchnieniem położył na łóżku, kiedy Mallory ściągał mu traperskie buty. – Dzięki.

– Nie ma za co.

– Nie powinienem tak na nią warczeć – zafrasował się Cane. – Nie mam pojęcia, dlaczego za każdym razem ją rugam. To jedyna osoba spoza rodziny, którą obchodzę. Wielokrotnie ratowała mój tyłek z barowych burd. Razem z Darbym ocaliła mi życie po wypadku. A pierwsze, co zrobiłem, gdy się spotkaliśmy, to ją obraziłem.

– Może dlatego, że jesteś wewnątrznie rozdarty – podpowiedział Mallory. – Wiesz, co czuje Bodie. A co ty czujesz?

– Nie chcę się żenić – wypalił Cane, patrząc w sufit.

– Cóż, w przypadku Bodie nic innego nie wchodzi w grę. Ona nie tylko mówi o swoich przekonaniach, ale nimi żyje.

– Wiem. Dlatego to takie skomplikowane – westchnął Cane. – Pragnę jej – przyznał. – Pragnąłem, odkąd stała się dorosła. I aż do niedawna się z tym kryłem. – Zerknął na brata, który przysiadł na skraju łóżka. – Wiesz, że moje kalectwo naprawdę jej nie przeszkadza? Nie jest jak tamta kobieta z baru, która powiedziała, że brzydzi się inwalidami – oznajmił z gniewem, bo to wspomnienie nadal bolało.

– Nigdy wcześniej nie pociągały cię kobiety, które przesiadują w barach – zauważył Mallory. – Zależy im tylko na zabawie lub zarobku i nie ma sensu oczekiwać od nich współczucia.

– Chyba że cena będzie wystarczająco wysoka – rzucił cynicznie Cane.

– Za pieniądze możesz wiele dostać – zgodził się Mallory i uważnie przyjrzał się bratu. – Wiesz, że z wiekiem będziesz mniej atrakcyjny. Wkrótce zobaczysz moje dzieci bawiące się na podwórku, a potem dzieci Tanka, kiedy w końcu się ożeni. Ty będziesz przechodził z łóżka do łóżka, zawsze sam. Nikt nie będzie na ciebie czekał w domu ani dbał o to, czy żyjesz, czy nie. To smutna przyszłość moim zdaniem.

– Małżeństwo to pułapka. Ale nie dla ciebie – dodał szybko, widząc minę Mallory'ego. – Ty i Morie jesteście jak połówki tego samego jabłka i cieszę się waszym szczęściem. Ale nie chcę poświęcać swojej wolności dla kobiety.

– A czym jest wolność? – zapytał filozoficznie Mallory.

– Mogę robić, co chcę, spotykać się, z kim chcę, i sypiać, z kim chcę. – Cane roześmiał się z goryczą. – Tylko że w takim stanie nie ma ze mnie żadnego pożytku – dodał, wskazując kalekie ramię. – Mal, ja... nie byłem z żadną kobietą od wypadku – wyznał drżącym głosem.

– Tak barwnie opowiadałeś o swoich randkach...

– To były próby udowodnienia, że nadal mogę czuć się mężczyzną – wyznał Cane, odwracając wzrok. – Nikt mnie takiego nie chce.

– To nieprawda.

– Bodie chce, wiem – westchnął. – Ale nie bez zobowiązań. Ślub, małżeństwo, rodzina. A ja nie jestem na to gotowy.

– Masz trzydzieści cztery lata i niszczysz swoje życie. Picie nie pomaga. Wylądujesz w końcu w więzieniu. Ten wypadek był ostrzeżeniem. Los postukał cię w ramię

i upomniał. Na tej drodze czeka cię tylko nieszczęście. I nas też, bo jesteśmy twoją rodziną i cię kochamy. Nie było to coś, czego chciałbym doświadczyć ponownie. Nawet nie wiesz, jak się czuliśmy, czekając w szpitalu na opinię lekarzy, czy będziesz żył, czy nie.

Cane zmarszczył brwi. Dotąd nie zastanawiał się nad uczuciami bliskich, zajęty uzalaniem się nad sobą. Nagle poczuł się winny, widząc na zmęczonej twarzy brata kilka nowych zmarszczek.

- Chyba się domyślam - odparł cicho.
- Twoje zachowanie dotyka wszystkich, którzy cię kochają.
- Jestem egoistą.
- Jesteś zagubiony - poprawił go Mallory. - Domyślam się, przez co przechodzisz po powrocie z wojny. Tank wie, bo sam tam był. Ale on jakoś z tego wyszedł, a ty nie. Nie chcę, żebyś skończył w więzieniu.
- Dzięki. Ja też nie jestem za tym.
- Więc zgłoś się po pomoc. Stać nas na to dzięki inwestycjom i sukcesom w hodowli.
- Problem w tym, że nie ufam obcym.
- Znajdziemy kogoś, z kim będziesz mógł porozmawiać, tylko spróbuj z nim współpracować.
- Dobrze - Cane westchnął z rezygnacją - ale pod jednym warunkiem. Idź tam i trzymaj Tankę z dala od mojej dziewczyny!
- Znajdę mu coś do roboty - obiecał ze śmiechem starszy brat i wstał.
- Dzięki. I poproś Bodie, żeby do mnie zajrzała, dobrze?
- Poproszę.
- Tylko najpierw jej powiedz, że jeszcze raz przepraszam.
- Dobrze. Wszystko dla mojego braciszka - odparł ubawiony Mallory.
- Naprawdę jesteście wspaniali. Przepraszam, że was na to wszystko naraziłem - powiedział cicho Cane. - Postaram się poprawić.
- Tylko o to proszę. Zajrzę do ciebie później - zapowiedział Mallory i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi do pokoju.

Cane zamyślił się. Nie wiedział, co powie Bodie, ale nie mógł Tankowi pozwolić naruszać swojego terytorium. Bodie należała do niego. Nie zamierzał z niej zrezygnować. Wiedział, że będzie musiał znaleźć sposób na zmniejszenie dystansu, który dzielił ich z powodu jej przekonań. Z drugiej strony nie znał wielu kobiet, które uważały go za najpiękniejszego mężczyznę świata. Uśmiechnął się na wspomnienie jej cichego głosu. To będą święta godne zapamiętania, pomyślał, patrząc na małą choinkę ustawioną na jego biurku.

Tank pomagał Bodie karmić kury.

- Musimy położyć nowy dach na kurniku - powiedział, przyglądając mu się ze ściągniętymi brwiami. - Nie chcemy, żeby nasze dziewczynki mokły - dodał żartobliwie, wskazując kolorowe stadko.
- Uwielbiam kury - odparła. - Dziadek je hodował, zanim mama wyszła za Willa Jonesa. Potem bardzo mi ich brakowało.
- Ja też lubię kurczaki. I jajka. Te ze sklepu nie są takie same.

- Racja.

Tank rozejrzał się po podwórzu, zanim poruszył inny temat.

- Przykro mi, że Cane był taki opryskliwy. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że przesiedziałaś całą noc w szpitalu.

- Już przywykłam, że zawsze na mnie burczy - odparła. - To nie jego wina. Po prostu lubi piękne dziewczęta.

- A tobie czego brakuje? - zapytał Tank z uśmiechem, przyglądając się jej delikatnym rysom, jasnobrązowym oczom i krótkim czarnym włosom. - Myślę, że jesteś bardzo atrakcyjna.

Bodie zaczerwieniła się i spuściła wzrok. Komplement był miły, ale traktowała Tank'a jak brata i nie wiedziała, jak się teraz zachować.

- Spokojnie - mruknął, wyczuwając jej zmieszanie. - To było stwierdzenie faktu. Starszy brat może chyba powiedzieć siostrze, że jest ładna, prawda?

- Prawda - przytaknęła z nieśmiałym uśmiechem.

- Poza tym - dodał, wsuwając ręce do kieszeni spodni - Cane już zapowiedział, że spuści mi manto, jeśli będę z tobą flirtował.

- Co? - Poczwała, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Powiedział, że...

- Bodie! - zawołał Mallory, wychodząc z domu.

Odwróciła się, rozdarta między chęcią usłyszenia tego, co Tank miał jej do powiedzenia, i obawą, że okaże się niegrzeczna wobec najstarszego z braci.

- Tak?

- Cane chce z tobą porozmawiać.

- Wymyślił nowe obelgi pod moim adresem? - zapytała, siląc się na żartobliwy ton.

- Kazał cię przeprosić za swoje zachowanie - oznajmił Mallory z uśmiechem. - Jeśli znów cię obrazi, odszczeknij mu. To człowiek, który zakrzyczy tych, którzy mu na to pozwolą. Nie daj się zbić z tropu.

- Staram się - westchnęła - lecz on ma silną osobowość.

- Jak wszyscy Kirkowie - roześmiał się Tank. - Ale dasz sobie radę.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała, oddając mu wiaderko z ziarnem dla kur. - Dokończysz karmienie? Tylko uważaj na Charliego.

- Kim jest Charlie?

Bodie wskazała dumnie prężącego się koguta.

- Zawsze, kiedy tu przychodzę, mam ze sobą kijek. - Pokazała braciom kawałek odłamanej gałęzi. - Używam go do obrony. Nie robię mu krzywdy, ale zmuszam go do odsunięcia się.

- Sam też musiałem kilka razy użyć patyka, a Morie i Mavie zupełnie przestały tu przychodzić - powiedział Mallory. - Zanim ty się tym zajęłaś, to ja karmiłem kurczaki. Miło słyszeć, że Charlie ma wreszcie godnego przeciwnika.

- Powinieneś go komuś oddać i wziąć milszego ptaka - zauważył Tank.

- Nie ma czegoś takiego jak miły kogut - odparł Mallory. - Jeszcze nie widziałem takiego, który nie rzuciłby się na poruszający się obiekt, szczególnie w obecności kur. Koguty bronią swojego terytorium i stada.

- I są smaczne - prychnął Tank. - Pamiętasz, jak zaatakował mnie ten wielki biały

kogut, kiedy byliśmy mali, i podziobał do krwi?

- Tata poszedł do kurnika i z miejsca skrzył kogutowi kark. Zjedliśmy go na kolację - wspomniał Mallory ze śmiechem.

- Powiedział, że żaden durny drób nie będzie krzywdził mu dziecka - westchnął Tank. - To był najlepszy kurczak, jakiego jadłem.

- Charliego nie zjesz - oznajmiła twardo Bodie. - Kury tęskniłyby za nim.

- Zawsze można dać im nowego koguta - droczył się z nią Tank.

- Zobaczę, czego chce Cane - oznajmiła, zmieniając temat. - Zastanawiam się tylko, czy wziąć z sobą ten kij - dodała z namysłem, budząc wesołość braci.

Cane przyglądał się stojącej niepewnie w drzwiach Bodie.

- Nie gryzę - powiedział. - Wchodź.

- Jak się czujesz? - spytała cicho, podchodząc do łóżka.

- Lepiej. Żebra mnie bolą i w głowie mi się kręci, ale lepiej.

- To dobrze. Wszyscy bardzo się martwili.

- Zostawiłaś mnie.

Bodie momentalnie spłonęła rumieńcem. Cane powiedział to oskarżycielskim tonem, jakby miał żal, że nie przyszła go odwiedzić po tamtej nocy spędzonej przy jego łóżku.

- Tylko cię denerwowałam. Nie potrzebowałeś tego - szepnęła.

Cane przyglądał się jej spod przymrużonych powiek.

- Mówiłaś do mnie.

- Pielęgniarki się martwiły - wykrztusiła. - Prosiłam, żebyś wyzdrowiał. Tylko tyle.

- Czyżby?

Nie spodobał jej się wyraz jego twarzy. Cane był jakiś inny. Może słyszał moją zawstydzającą przemowę, pomyślała w panice.

W końcu Cane zlitował się nad nią. Nie chciał, żeby czuła się jeszcze bardziej niezręcznie. Zdecydował, że dopóki nie upora się z własnymi uczuciami, pozwoli jej mieć złudzenia, że jej miłość nadal pozostaje tajemnicą. Tak naprawdę nie wiedział, co jej powiedzieć. Lubił po prostu mieć ją obok i móc na nią patrzeć. To dawało mu ukojenie.

- Niewiele pamiętam - skłamał. - Mał powiedział, że ze mną siedziałaś.

- Tylko kilka minut - powiedziała, odetchnąwszy z ulgą. - Pielęgniarka mnie wpuściła. Chyba martwili się, że im się wymykasz.

- Tak było - przyznał. - Czuję, że odchodzę, kiedy usłyszałem twój głos każący mi się nie poddawać. Tylko tyle pamiętam - dodał, widząc jej niepewną minę. - Właśnie to spowodowało mnie z powrotem.

- To dobrze - powiedziała z uśmiechem.

- Nie masz innych rozrywek niż wyciąganie mnie z kłopotów? - zapytał Cane z uśmiechem.

- Cóż, to trudna praca, ale ktoś musiał się tym zająć - odpowiedziała lekkim tonem.

- Chodź bliżej - poprosił, wiercąc się na łóżku. - Od patrzenia na ciebie pod tym kątem dostaję kręczu szyi.

Bodie nie miała nato ochoty, bo przy nim bardziej się denerwowała. Teraz była jeszcze bardziej wystawiona na cios, ale zrobiła, o co prosił.

- Usiądź - poprosił miękko, ruszyła więc do najbliższego krzesła. - Nie tam. - Po-
klepał materac. - Tutaj, obok mnie. Tak żebym mógł patrzeć ci w oczy.

Bodie drżała z emocji. Wyraz twarzy Cane'a i błysk w jego czarnych oczach nie-
pokoiły ją i zarazem fascynowały. Usiadła, jak prosił, a wtedy położył jej rękę na ko-
lanach.

- O czym rozmawiałaś z Tankiem?

- Och, tylko pomagał mi karmić kurczaki - wykrztusiła, kiedy dłoń mężczyzny za-
częła gładzić jej biodro.

Powinna zaprotestować, zwłaszcza gdy jego kciuk dotarł do brzucha, ale nie zna-
lazła w sobie dość siły.

- Czyżby? - zapytał Cane, uśmiechając się pod nosem na widok reakcji Bodie na
jego dotyk.

Nie potrafiła jej ukryć i niczego nie udawała. Nie interesowały jej pieniądze Kir-
ków. Mimo braku dłoni Cane pociągał ją do szaleństwa.

- Co ci powiedział? - wymruczał, gdy jego dłoń zabłądziła między brzuch a udo
Bodie.

- Powiedział...

- Co takiego? - dopytywał się leniwie, pozwalając dłoni poruszać się coraz śmie-
lej.

Bodie zadrżała. Musiała coś odpowiedzieć, bo pieszczota stawała się zbyt intym-
na. Jęknęła, chwytając jego rękę.

- Cane - wykrztusiła zażenowana.

- Za szybko? No dobrze - westchnął i przesunął dłoń na jej żebra, ale tak, by się-
gnąć kciukiem brzegu stanika. - To może tak?

- Jak? - wykrztusiła, trzęsąc się jak galareta, gdy kciuk zbliżał się do jej sutka.

- Bodie - szepnął Cane.

- C-co?

- Pochyl się, kochanie.

Posłuchała bez wahania. Nachyliła się nad nim, opierając jedną rękę obok jego
głowy. Gdy się ruszyła, przesunął dłoń, odsuwając stanik i ujmując jej pierś. Jęknęła
tak namiętnie, że jego ciało natychmiast odpowiedziało pełną gotowością.

- Dobry Boże - wychrypiał. - Bodie!

Pociągnął ją na siebie, ignorując ostry ból żeber, i podciągał jej koszulkę, pragnąc
ujrzeć kuszące nagie piersi.

- Jesteś piękna - wyszeptał ochryple. - Taka piękna...

Pochylił głowę i sięgnął ustami sutka. Kiedy drażnił językiem i zębami wrażliwy
czubek piersi, Bodie wiła się i jęczała z rozkoszy, doprowadzając go niemal do speł-
nienia. Cane tak zapamiętał się w pieszczocie, że nie zwracał uwagi na otwarte
drzwi pokoju. Nie usłyszał nawet kroków na schodach.

- Ktoś się zbliża - szepnęła Bodie urywanym głosem.

- Ja już jestem wystarczająco blisko - mruknął, ssąc jej pierś.

Musiała go odepchnąć, żeby wstać i obciągnąć koszulkę, zanim Mavie wejdzie do
sypialni. Na szczęście gospodyni była zbyt skupiona na tacy z filiżanką kawy, żeby

zauważyć wzburzenie zaczerwienionej Bodie.

Cane zareagował błyskawicznie. Jęknął, chwytając się za żebra.

- Ależ to boli! - zawołał, przyciągając uwagę Mavie, żeby Bodie zdążyła poprawić stanik i włosy.

- Mój biedaku. Nie dali ci nic przeciwbólowego? - zmartwiła się.

- Dali. Pigułki stoją w buteleczce na stoliku. Możesz mi je podać? - zapytał z taką bezradnością, że Bodie musiała stłumić wybuch histerycznego śmiechu.

- Oczywiście - zagruchała Mavie, jak wszystkie kobiety niezależnie od wieku czuła na wdzięk Cane'a. - Proszę. A tu masz kawę i ciasto. Nie wiedziałam, że Bodie też tu jest. Może i tobie przyniosę?

- Chętnie się poczęstuję, ale nie będę cię ganiać po schodach. Zejdę na dół. Do zobaczenia później, Cane - rzuciła i już jej nie było.

- Wróć niedługo! - zawołał za nią aksamitnym głosem.

Bodie naląła sobie kawy i ukroiła ciasto drżącymi dłońmi. Usiadła przy stole, nie mając zamiaru wracać do pokoju Cane'a. Ten mężczyzna miał nad nią całkowitą władzę. Zwabił ją do siebie, całował i dotykał, a jedyne, co mogła zrobić, to ułożyć się wygodniej, żeby ułatwić mu dostęp do jej ciała. Wszelkie próby oporu były bezcelowe, miękła jak wosk. Nie mogąc liczyć na własną silną wolę, musiała wymyślić jakiś sposób, aby trzymać się od niego z dala. Tym razem jej się upiekło, ale gdyby nie gosposia, sytuacja wymknęłaby się całkowicie spod kontroli.

Właśnie kończyła ciasto i kawę, kiedy do kuchni weszła rozpromieniona Mavie.

- Ale z niego czaruś - zaśmiała się.

- Owszem - przyznała Bodie i też się uśmiechnęła. - Pyszne ciasto, Mavie.

- Dziękuję. Cieszę się, że ci smakuje. Cane pytał, czy mogłabyś jeszcze z nim porozmawiać.

Bodie drgnęła, wiedząc, o co mu tak naprawdę chodzi.

- Pójdę do niego później. Teraz muszę dokończyć prace na dworze.

- Och, Mallory albo Tank może to zrobić. To miło z twojej strony, że pomagasz, dziecinko. Zrobiło się przyjemniej, odkąd tu jesteś.

- Staram się. Zresztą lubię pracę przy zwierzętach. Dokończę i pójdę do Cane'a - obiecała.

- Przekażę mu.

Bodie umknęła na zewnątrz. Wróci do Cane'a jedynie z eskortą. Nie mogła dać się skusić na dalsze pieszczoty. Nie zamierzała stać się jednym z celów jego łóżkowych podbojów, nawet jeśli była w nim beznadziejnie zakochana.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wigilia była magicznym czasem. Cała rodzina zgromadziła się w salonie przy choince i oglądała świąteczne programy w telewizji. Śpiewali kolędy, pili gorącą czekoladę i jedli ciasta. Do Kirków dołączyli też Mavie i Darby Hanes.

Cane siedział na kanapie obok Bodie. Od czasu do czasu jego palce splatały się z palcami dziewczyny, czarne oczy szukały jej spojrzenia.

Od wydarzeń w sypialni Bodie unikała przebywania z nim sam na sam. Z początku Cane'a to złościło, ale kiedy uświadomił sobie, że nie droczy się z nim, starał się z tym pogodzić. Wiedział, że go pragnęła, ale nie była gotowa poświęcić swoich ideałów dla spędzenia z nim nocy. Tęsknił jednak za jej dotykiem i na niczym innym nie mógł się skupić. Czuł podniecenie, ilekroć się do niej zbliżył czy choćby spojrzał w jej stronę. Bodie rozbudzała jego zmysły jak żadna inna kobieta.

Bodie zauważyła zmianę w zachowaniu Cane'a. Przerazało ją to i jednocześnie fascynowało. Czy chciał jeszcze bardziej skomplikować ich niełatwą relację? A może uwieść ją, nie zważając na konsekwencje? Nie miała pojęcia. Żyła z dnia na dzień, obserwując go i pragnąc, a jednocześnie modląc się, żeby ją pokochał. Wiedziała, że go pociąga – pochlebiało jej to i przyprawiało o dreszczyk emocji – miała jednak świadomość, że pociąg fizyczny niekoniecznie oznacza głębsze uczucia. Mężczyzna mógł pożądać kobiety, nie kochając jej. Ta świadomość sprawiała, że była ostrożna. Nie chciała stać się ofiarą jego podbojów, nawet jeśli jego spojrzenia i dotyk pozbawiały ją woli i rozumu.

Do tego dochodziło niezrozumiałe zachowanie Tanka, który trzymał się blisko niej, komplementował ją i w żartach flirtował. Cane stale wściekał się z tego powodu na brata, ale Tank tylko się uśmiechał, jakby go to bawiło.

Pęknięte żebra wciąż dokuczały Cane'owi na tyle, że nie nadawał się na kochanka. To również wyprowadzało go z równowagi. Zastanawiał się, czy Bodie w ogóle zdaje sobie z tego sprawę, bo otaczała się innymi osobami, gdy był w pobliżu. Zaskakiwała go jej naiwność w tych sprawach, ale też zaczynała mu się podobać, dlatego natychmiast skorzystał z okazji, kiedy rodzina przeszła do kuchni na kawę i zostali sami.

– Ciesz się chwilą – to moje motto – wymruczał, przytrzymując jej głowę zdrową ręką. – Chodź tutaj.

Jego gorący pocałunek był pełen tłumionej namiętności. Bodie rozchyliła wargi pod naporem jego ust i wpuściła język Cane'a do wilgotnego, ciepłego wnętrza. Jęknęła, wtulając się w jego ramiona. Cane stęknął i cofnął się.

– Och, twoje żebra! Przepraszam – wykrztusiła.

– Sam się o to prosiłem – odparł przez zaciśnięte zęby, kładąc dłoń na obolałym miejscu i patrząc na nią łakomie. – Wiesz, że nie mogę się z tobą kochać, dopóki złamania się nie zrosną?

Bodie poczerwieniała.

- To było zbyt szczere. Przepraszam - roześmiał się Cane, widząc jej minę. - Chodzi mi o to, że na razie nie potrzebujesz przyzwoitki. Jeszcze przynajmniej przez dwa tygodnie nie mogę nic zrobić. - Z powrotem przyciągnął ją do siebie. - Właściwie trochę mogę. Na przykład to - zamruczał, kładąc dłoń na jej piersi kryjącej się pod ładną czerwoną bluzeczką.

- Nie możesz... - szepnęła, powstrzymując jego rękę, gdy usłyszała głosy zbliżających się ludzi.

Zanim Cane się odsunął, wycisnął jeszcze jeden gorący pocałunek na jej ustach.

- Ale chcę - powiedział cicho, zaglądając jej w oczy. - I właśnie to zamierzam. To było ostrzeżenie, Bodie.

- Proszę - szepnęła błagalnie. - Wiesz, że nie umiem ci się oprzeć. Nie wykorzystuj sytuacji. Dla ciebie seks to jak jedzenie czy picie, ale ja nigdy... Nie umiałabym z tym żyć - dodała cicho.

- Wiem o tym, kochanie - szepnął, wodząc kciukiem po jej wargach. - Nie zrobię ci krzywdy. No, może na początku, ale obiecuję, że nie będzie bardzo bolało. - Znow nachylił się do jej ust. - Kiedy wejdę w ciebie pierwszy raz...

Zszokowana Bodie jęknęła, a on wpił się w jej usta w żarłocznym pocałunku.

- Już sama myśl o tym sprawia, że twardnieję. Pragnę cię, Bodie. Cholernie cię pragnę.

Zadrżała, znow czując przez cienki materiał bluzki jego dłoń na swojej piersi. Jej ciało natychmiast odpowiedziało na wytęskniony dotyk.

- Założę się, że też to czujesz - wymruczał. - Cane - wykrztusiła.

- Nie robiłem tego, odkąd straciłem rękę - wyznał, nie odrywając się od jej ust. - Bałem się spróbować. Obawiałem się wyśmiania. Ale z tobą mógłbym spróbować - szepnął. - Nie wstydziłbym się zawieść.

Bodie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie mogę - wymamrotała spłoszona. - Tak mi przykro.

- Możesz - zapewnił ją, unosząc jej twarz, żeby móc spojrzeć w oczy. - Myślę, że powinnaś za mnie wyjść.

- C-co?

Jej brak pewności siebie i bezradność sprawiały, że Cane czuł się bardziej męski i wszechwładny.

- Wyjdź za mnie - powtórzył.

Bodie bardzo tego chciała, ale czuła, że Cane przede wszystkim pragnie udowodnić, że nadal jest mężczyzną. To nie oznaczało, że coś do niej czuje.

- Nie kochasz mnie - szepnęła łamiącym się głosem.

- Ależ uwielbiam.

- To nie wystarczy - odparła, przygryzając wargę.

- Wystarczy, mała kłamczucho - wymruczał, zbliżając wargi do jej ust.

Nie był zadowolony z tych nieprzemyślanych oświadczeń, ale jej opór go podniecał. Pragnął jej i wiedział, że dla Bodie jego zasobność nie ma znaczenia. Bodie również go pragnęła, i to z siłą, która go fascynowała. Kochała go. W dodatku Cane wiedział, że jeśli sam czegoś nie robi, ośmieli Tanka. Jego brat w niej się durzył. Nie mógł mu pozwolić odebrać Bodie. Nie mógł jej stracić...

Znow ją pocałował, przyciskając do oparcia kanapy.

- Wyjdź za mnie - zażądał. - No, zgódź się. Powiedz „tak”. Powiedz! - powtarzał, podkreślając każde słowo gorącym pocałunkiem.

- Dobrze - uległa w końcu. - Tak. Zgadzam się!

- Nie! - zaprotestował Mallory, wchodząc do pokoju i patrząc groźnie na brata. - Cane!

Jednak Cane, uśmiechając się od ucha do ucha, nic sobie nie robił z jego potępienia.

- Nie chodzi o jakąś niemoralną propozycję - poinformował Mallory'ego i Tanka, który właśnie wszedł do pokoju. - Zgodziła się za mnie wyjść! - dodał triumfalnie.

Tank zamarł. Oczy Cane'a błyszczały zwycięsko. Nieczęsto wygrywał z bratem, ale tym razem, kiedy mu bardzo zależało, odniósł sukces.

- Gratulacje - powiedział po chwili zdumiony Mallory.

- Witaj w rodzinie, siostrzyczko - dodał Tank z wymuszonym uśmiechem.

- Dziękuję - odparła Bodie i odsunęła się trochę od Cane'a.

Przed chwilą sprawy wymknęły się nieco spod kontroli, ale teraz starała się ochłonąć i pozbierać myśli.

- Lepiej, żebyś o nią dbał. - Ton, jakim Tank to powiedział, sugerował, że tylko czeka na potknięcie brata.

On również pragnął Bodie. Cane był tego świadomy. Było mu trochę wstyd, bo nie powinien cieszyć się ze zwycięstwa nad Tankiem w walce o kobietę, ale Bodie należała do niego. Nikt i nic nie mógł tego zmienić.

- Kiedy ślub? - zapytał Mallory.

Cane zawahał się, czując, że wpadł we własne sidła nieprzemyślanych oświadczeń, jednak rzut oka na Tanka i jego ironiczny uśmiech dodał mu skrzydeł. Jeśli brat spodziewał się, że będzie odkładał ślub w nieskończoność, czekał go zawód.

- Jeszcze w tym tygodniu - oznajmił. - Jak tylko uda się uzyskać pozwolenie i wyznaczyć termin w kościele. Zaprosimy wszystkich. No, może poza byłymi członkami rodziny - powiedział, patrząc na Bodie.

- Tak szybko? - zdziwiła się. - Został mi jeszcze jeden semestr nauki do zdobycia licencjatu!

- Dokończysz studia - zapewnił ją Cane z uśmiechem. - Będziesz wracać do domu na weekendy. Damy ci inny samochód zamiast tej puszki po konserwach. Nie chcę, żeby coś ci się stało w tym złomie.

Dziewczyna uśmiechnęła się, widząc, że Cane dba o jej bezpieczeństwo. A więc trochę mu na niej zależy.

- Jednak podróż poślubna będzie musiała poczekać - ciężko westchnął Cane. - Z tą nogą i żebrami z trudem dojdę do ołtarza. - Spojrzał na braci. - Będziecie musieli mi pomóc, bo nie zamierzam używać wózka inwalidzkiego.

- Pomożemy - zapewnił go Tank bez wahania, dzięki czemu wyrzuty sumienia Cane'a nieco zelżały.

Bodie poczuła się bezpieczniej, wiedząc, że stan zdrowia na razie przyhamuje Cane'a. Będą mieli czas, żeby się lepiej poznać. Może Cane chętniej ją zrozumie i zobaczy, że są sprawy ważniejsze niż seks.

Cane nie przywykł do rozmów z kobietami. Lepiej czuł się w sypialni. Zapewne nigdy nawet nie był zakochany. Bodie wprawdzie wiedziała, że spotykał się z kobietą,

która wybrała karierę prawnika i go zostawiła, ale według Tanka ten związek i tak nie rokował na przyszłość.

Zerknęła w stronę najmłodszego Kirka z poczuciem winy. Do niedawna nie zdawała sobie sprawy, że był nią zainteresowany, i teraz mu współczuła. Jej serce wybrało jednak Cane'a i nic nie mogło tego zmienić.

Tank miał tego świadomość. Jego szczery uśmiech świadczył o tym, że nie chowa urazy ani do niej, ani do brata. Zostanie jego bratową i będzie się o nią troszczył, ale już nigdy nie może z nią flirtować.

Jej spojrzenie powędrowało w kierunku Cane'a; przyglądał się jej z dziwnym rozczuleniem.

- Jesteś czerwona jak burak, Bodie - zachichotał.

- Jeszcze nikt nigdy mi się nie oświadczał.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz - powiedział znacząco.

- Pewnie masz rację - westchnęła, nie dostrzegając podwójnego znaczenia jego słów. - Jesteś pewien, że tego chcesz?

- Absolutnie - przytaknął.

Rzeczywiście czuł, że postąpił właściwie i że zależy mu na niej na tyle, aby to małżeństwo mogło trwać. A jeśli nie, zawsze są rozwody, pomyślał i nagle zrobiło mu się przykro. Nie kochał Bodie. Pragnął jej jedynie i ją lubił. Czy to wystarczy? Będzie musiało. Na pewno wystarczy. Przynajmniej tak mu się teraz zdawało.

Pobrali się wkrótce po świętach w miejscowym kościele, do którego chodzili Kirkowie. Uroczystość prowadził wysoki, siwowłosy kapłan o ciemnych, łagodnych oczach. W uroczystości uczestniczyli Kirkowie, Morie, wszyscy pracownicy rancza i sporo mieszkańców miasteczka.

Bodie miała na sobie białą suknię o prostym kroju i ozdobach z koronki, a jej rozpromienioną twarz zakrywał uroczy welon. W ślubnej wiązance panny młodej znalazły się bożonarodzeniowe poinsecje. Cane wybrał ciemny, elegancki garnitur z klasycznym krawatem i włożył protezę. Powiedział Bodie, że chce wyglądać na fotografiach, jakby miał obie dłonie. Uśmiechał się przy tym i po raz pierwszy w jego głosie nie było gorczy.

Fotograf robił zdjęcia dyskretnie, nie przeszkadzając parze młodej ani gościom.

Kiedy włożyli sobie wzajemnie na palec proste złote obrączki, kapłan ogłosił ich mężem i żoną. Cane odstłonił welon i po raz pierwszy spojrzał na Bodie jak na swoją małżonkę.

Nie spodziewał się, że tak głęboko przeżyje tę ceremonię. Zmarszczył brwi, analizując swoje uczucia. Czuł w sobie zaborczość i potrzebę opieki nad Bodie.

Bodie zmartwiła się, widząc jego marsową minę i obawiając się, że Cane jest zły, ale wtedy pochylił się i czule ją pocałował.

- Pani Kirk - wyszeptał.

Splonęła się i nerwowo roześmiała, a on uśmiechnął się, rozładowując napięcie.

Mavie musiała zatrudnić do pomocy kucharza, który przygotował poczęstunek dla gości zgromadzonych w obszernym holu domu parafialnego. Zarumieniona i roześmiana Bodie stała obok Cane'a i wyglądała tak promiennie, że mogła uchodzić za

prawdziwą piękność. Choć Cane się uśmiechał, nadal miał wątpliwości. Czuł się osaczony. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś takiego. Z jednej strony nie chciał zrezygnować z Bodie, z drugiej był tym wszystkim przytłoczony. Bodie wzięła go za rękę, niepewna jego reakcji. Cane wyglądał, jakby żałował decyzji o ślubie.

- Nie będę zaborcza - obiecała cicho. - Nie będę cię zadrećczać ani wymagać niemożliwego. Chcę, żebyś wiedział, jaka jestem dumna, mogąc zostać twoją żoną.
- Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł - odparł wzruszony Cane, patrząc na ich splecione ręce i błyszczące obrączki. - Daj mi trochę czasu, żebym przywykł.
- Będiesz miał go mnóstwo, kiedy wrócę na uczelnię - zażartowała.
- Masz na myśli studia magisterskie?
- Mogę je zacząć w dowolnym momencie - odparła, wzruszając ramionami. - Przede wszystkim muszę zdobyć licencjat. Jest wiele dobrych zawodów, które z tym wykształceniem można wykonywać.
- Zawodów - powtórzył jak echo.
- Chcę coś robić. Nie potrafię siedzieć z założonymi rękami. Nie jestem też zbyt towarzyska, żeby wypełnić sobie czas spotkaniami.
- Ja też nie - przyznał Cane ze śmiechem.
- Zauważyłam - powiedziała poważnie, a on przestał się uśmiechać. - Byłabym też wdzięczna, gdybyś przez jakiś czas przestał straszyć ludzi w barach.
- Mogę spróbować - westchnął.
- Wiem, że jestem zbyt młoda, żeby wszystko zrozumieć, ale umiem słuchać. - Popatrzyła mu w oczy. - Wiem, że nie ufasz tym, których nie znasz, ale na mnie przecież możesz polegać. Nigdy nikomu nie zdradziłam tego, co mi powiedziałaś, nawet członkom twojej rodziny.
- Teraz i ty należysz do mojej rodziny - oznajmił, unosząc jej dłoń do ust.
- Chyba tak - przyznała z uśmiechem, a Cane roześmiał się radośnie.

Po przyjęciu Cane i Bodie poszli się przebrać, a Tank i Mal zapakowali ich walizki do wynajętej limuzyny, która miała ich zawieźć do luksusowego apartamentu w hotelu w Jackson Hole. Cane wolałby zabrać młodą żonę w bardziej egotyczne miejsce, ale jego obrażenia po wypadku były zbyt bolesne i wykluczały podróż samolotem.

Bodie była podekscytowana. Było jej obojętne, dokąd pojedą. Chciała tylko zostać z Cane'em sama, choć wiedziała, że na razie nie czekają ich miłosne igraszki. To jednak nie było ważne. Czuła się szczęśliwsza, niż odważyła się marzyć.

W zaciszu przyjemnego pokoju z widokiem na Grand Teton i park narodowy Bodie włożyła uroczą czerwoną sukienkę i czekała, aż Cane wróci z hotelowego sklepiku. Przejrzała broszury i znalazła kilka ciekawych miejsc, które mogliby zobaczyć, jeśli Cane będzie miał ochotę. Była już pora lunchu, więc mogliby też zjeść coś po drodze. Żadne z nich nie musiało prowadzić samochodu, gdyż Kirkowie wynajęli limuzynę na cały ich pobyt w hotelu, mogli więc korzystać z usług kierowcy do woli.

Po trzydziestu minutach zaczęła się zastanawiać, gdzie podział się Cane. W końcu zeszła na dół, żeby go poszukać. Niestety, w sklepiku go nie było, więc z ciężkim westchnieniem poszła tam, gdzie najprawdopodobniej się zaszły. Do baru.

Rzeczywiście, rozluźniony i radosny opierał się o kontuar, rozmawiając z blond pięknnością w bardzo krótkiej eleganckiej sukience. Kobieta była wyjątkowo zgrabna i miała długie nogi.

Bodie poczuła się nędznie w swojej niemodnej sukience. Zawahała się w progu, czując się zdradzona. Ledwie wzięli ślub, a jej mąż już spędza czas w barze z inną kobietą. Nagle Cane się roześmiał i pochylił, żeby pocałować blondynkę.

Tego już było za wiele. Bodie wróciła do pokoju i zaczęła pakować walizkę. Wiedziała, że powinna poczekać na wyjaśnienia, zrobić mu awanturę czy cokolwiek innego, ale mimo to zadzwoniła po kierowcę i kazała się zawieźć z powrotem na ranczo.

W połowie drogi rozdzwoniła się jej komórka. Widząc numer Cane'a, wyłączyła telefon. Po chwili usłyszała telefon kierowcy. Odebrał i skrzywił się, co dostrzegła we wstecznym lusterku, a po chwili opuścił dzielącą ich szybę.

- Pan Kirk prosi, żeby włączyła pani telefon - przekazał bez emocji.

- Proszę powiedzieć mężowi, żeby poszedł do diabła razem ze swoją blond przyjaciółką - warknęła. - I proszę zamknąć okno!

Kierowca zmieszał się i podniósł szybę. Powiedział coś do telefonu i pokiwał głową. Potem w całkowitej ciszy dowiózł ją na ranczo. Bodie walczyła ze łzami. Czowała się upokorzona. A teraz musiała jeszcze stawić czoło czekającej na nią na ganku rodzinie Kirków.

- Cane przeprasza - powiedziała Morie, wychodząc jej naprzeciw. - Naprawdę jest mu przykro. Rozmawiał z kimś, kogo zna z aukcji bydła i...

- Tak. Widziałam go w barze z seksowną blondynką, którą pocałował! - krzyknęła Bodie, ściągnęła obrączkę, podała ją Morie i odwróciła się do kierowcy. - Proszę poczekać. Zawiezie mnie pan do Billings.

- Bodie... - zaczęła Morie, próbując ją uspokoić.

- Nie - przerwała jej z zimną furią. - Byłam głupia! Wiedziałam, jaki on jest, i oszukiwałam sama siebie, myśląc, że nie ma to znaczenia. Jednak ma! Tylko ja wzięłam dziś ślub. On po prostu włożył na palec ozdobę. Zostawił mnie samą w pokoju i poszedł spędzić czas z inną. Jak miałam się poczuć?

- Zdradzona - westchnęła Morie.

- Właśnie. Wracam na uczelnię i zamieszkam z Beth. Przykro mi - powiedziała, patrząc na braci Cane'a. - Bardzo was przepraszam, ale nie dam rady. Popełniłam błąd.

- On potrzebuje czasu - łagodził sytuację Mallory. - To ogromny krok dla was obojga.

- Szczególnie dla Cane'a - wtrącił Tank.

- Tak, musiałyby zadowolić się jedną kobietą zamiast wieloma. Rozumiem, że to za wielkie poświęcenie - odparła z goryczą, powstrzymując łzy. - Nie zostanę tutaj. Przykro mi, że zepsułam wam ten świąteczny czas.

- Raczej to on ci go zepsuł - westchnęła Morie, przytulając ją mocno. - Chodź, pomogę ci się pakować. Sylwestra spędzimy razem na Skypie, chcesz?

- Chcę - odparła Bodie, łykając łzy.

- Będzie dobrze, zobaczysz - próbowała pocieszyć ją Morie.

Cane wrócił do domu około północy, klnąc na czym świat stoi.

- Zostawiła mnie tuż po ślubie! - wrzeszczał, wściekły, że musiał czekać na kierowcę cały dzień.

Morie poszła na górę, nie zamierzając być świadkiem rozmowy braci. W jej stanie nie powinna się denerwować.

Mallory z rękami na biodrach wpatrywał się w szalejącego Cane'a.

- A ty nie zrobiłeś nic, żeby na to zasłużyć - rzucił, siląc się na spokój.

- Poszedłem po aspirynę, a kiedy wróciłem, już jej nie było - odparł Cane, marszcząc brwi. - Próbowałem do niej dzwonić, ale nie odbierała, a kiedy zadzwoniłem do kierowcy, kazała mu przekazać, że odchodzi i nie chce ze mną rozmawiać. Nie mam pojęcia, co się stało! - wrzasnęła.

- Weszła do hotelowego baru i zobaczyła, jak całujesz piękną blondynkę. Oto, co się stało - warknął Tank.

Cane odwrócił się do okna. Nie mógł powiedzieć braciom, co naprawdę się wydarzyło. Kiedy dotarli do hotelu, poczuł się jak w pułapce i zapragnął pokazać Bodie, że nie da się usidlić żadnej kobiecie, nawet żonie. Teraz ta nieprzemyślana próba zmanifestowania swoich uczuć obróciła się przeciwko niemu.

- Bodie poszła cię szukać i pomyślała... - zaczął Mallory. - Sam wiesz, co mogła sobie pomyśleć w takiej sytuacji.

Cane zobaczył Laurę w barze i zaczął z nią rozmawiać. Kilka lat wcześniej spotkał ją na zjeździe hodowców i zaprzyjaźnili się. Kiedy dostrzegł Bodie wychodzącą z windy, zdenerwował się, że przyszła go szukać. Chciał jej pokazać, że to niemądre. Teraz czuł się winny.

- Tylko z nią rozmawiałem - próbował się usprawiedliwić.

- Ale ją pocałowałeś - wytknął mu Tank. - W dniu własnego ślubu!

- Słuchaj no - warknął Cane, idąc w stronę brata.

- Nie. To ty posłuchaj - przerwał mu Mallory, zagrządzając drogę. - Schrzaniłeś to. Bodie wróciła na uczelnię, a gdy tylko będzie ją stać, zamierza wziąć prawnika. Nie martw się - rzucił, widząc wściekłość brata. - Kazała ci przekazać, że nie chce niczego więcej niż anulowanie małżeństwa.

Cane poczuł się jeszcze gorzej. Zawiódł Bodie w najgorszy możliwy sposób. Wpadł w panikę, a przecież to nie ona zaciągnęła go do ołtarza. To był jego własny pomysł. Jej jedyną winą było to, że go pokochała.

Czuł się jak ostatni drań i nie mógł spojrzeć braciom w oczy. Powinien był przewidzieć, że Bodie przyjdzie go szukać. Właściwie zdawał sobie z tego sprawę. Celowo pozwolił, żeby znalazła go w kompromitującej sytuacji. Wiedział, jaką reakcją tym wywoła. Zrobił to, bo poczuł się stłamszony. Postrzegał małżeństwo jako pułapkę. Zresztą Bodie i jej kryształowe ideały nie pasowały do czarnej owcy, jaką był. Zasługiwała na kogoś lepszego. Tępo patrzył w okno, za którym kłębiły się ciemne chmury.

- Nawet nie będzie miała jak dostać się do pracy - mruknął. - Jej gruchot nadal tu stoi.

- Darby i Fred pojechali do mieszkania, które dzieliła z Beth, żeby zostawić jej jeden z naszych samochodów - oznajmił Mallory dziwnym tonem.

Zaalarmowany Cane spojrzał na brata.

- Jak to dzieliła?

- Dziś wydarzyło się więcej katastrof - odparł sucho najstarszy brat.

- Will Jones nie próżnował - wtrącił grobowym głosem Tank.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Cane'a.

- Kilka dni temu szeryf aresztował Jonesa za rozprowadzanie zdjęć pornograficznych nieletnich - oznajmił Mallory.

- To chyba dobre wieści?

- Tak. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że wściekły Jones obwinił Bodie o swoje kłopoty. Uznał, że to ona zapłaci mu za jego krzywdy.

- Co zrobił? - zapytał Cane, przełykając z trudem ślinę.

- To. - Mallory obrócił ekran laptopa w jego stronę.

Zdjęcie ukazywało mężczyznę i nagą roześmianą kobietę w wyuzdanej pozie; patrzyli wprost w obiektyw. To była Bodie.

- Powiedziała, że nigdy nie pozowała Willowi do takich zdjęć! - wrzasnął Cane. - Jak mogła zrobić coś takiego? Nie pomyślała, jak potraktują ją tutejsi mieszkańcy?

- Cane, to nie jest Bodie.

- Jak to nie? Przecież to jej twarz!

- Tak, ale nie jej ciało - oznajmił chłodno Tank. - Zdjęcie obrobiono w Photoshopie.

- A ty skąd wiesz? Widziałeś ją nago? - zapytał podejrzliwie Cane.

- Raczej znam komputerowego geniusza, któremu natychmiast kazałem to sprawdzić.

- Poprosiliśmy Reda Davisa, żeby zanalizował to zdjęcie. Will dokleił twarz Bodie do fotografii innej kobiety. Davis dotarł też do oryginalnego zdjęcia Bodie. To było to, które zrobiła jej matka przed śmiercią i przerzuciła z aparatu do komputera.

- Zabiję go. - Cane powiedział to takim tonem, że Mallory mocno się zaniepokoił.

- Willem zajmie się policja i sąd. Davis cały czas pracuje nad zdjęciem i prześle jego kopię policji. To kradzież tożsamości i Jones odpowie również za to. Davis przeszukuje sieć, żeby usunąć fotografię ze wszelkich możliwych miejsc.

- Naprawdę potrafi to zrobić? - wykrztusił przez zaciśnięte zęby Cane.

- Mamy nadzieję - odparł Tank z ciężkim westchnieniem. - Ma swoje kontakty w agencjach, z którymi współpracował w sprawach cyberterroryzmu. Jest pewien, że mu się uda.

- Czy ona wie? Czy Bodie się dowiedziała?

- Nie miała pojęcia, dopóki nie znalazła swoich rzeczy w pudle pod drzwiami mieszkania. Beth nie chciała z nią nawet rozmawiać. Zostawiła jej kartkę, że żałuje, ale Bodie nie może z nią dłużej mieszkać, i że nie spodziewała się po niej takiego zachowania. Bodie była zdruzgotana.

- Gdzie ona jest?

- Wynajęliśmy jej pokój w hotelu niedaleko kampusu. Obawiam się jednak, że inni studenci też widzieli to zdjęcie - powiedział cicho Mallory.

- A jeśli nie, to jej tak zwana przyjaciółka zapewne postarała się im je pokazać - rzucił z przekąsem Tank. - Też mi przyjaciółka. Mogła przynajmniej poprosić o wyjaśnienia.

- Tak jak Bodie mogła poprosić mnie o wyjaśnienia - zauważył Cane.

- Szkoda już się stała. Teraz trzeba zrobić dla Bodie wszystko, co w naszej mocy.

- Ona nie wraca do domu?

- Chyba żartujesz? - roześmiał się Tank. - Powiedziała kierowcy, że nie wróci z podkulonym ogonem z powodu czegoś, czego nie zrobiła, i że zamierza powiedzieć światu, jakiego ma podłego i mściwego ojczyma. - Pochylił się nad laptopem i wszedł na Facebooka. - Zresztą już to zrobiła - oznajmił, wskazując na ekran.

Bodie opisała wszystko. Kłopoty finansowe, ultimatum Jonesa, chorobę i śmierć dziadka, swój wstyd z powodu tego, na co się zgodziła, i odkrycie, jak Will odpłacił jej za aresztowanie. A także reakcję „przyjaciółki” na podrobione zdjęcie.

- Niesamowita dziewczyna - westchnął Cane. - Nie ustąpiła.

Nagle przypomniał sobie wzrok kierowców ciężarówek w przydrożnym barze i zrozumiał, że zdjęcie musiało już od dawna znajdować się w sieci. Biedna Bodie nawet o tym nie wiedziała. Mimo swojej niewinności, uczciwości oraz zasad moralnych znalazła się w godnej pożałowania sytuacji, gdy jej sprośne zdjęcie zabawiało mężczyzn na całym świecie. Jak w ogóle mógł pomyśleć, że to ona? Jak Bodie czuje się w tej chwili? Zrozumiał też, jak okrutnie ją potraktował już w dniu ślubu. A teraz miała jeszcze problem ze zdjęciem w sieci. Zawstydyził się swojego zachowania jak jeszcze nigdy w życiu.

- Pytanie brzmi, co zamierzasz z tym teraz zrobić - powiedział Mallory, patrząc uważnie na brata.

- Nie wiem - odparł przygnębiony Cane. - Po prostu nie mam pojęcia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bodie była zdruzgotana, kiedy znalazła swoje rzeczy w kartonach przed drzwiami mieszkania, które dzieliła z Beth przez kilka lat. Po przeczytaniu dołączonej karteczki zemdlilo ją, bo od razu domyśliła się, co zrobił Will. Przypomniała sobie, jak patrzyli na nią kierowcy ciężarówek w barze, i zrozumiała, dlaczego tak się stało. Od jak dawna obrzydliwe zdjęcie krążyło w sieci? I jak je usunąć?

Opowiedziała kierowcy limuzyny, co się stało, i zadzwoniła do Mallory'ego. Najstarszy z braci Kirków starał się ją uspokoić, a potem poprosił o przekazanie telefonu kierowcy. Mężczyzna zawiózł ją do najbliższego hotelu, a niedługo później Darby przywiózł jej auto z rancza. Wręczył jej także kopertę z pieniędzmi, uciszając jej protesty niecierpliwym gestem. Bodie natychmiast po zakwaterowaniu odnalazła swoje zdjęcie w internecie. Gdy je zobaczyła, pobiegła do łazienki i wymiotowała. Był to najgorszy dzień jej życia, tak samo okropny jak te, kiedy zmarł jej ojciec, matka, a potem także ukochany dziadek.

Zanim zaczęły się wykłady, zrobiła wszystko, żeby zminimalizować szkody wyrządzone przez Willa. Udostępniła nieużywany dotąd profil na Facebooku szerokiej publiczności, opowiadając historię złośliwego ataku ojczyma. Swoją wypowiedź zakończyła stwierdzeniem, że nikogo nie powinno się wyrzucać ze swego życia, nie dając mu szans na wyjaśnienie sytuacji.

Jeszcze tej samej nocy zadzwoniła Beth.

- Miałaś rację - przyznała. - Zachowałam się głupio i bardzo się tego wstydę. Sama wysłałam Tedowi swoje zdjęcie w bieliźnie, a potem miałam straszne kłopoty. Pamiętam, jak mnie wspierałaś, choć była to tylko moja wina. Ja ciebie osądziłam, nie pozwalając się wytłumaczyć. Przepraszam - powiedziała szczerze. - Czy chcesz znów ze mną zamieszkać?

- Nie. Doceniam twoją propozycję, ale dobrze mi tu, gdzie jestem.

- Naprawdę mi przykro, Bodie. - Beth była bliska łez. - Szczególnie że wiem teraz, dlaczego zdecydowałaś się na sesję dla ojczyma. Nie wiedziałam też, że twój dziadek zmarł.

- Nie zdecydowałam się na tę sesję, Beth. Mój ojczym stworzył to zdjęcie w Photoshopie. Są na to dowody i został oskarżony o kradzież mojej tożsamości.

- O mój Boże! - jęknęła zaszokowana dziewczyna.

- Uwierzyłaś w to, co zobaczyłaś, prawda? Wiedząc, że jestem bardzo religijna i nawet nie chodzę na randki. Znasz mnie przecież od tylu lat. - W głosie Bodie było więcej smutku niż pretensji.

- Strasznie tego żałuję.

- Dziękuję i żegnam - odparła Bodie i rozłączyła się.

Ona i Beth były przyjaciółkami, ale jak się okazało, niewystarczająco bliskimi. Bodie trudno było zrozumieć, jak łatwo jej współlokatorka uwierzyła w takie kłam-

stwa. Zastanawiała się, z jak wieloma osobami o tym rozmawiała. Teraz ludzie mogli przeczytać jej wyznanie w internecie i poznać prawdę. Była przygotowana na to, że niektórzy jej nie uwierzą. Niezależnie od okoliczności zamierzała jednak skończyć studia.

Rozmowa z Beth skłoniła Bodie do ponownego przemyślenia sytuacji z Cane'em. Widziała, jak całował inną kobietę. Uwierzyła, że nie był jej wierny. Być może popieszyła się z osądem, opierając się tylko na tym, co zobaczyła, nie dając mu możliwości wytłumaczenia się. Powiedziała Mallory'emu, że chce rozwieść się z jego bratem, ale nic w tej sprawie nie zrobiła. Na razie zamierzała skupić się na nauce. Kochała Cane'a, ale zawiódł jej zaufanie. Nawet jeśli nie chciał jej zdradzić, flirtował z inną w dniu ich ślubu. I choć bardzo pragnęła o tym zapomnieć, jednak nie potrafiła.

W sylwestra Bodie rozmawiała na Skypie z Morie. Szwagierka bardzo się o nią martwiła. Ta jej troska sprawiała Bodie radość. W końcu zadała pytanie, które musiało paść w ich rozmowie.

- Co u Cane'a?

- Jest ponury. Robi, co do niego należy, ale się nie uśmiecha. Wrócił na terapię i znalazł psychologa, który jest weteranem wojennym. Mówi, że to pomaga i dobrze mu się z nim rozmawia. Od twojego wyjazdu nie wziął też do ust alkoholu.

- To świetne wieści - ucieszyła się Bodie. - A kontaktował się może z prawnikiem?

- Nie. Powiedział, że jeśli chcesz, możesz wystąpić o rozwód, ale on tego nie zrobi. Liczy na to, że kiedyś mu przebaczysz.

- Tak powiedział? - zapytała Bodie z nadzieją.

- Nie tymi słowami - przyznała Morie - ale do adwokata nie poszedł.

- Rozumiem. - Bodie posmutniała.

- Mal uważa, że Cane zrobił to celowo, bo się wystraszył małżeństwa. Wiedział, że przyjdiesz go szukać, a może nawet widział, jak wychodziłaś z windy.

- Myślisz, że zaaranżował całą tę scenkę?

- To możliwe, prawda? Cane cię pragnął, ale nie był przekonany do błyskawicznego ożenku. Poza tym widział zachowanie Tanka i bał się, że brat mu sprzątnie cię przed nosa. Jednak kiedy poczuł obrączkę na palcu, zaczął się dusić i szukał drogi ucieczki. Tak w każdym razie uważa Mal.

- Mogło tak być - przyznała Bodie z wahaniem. - A więc myślisz, że jest jeszcze nadzieja?

- Zawsze trzeba być dobrej myśli - powiedziała łagodnie Morie. - Sama szłam wyboistą drogą do ślubu. Dwojgu ludziom potrzeba czasu, żeby sobie nawzajem zaufali. Cane na pewno coś do ciebie czuje i nie wie, jak sobie z tym poradzić. Według braci nigdy dotąd nie był zakochany.

- Po prostu mnie pragnie.

- Dla faceta to dobry początek - zaśmiała się Morie. - Bądź cierpliwa i czekaj na dalszy rozwój wydarzeń.

- Dzięki za radę - westchnęła Bodie. - W każdym razie życzę ci szczęśliwego Nowego Roku. W przyszłym tygodniu zacznę zajęcia. Trzymaj za mnie kciuki.

- Jesteś mądra, dasz sobie radę. Ale życzę ci szczęścia z twoim opornym mężem - dodała Morie ze śmiechem.

- W tym przypadku może mi być potrzebne. Podziękuj Mallory'emu za samochód i pokój w hotelu. Przysięgam, że oddam mu pieniądze, choćby miało mi to zająć całe lata.

- Wiesz, że nie musisz - zapewniła ją ciepło szwagierka. - Czy twoja przyjaciółka widziała wyjaśnienia na Facebooku?

- Tak i zadzwoniła, żeby przeprosić, ale w czasie rozmowy przyznała, że uwierzyła, iż pozowałam do tego zdjęcia.

- Też mi przyjaciółka.

- Dlatego wolałam zostać w hotelu. Wiesz, boję się iść na zajęcia. Niektórzy studenci mogli widzieć zdjęcie, ale już nie moje wyjaśnienia.

- Dasz sobie radę - zapewniła ją Morie. - Wierzę w ciebie. Trzymaj głowę wysoko i ignoruj głupców.

- Spróbuję, ale jest mi ciężko.

- Wiem. Trzeba jakoś sobie radzić.

- Tak, trzeba. Dziękuję.

- Nie ma za co.

Pierwszego dnia zajęć Bodie była niepewna i zdenerwowana, jednak nie słyszała żadnych komentarzy w sprawie jej zdjęcia w sieci. Na wszelki wypadek poszła do dziekana i opowiedziała, co jej się przydarzyło. Mężczyzna tylko się uśmiechnął i odparł, że jego córka także padła ofiarą podobnego przestępstwa i właśnie czeka ją na proces. Kazał jej przestać się zamartwiać. Opuściła jego gabinet podniesiona na duchu.

Dla Beth sprawy nie ułożyły się równie pomyślnie. Wszyscy się od niej odsunęli, kiedy po kampusie rozeszła się plotka, jak postąpiła. Bodie miała nawet okazję przypadkiem podsłuchać rozmowę nieznannej studentki z jej dawną przyjaciółką.

- Wystawiłaś jej rzeczy na dwór, jakby była jakąś bezdomną, którą przygarnęłaś - wytknęła zawstydzonej Beth. - I ty nazywasz siebie osobą wierzącą? Ciekawe, co to za wiara?

Beth poczerwieniała i uciekła, a dwa dni później po kampusie rozeszła się wieść, że przeniosła się na inną uczelnię. Bodie zrobiło się jej żal. Było jej przykro, że Beth uwierzyła w podłe kłamstwa Willa, ale nie życzyła jej źle, tym bardziej że sama podobnie postąpiła z Cane'em, nie starając się nawet wysłuchać jego wyjaśnień. To wcale nie stawiało jej w lepszym świetle niż Beth.

Miesiąc po rozpoczęciu zajęć na uczelni nadal nie słyhać było żadnych plotek o feralnej fotografii. Nikt nie dokuczał Bodie, a kiedy chciała ponownie odnaleźć swoje zdjęcie w sieci, okazało się, że znikło bez śladu.

Spróbowała połączyć się przez Skype'a z Morie; czekając, obracała w palcach swój ulubiony kamień. Jak zawsze zaskoczył ją jego ciężar i metaliczny blask. Już dawno powinna wyjaśnić tę zagadkę. Miała przecież przyjaciółkę na geologii, która mogła przyjrzeć się tajemniczemu skale.

- Cześć - odezwała się Morie. - Co u ciebie słyhać?

- Znacznie lepiej. A u was?

- Cane ma nową protezę - oznajmiła Morie z błyskiem w oku. - To prototyp. Jego psycholog ma przyjaciela w instytucie badań nad sztuczną inteligencją, który pracuje nad protezą tak połączoną z mózgiem człowieka, że można nią poruszać jak prawdziwą ręką. Cane nie dał sobie podpiąć elektrod, ale oglądał eksperymenty w laboratorium.

- I włożył coś takiego? Niesamowite! - zachwyciła się Bodie.

- Był też u fryzjera i codziennie się goli. Z jakiegoś tajemniczego powodu znów zainteresował się archeologią - dodała ze śmiechem. - Mavie widziała, że ma twoje zdjęcie w sypialni.

- Niemożliwe!

- Wiesz, że wszyscy zjawimy się na rozdaniu dyplomów, prawda?

- Jeśli w ogóle uda mi się zdobyć dyplom. - Bodie skrzywiła się. - A co z Willem i jego przyjacielem Larrym?

- Wylądowali w areszcie. Wczoraj postawiono im nowe zarzuty. Red Davis osobiście przekazał szeryfowi wyniki swojej pracy. Oczywiście usunął twoje zdjęcie z internetu.

- Kocham go!

- Jak my wszyscy. Naprawdę powinien pracować dla jakiejś poważnej rządowej agencji, zamiast pędzić bydło. Ale powiedział, że nie lubi chodzić pod krawatem i spowiadać się jakiemuś bubkowi w garniturze z tego, co robi.

- Myślisz, że Will wyjdzie za kaucją? - zapytała zmartwiona Bodie, wiedząc, jak mściwy jest jej ojczym. - Nawet jeśli wyznaczą wysoką kaucję, ma ziemię i dom mojej matki pod zastaw.

- Nie ma - odparła Morie. - Zamierzałam zadzwonić do ciebie wieczorem z dobrą nowiną. Kiedy szeryf przetrząsał dom Willa, natknął się na kasetkę z dokumentami. Wystarał się o odpowiedni nakaz i po otwarciu okazało się, że wśród papierów był oryginalny testament twojej matki, w którym zostawiła ci dom, ziemię i całą resztę. Teraz prawnicy podważą legalność tego, który Jones przedstawił po śmierci twojej mamy. Wkrótce odzyskasz swoje dziedzictwo.

Bodie aż usiadła z wrażenia.

- O rany! Jak ja wam się odwdzięczę?

- Skończ studia i wróc do domu - poradziła Morie. - Zresztą mam dla ciebie niespodziankę.

- Co takiego?

- Jestem w ciąży!

- Będę ciocią! - zawołała radośnie, ale zaraz posmutniała. - To znaczy Cane będzie wujkiem.

- Będiesz ciocią. Nadal jesteś żoną Cane'a. Jestem taka podekscytowana! Dziecko urodzi się w sierpniu.

- Bardzo się cieszę.

- My wprost szalejemy ze szczęścia. Niedługo będzie można zobaczyć płęć, ale ja i Mal chcemy, żeby to była niespodzianka.

- Cóż za siła woli - zauważyła Bodie z podziwem. - Gratuluję. Założę się, że twoja mama i tata są zachwyceni.

- Nie tylko oni. Wyobraź sobie, że Cort również - powiedziała, mając na myśli swojego brata. - To dopiero niespodzianka.
- Jak układa mu się z Odalie Everett?
- Odalie strasznie zadziera nosa - westchnęła Morie. - Powiedziała, że nie będzie umawiać się z kimś, kto pachnie krowimi plackami.
- O rany! Przecież jej matka taka nie jest, prawda?
- Nie. Heather Everett to prawdziwy anioł. Nawet o diable umiałaby powiedzieć coś miłego. To tragiczna sytuacja, bo Cort rozpacza po Odalie, która wkrótce wyjeżdża do Włoch, żeby szkolić głos u sławnego trenera, a obok mieszka wspaniała dziewczyna, która zrobiłaby dla niego wszystko, a on jej nawet nie zauważa. Nie, to nie tak - powiedziała Morie, marszcząc brwi. - Właściwie ją zauważa, ale w jej obecności stale klnie.
- Dlaczego?
- Ona ma koguta, który ją uwielbia, a nie znosi mężczyzn. Nawet bardziej niż nasz. Chadza przez płot do moich rodziców, gdzie jest sporo kur. A kiedy tylko widzi Corta, rzuca się na niego. To okropnie śmieszne - zachichotała. - Cort nie może go przegnać ani złapać. Ten kogut to partyzant, atakuje z doskoku. Cort wrzeszczy i biega za wielkim czerwonym ptakiem, a ten pieje i wydaje takie dźwięki, jakby się śmiał.
- O rany! - roześmiała się Bodie.
- To się może źle skończyć. Na przykład rosołem - dodała z uśmiechem Morie. - Ale wracając do ciebie, ucz się pilnie i odzywaj od czasu do czasu. Będę dawała znać, co u nas słychać.
- Dzięki, Morie, i jeszcze raz gratuluję. - Bodie zawahała się. - Jeśli Cane tak zaczął o siebie dbać, to może widuje się z tą kobietą, z którą go widziałam w hotelowym barze?
- Od twojego wyjazdu nie opuścił rancza. Z nikim się nie widuje. Chcesz znać moje zdanie? Czeka, aż jego żona wróci do domu. - Bodie spojrzała na szwagierkę szeroko otwartymi oczami. - Zaskakujące, nieprawda? Spraw, żebyśmy byli z ciebie dumni.
- Obiecuję, że się postaram - powiedziała Bodie i przerwała połączenie.

Kolejne trzy tygodnie minęły zajętej nauką Bodie nie wiadomo kiedy. Uparła się skończyć studia w terminie i z dobrym wynikiem. Z nikim się nie spotykała, nawet z kolegami z roku, którzy proponowali jej wspólne wyjścia do baru czy na koncert w kampusie. Całe noce spędzała w hotelowym pokoju na zakuwaniu do egzaminów.

W jej życiu nastąpiła jednak poważna zmiana. Znalazła czas, żeby zanieść swój kamień zmartwień na wydział geologii i ze zdumieniem dowiedziała się, że jest to fragment meteorytu wart setki tysięcy dolarów.

- Znam kolekcjonera, który zapłaci za niego fortunę - powiedział profesor, który badał skałę. - Twój meteoryt jest niespotykany i wspaniale zachowany. Jeśli chcesz, dam ci jego numer.

Zszokowana Bodie ledwie pokiwała głową. Profesor uśmiechnął się i zapisał jej numer telefonu na kartce.

- Jest wart więcej od złota - wykrztusiła w końcu.

- No tak. Kolekcjonerzy są gotowi płacić krocie za takie rzadkie okazy. Nie powinnaś go nosić w kieszeni, Bodie. Jest zbyt cenny.
- Teraz to wiem - zaśmiała się nerwowo. - Dziękuję.
- To była prawdziwa przyjemność.

Bodie jak odurzona wróciła do hotelowego pokoju. Ten kawałek skały mógł ją wybawić z wielu kłopotów. Może nawet uratowałby dziadka, a przynajmniej oszczędził mu stresów. Wtedy jednak nie wiedziała, że jest coś wart. Nosila go przy sobie jako amulet. Nawet teraz nie miała ochoty się z nim rozstawać, ale wiedziała, że jeśli go sprzeda, kupi samochód, opłaci studia, a nawet rozwód, jeśli będzie trzeba. Sprzedaż skały da jej finansową niezależność. Podjęła więc decyzję i zadzwoniła do kolekcjonera.

Tydzień później kwota na jej koncie pokaźnie urosła. Opłaciła rachunek za hotel i przeniosła się do miłego apartamentu w pobliżu kampusu, który wynajęła od starszej pary. Mogła oddać Darby'emu samochód, ponieważ kupiła sobie własny. Mały i używany, ale niezawodny.

- Co się dzieje? - zapytała wieczorem na Skypie zaskoczona Morie.
- Pamiętasz kamień, który zawsze przy sobie nosiłam?
- Tak. Był dość niezwykły.
- Okazało się, że to meteoryt, i sprzedałam go za zawrotną sumę kolekcjonerowi!
- Święci pańscy! Oglądałam program w telewizji o łowcach meteorytów.
- Nie mam czasu na telewizję, ale ten film chętnie bym obejrzała.
- Koniecznie. Był fascynujący. - Morie na chwilę zamilkła. - Niedługo odzyskasz dom matki. Według prawników za kilka tygodni powinnaś dostać akt własności.
- Wiem, jestem z nimi w kontakcie. Ale nie zamierzam go sprzedawać.
- Nie dziwię ci się. Jeśli tylko można, dom powinien zostać w rodzinie.
- Więc nadal będzie u mnie krucho z forszą. Ale chciałabym odwdzińczyć się wam za wszystko, co dla mnie zrobiliście.
- Nawet nie próbuj, bo będzie awantura - ostrzegła ją Morie.
- Pozostaje mi więc tylko podziękować.
- Nie ma za co - odparła uspokojona Morie i zmrużyła oczy. - Szykuje ci się towarzystwo na piątkowy wieczór.
- Słucham?
- Słyszałam z wiarygodnego źródła, że ktoś wybiera się do Billings, żeby się z tobą spotkać. Ktoś wysoki, przystojny, władczy i bardzo zdeterminowany.
- Cane?
- Tak chyba ma na imię - roześmiała się Morie.
- Przyjedzie do mnie w piątek?
- Tak.
- Ale nie dzwonił.
- Chce cię zaskoczyć, lecz postanowiłam cię uprzedzić.
- Tysięczne dzięki, Morie. Włożę najlepszą sukienkę.
- Ani mi się waź! Cane od razu zorientuje się, kto ci wszystko wypaplał.
- No tak. Nie pomyślałam. O rany! To co ja mam włożyć? Co mu powiem? Co zro-

bię?

- Uspokój się, weź głęboki oddech i pozwól, aby sprawy toczyły się same - poradziła Morie.

Bodie postąpiła zgodnie z radą szwagierki. Odetchnęła, ale wcale się nie uspokoiła. Była podekscytowana jak wtedy, kiedy Cane jej się oświadczył. Zamierzał się z nią zobaczyć! Podobno nie chciał rozwodu, ale jeśli zmienił zdanie? A jeżeli przyjedzie, żeby jej powiedzieć, że zakochał się w tamtej pięknej blondynce?

- Przestań panikować - powiedziała Morie po chwili. - Nie torturuj samej siebie. Musisz uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż Cane przyjedzie do ciebie i powie, o co chodzi.

- Brzmi prosto.

- Bo to nie jest skomplikowane.

- No dobrze. Będę udawać, że nic nie wiem.

- Grzeczna dziewczynka. Powodzenia!

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- Dziękuję. Ty moją też. Do zobaczenia wkrótce.

- Do zobaczenia.

Choć Bodie położyła się wcześniej, nie zasnęła do samego świtu. Kiedy zadzwonił budzik, wstała z podkrążonymi oczami i musiała bardzo się spieszyć, żeby zdążyć na zajęcia.

Do końca tygodnia zastanawiała się, jak Cane będzie wyglądał, co powie, co będą robić, kiedy się zjawi w jej mieszkaniu. Wymyślała kolejne scenariusze tego spotkania, jednak zamiast ukojenia czuła większy niepokój. Była coraz bardziej przekonana, że mąż chce zakończyć ich nieudany związek. Zawsze twierdził, że nie pragnie małżeńskich więzów. Ożenił się z nią tylko dlatego, żeby utrzymać Tanka na dystans. Bodie czuła się jak nagroda w braterskich rozgrywkach.

Zastanawiała się, czy nadal dokuczają mu żebra. Minęło już tyle czasu, że powinny się zrosnąć. Jeśli uda jej się zaliczyć wszystkie przedmioty, za miesiąc będzie wolna. To był kolejny problem: dokąd ma wrócić? Nagle przypomniała sobie dom, który dzieliła z dziadkiem po śmierci mamy, a który ukradł jej ojczym.

Will i Larry wylądowali w więzieniu. Przynajmniej nie musiała się martwić, że po powrocie spotka któregoś z nich w mieście. Nadal nie pogodziła się z tym, co zrobiła, żeby ratować dziadka. Pozowanie do erotycznego zdjęcia nie było w jej stylu. Zresztą nie udało jej się osiągnąć celu i dziadek umarł. Mogła sobie oszczędzić stresu i upokorzenia. Jednak wtedy była przekonana, że nie ma innego wyjścia. Wiedziała, że posunęłaby się nawet dalej, gdyby to miało ocalić dziadka. Bardzo za nim tęskniła.

Po piątkowych zajęciach Bodie wracała do mieszkania, rozglądając się za samochodem z rancza. Odetchnęła z ulgą, nie widząc go nigdzie w pobliżu. Miała więc trochę czasu, żeby się odświeżyć i ogarnąć mieszkanie, a może nawet ugotować coś, co dałoby się podgrzać później, gdyby zgłodnieli.

W myślach już sobie wszystko zaplanowała. Włożyła klucz do zamka i zdziwiła się, że drzwi są otwarte. Musiałam zapomnieć rano w pośpiechu przekręcić klucz,

uznała. Starsi państwo nigdy by tego nie wykorzystali, ale to i tak nie było rozsądne. Weszła do środka, odłożyła torebkę i zdjęła płaszcz. W kuchni omal nie zemdleła, stając twarzą w twarz z mężczyzną w białej koszuli i dżinsach, który smażył steki.

Cane spojrzał na nią z szerokim uśmiechem. Był tak przystojny, że jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Minęło tyle czasu, odkąd widziała jego cudowne, roziskrzone spojrzenie. Pachniał świeżością, a jego koszula była nienagannie wyprasowana. Bez wątplenia była to robota Mavie. Cane wyglądał jak spełnienie kobiecych marzeń. Bodie nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Pomyślałem, że możesz być głodna, wracając tak późno z uczelni - oznajmił, a kiedy skinęła w milczeniu głową, przekręcił steki na drugą stronę.

Po chwili zgasił gaz, przełożył mięso na duży talerz i zaniósł na stół, gdzie już czekała miska ziemniaków i druga z brukselką. Dobrze wiedział, że to ulubione danie Bodie.

- Zaskoczona? - zapytał, podchodząc bliżej.

Skinęła głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Cane ujął twarz Bodie w dłonie. Proteza prawie nie różniła się od zdrowej kończyny.

- Z bliska nikogo nie oszukam - szepnęła, wpatrując się zachłannie w jej usta - ale z daleka nie widać różnicy. Dłoń wygląda naturalnie. Ma mnóstwo dźwigni, wielokrążków i kabli. Umrę, jeśli cię zaraz nie pocałuję!

Jego usta wpiły się w jej wargi z taką siłą, jakby chciał ją pochłonąć w żarłocznym pocałunku. Bodie jęknęła, czując narastające podniecenie. Objęła go i wtuliła się w jego ramiona, rozchylając wargi. Przestało się liczyć cokolwiek poza Cane'em i jego spragnionymi ustami.

Cane zamruczał i przytrzymując ją kalekim ramieniem, włożył zdrową dłoń pod bluzkę Bodie. Niecierpliwie odsunął stanik i wreszcie dotknął jej nagiej, rozgrzanej skóry. W czasie gdy jego wargi kusiły, skubały i zachęcały do zabawy, jego palce pieściły wrażliwe piersi Bodie. Z zamkniętymi oczami mocniej przyłgnęła do jego dłoni.

- Za wiele ubrań... - wykrztusił Cane, starając się zdjąć jej bluzkę i popychając ją jednocześnie w stronę sypialni.

Kiedy upadli na materac, zarumieniona Bodie sama zdjęła bluzkę i stanik, pozwalając Cane'owi napawać się widokiem jej nieskazitelnej skóry. Położyła się na plecach, a on zawisł nad nią ze wzrokiem zamglonym z pożądania.

- Jesteś moja - wyszeptał chrapliwie, przyprawiając ją o dreszcze. - Cała moja - dodał, kiedy się zarumieniła pod jego spojrzeniem. - Będziesz musiała mi pomóc, Bodie, bo nie wiem, czy dam radę...

- Oczywiście, że dasz - szepnęła, ośmielona jego niepewnością.

Nie myśląc o własnym wstydzie, ściągnęła dżinsy razem z bielizną, a potem gorączkowymi ruchami rozpięła koszulę Cane'a, odsłaniając jego muskularną owłosioną pierś. A także przypiętą specjalną uprzężą protezę dłoni. Kiedy spróbowała ją odpiąć, Cane drgnął.

- Nie wiem, czy...

- Mężczyźni od zarania dziejów tracili kończyny w czasie walk - powiedziała cicho. - A kobiety sobie z tym radziły. Sam się przekonasz. Nauczysz mnie.

- Nauczę - potwierdził, kiedy sięgnęła do jego paska. - O tak. To mogę zrobić - mruknął, pochylając się do jej ust.

Z początku nie było jej łatwo. Bodie nigdy nie widziała nagiego mężczyzny, poza ilustracją w czasopiśmie, którą pokazały jej kiedyś koleżanki w szkole. Nie oglądała erotycznych filmów ani nie zaglądała na pornograficzne strony, więc brakowało jej podstawowej wiedzy.

- Szybko się uczysz - mruknął z uśmiechem, kiedy zdejmowała ostatnie dzielące ich fragmenty odzieży.

- Dotąd się powstrzymywałam - odparła, starając się nie patrzeć na jego podniecenie.

- Już niedługo. Obiecuję - szepnął, układając ją z powrotem na poduszkach i wsuwając udo pomiędzy jej złączone nogi.

Opierając się na kikucie okaleczonej ręki, drugą sięgnął do jej ud. Ten intymny dotyk zalał Bodie falą żaru. Spojrzała na niego bezradnie, zażenowana intensywnością doznań.

- Nie panikuj - szepnął z ustami przy jej ustach. - Musisz być na mnie gotowa. Zobaczysz, że to przyjemne. Nie myśl. Odpręż się i pozwól się dotykać.

Bodie nie spodziewała się, że z takim entuzjazmem podda się wprawnym ruchom jego ręki. Cane szybko odnalazł miejsce, dzięki któremu eksplodowała w niej nieznana przyjemność. Bodie wzięła się i z całych sił starała jeszcze bardziej zbliżyć do jego bieglej dłoni. Nie była w stanie myśleć, skupiła się wyłącznie na dotyku Cane'a. Jej ciałem wstrząsnął rozkoszny spazm, wyrrywając z jej piersi mimowolny okrzyk rozkoszy. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, spostrzegła, że zaczerwieniony Cane przygląda jej się z satysfakcją.

- Nigdy tego nie doświadczyłaś - powiedział zaskoczony.

- Nie - wykrztusiła.

- Więc to cię rzuci na kolana - mruknął, układając się między jej rozchyłonymi udami. - Opleć mnie nogami i pozwól mi pokazać, jak należy się kochać.

Poddała się mu całkowicie, wpuszczając go do swojego wnętrza. Jedynie pierwszy moment zetknięcia ich ciał wydał się nieprzyjemny, ale z każdym powolnym ruchem Cane'a rosła w niej fala rozkoszy. Przez cały czas patrzył jej prosto w oczy, a kiedy Bodie przytłoczona doznaniem chciała je przymknąć, zaprotestował.

- Nie. Patrz na mnie i pozwól mi patrzeć - poprosił chrapliwie.

- To zbyt intymne - wykrztusiła.

- Jesteś moją żoną - oznajmił, podkreślając swoje słowa mocnymi ruchami bioder.

- Jesteś moim światem. Możesz dzielić ze mną to uczucie i cieszyć się każdą chwilą!

Bodie zdusiła okrzyk narastającej rozkoszy. Nagle nie było już odwrotu. Jej biodra poruszały się w rytm ruchu bioder Cane'a, wychodząc mu na spotkanie. Czowała, jak w niej rośnie.

- Jesteś taka słodka... Bodie... taka słodka! - krzyknął i stęzał, targany falami spełnienia.

- Cane - wykrztusiła, nie rozpoznając własnego głosu.

- Patrz na mnie... - wydyszał.

Cane zagłębiał się w nią, nie odrywając rozszerzonych źrenic od jej zdumionego spojrzenia. Bodie czuła wewnątrz siebie każdy jego konwulsyjny ruch. Namiętność

rosła nieznośnie, aż w końcu i ją porwała niepowstrzymana lawina rozkoszy. Doznania przekroczyły jej najśmielsze fantazje o intymności pomiędzy kobietą i mężczyzną. Drżący, spocony Cane opadł na nią, muskając wargami jej piersi.

- Jeszcze nigdy aż tak... - wykrztusił urywanym głosem.

Bodie tuliła jego głowę, wciąż czując głęboko w sobie pulsującą namiętność. Kiedy oprzytomniała, pomyślała o czymś mniej przyjemnym.

- Nawet z tą blondynką z Jackson Hole? - szepnęła mu do ucha.

Cane wybuchnął śmiechem. Nie tego się spodziewała. Uniósł się odrobinę, by móc na nią popatrzeć. Ich ciała nadal były złączone.

- Nie wiem. Nigdy się z nią nie kochałem - odparł cicho. - Rozmawialiśmy tylko podczas aukcji bydła. - Delikatnie pocałował rozchylone wargi Bodie. - Kiedy zobaczyłem, jak wychodzisz z windy, przestraszyłem się i zrobiłem coś potwornie głupiego.

- Głupiego - powtórzyła jak echo, bo Cane zaczął się w niej delikatnie poruszać, rozniecając na powrót przytłumiony żar.

- Udawałem, że coś nas łączy, bo wiedziałem, że uciekniesz. Sądziłem, że tego chcę. Dostałbym rozwód i znów byłbym wolny. Ale nie uwolniłem się od ciebie - szepnął i poruszył się, wywołując cichy okrzyk Bodie. - Ty też nie wyzwoliłaś się ode mnie. Należymy do siebie tak bardzo, że nawet osobno jesteśmy razem. No i teraz jeszcze to... - dodał, napierając na nią biodrami. Bodie wygięła się w łuk i zacisnęła zęby, ale i tak nie powstrzymała okrzyku rozkoszy.

- Sprawiasz, że czuję się prawdziwym mężczyzną. - Przyglądał się jej spłonionej twarzy i rozgorączkowanemu spojrzeniu. - A ty przy mnie stajesz się kobietą.

- Przecież już nią byłem - zaśmiała się chrapliwie.

- Byłaś dziewicą - szepnął. - Słodką, nieśmiałą i czystą. To mi się podobało - jęknął, zagłębiając się w niej z większą siłą. - Chcę to robić bez przerwy do końca życia, patrząc na ciebie - powiedział i znów mocno pchnął, wpatrując się płonącymi namiętnością czarnymi oczami w jej zamglone źrenice. - Kocham cię, Bodie. Kocham!

Chciała mu odpowiedzieć, ale rozkosz była zbyt przytłaczająca. Przyłgnęła do niego, kwiląc. To była najśłodsza i najwspanialsza rzecz, jakiej Bodie doświadczyła w życiu. Cane też osiągnął spełnienie, ale nie wcześniej niż Bodie. Leżąc wyczerpana w jego ramionach, chciała z nim rozmawiać, ale nie starczyło jej sił.

- Kocham cię - wyszeptała tylko.

- Ja ciebie też, kochanie. Zawsze będę cię kochał - obiecał, kryjąc twarz w zagłębieniu jej szyi.

Zasnęli wyczerpani miłosnymi igraszkami i ukołysani swoimi oddechami, zapominając o stygnącym w kuchni jedzeniu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Obudzili się po północy. Razem poszli pod prysznic, a potem do kuchni.

- Jak w ogóle się tu dostałeś? - zapytała Bodie, wkładając koszulę Cane'a; on miał na sobie tylko dżinsy.

Czuł się przy niej na tyle swobodnie, że nie musiał zakrywać kalekiego ramienia.

- Pokazałem to twoim stróżom. - Uniósł z uśmiechem dłoń, na której błyszczała obrączka. - Powiedziałem, że się pokłóciliśmy, ale chcę to naprawić. Bardzo się rozczulili. To mili ludzie.

- Bardzo mili - przytaknęła, patrząc na niego z zachwytem.

Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Jesteś pod wrażeniem moich wyczynów w sypialni - zażartował i pocałował ją w usta. - Wyobraź więc sobie, że trening czyni mistrza.

- W takim razie powinniśmy często trenować - odparła Bodie, przytulając się do niego.

- Jeśli zaczniemy trenować tak jak dziś, wkrótce będziemy mieli towarzystwo.

- Towarzystwo?

- Jak myślisz, skąd się biorą dzieci, Bodie? - zapytał żartobliwie.

Przez chwilę patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Potem do niej dotarło. Nie brała tabletek antykoncepcyjnych i nie zauważyła, żeby Cane użył zabezpieczenia.

- Czy to byłoby bardzo źle? - zapytał Cane zmartwiony jej milczeniem.

Bodie jeszcze mocniej się do niego przytuliła. Uświadomiła sobie, że chciałaby mieć dziecko z Cane'em.

- Och, nie, byłoby wspaniale! - zawołała z entuzjazmem.

- Żona i rodzina - westchnął, rozbawiony jej reakcją. - Ludzie, którzy mnie znają, padną z wrażenia.

- Ja prawie padłam, kiedy zaczęłam cię rozbierać.

- Świetnie ci poszło jak na kogoś, kto ze wstydu nie wiedział, gdzie ma podziąć oczy - parsknął śmiechem Cane. - Kiedyś jednak musiałaś spróbować.

- Tak.

- Zrobiłem ci steki, ziemniaczki i nawet brukselkę - oznajmił, całując ją w czoło. - Ale teraz nie polecam tego dania - dokończył, patrząc na nieapetycznie obeschnięty posiłek.

- To może zjemy zamiast tego jajka na bekonie?

- Cudowny pomysł.

- Już robię - obiecała, kradnąc mu całusa.

Zjedli i wrócili do łóżka. Byli jednak zbyt zmęczeni na dalsze igraszki. Szybko zasnęli, a rano pojechali prosto do Catelow.

Na ganku czekała na nich Morie, przyglądając się ich splecionym dłoniom.

- Nie muszę chyba pytać, jak wam poszło? - zapytała z uśmiechem.

- Nie musisz - przytaknął rozbawiony Cane. - Chyba można powiedzieć, że jesteśmy szczęśliwie zakochani. - Uśmiechnął się do wpatrzonej w niego Bodie. - Wyobrażasz to sobie?

- To trudne, ale się postaram. Chodźcie. Mavie od rana szalała w kuchni i ma dla was niespodziankę.

Kiedy weszli do środka, zobaczyli piękny trzy poziomowy tort ślubny zwieńczony figurkami młodej pary.

- Mavie, to jest śliczne!

- Wiem, że podano ciasto w czasie waszego przyjęcia, ale było nie takie jak trzeba - powiedziała gospodyni, wykrzywając usta. - Chciałam dać wam prawdziwy tort.

- Miało być inaczej, ale wszystko poszło nie tak jak trzeba - wtrąciła Morie.

- Wiem. Sam się do tego przyłożyłem - wyznał Cane ze skruchą.

- Ale wszystko mi wynagrodziłeś - zapewniła go Bodie, rzucając mu się na szyję. - Przestań się już zadręczać.

- Przydałby mi się bicz i szata pokutna.

- Wolałabym, żebyś wziął raczej szpachelkę i szczotkę - oznajmiła Bodie. - Wiem, dokąd pojedziemy w podróż poślubną, jeśli skończę studia.

- Nie jeśli, tylko kiedy - poprawił ją Cane.

- Obyś miał rację. W Kolorado mają specjalny program dla absolwentów; pozwalają towarzyszyć archeologom podczas wykopalisk.

- Od lat nie byłem w takim miejscu - powiedział Cane i westchnął. - Niestety, nie mogę już używać łopaty.

- Wcale nie musisz. Szpachelka wystarczy. Zresztą wiem, że już trochę czytałeś na ten temat.

- Mogę omiatać znaleziska - zaśmiał się Cane.

- I pomóc przy ich wydobywaniu - upierała się Bodie.

- Zmuszasz mnie do powrotu do życia - powiedział. - A tak dobrze mi szło chowanie głowy w piasek.

- Nic z tego. - Pokręciła głową z uśmiechem.

- Dobrze, szefowo - skapitulował i ją pocałował.

Mavie przeniosła tort do salonu. Cane i Bodie podążyli za nią, trzymając się za ręce. Potem Morie robiła im zdjęcia, kiedy nawzajem karmili się ciastem.

- Jest bardzo smaczne - zachwyciła się Bodie, popijając je kawą.

- Nie. To ja jestem bardzo smaczny - zaprotestował Cane - a ciasto jest tylko smaczne.

Wszyscy się roześmiali.

Wkrótce dołączyli do nich Mallory i Tank.

- Rozumiem, że się wreszcie pogodziliście? - zapytał Mallory.

- Tak. A kiedy skończymy z wyróżnieniem studia, spędzimy miesiąc miodowy, wykopując stare trupy z dziur w ziemi - oznajmił Cane i oberwał za to kuksańca od Bodie.

- Weźmiemy udział w ekspedycji archeologicznej - poprawiła go, udając oburzenie. - Żeby wykopywać stare trupy z dziur w ziemi - dodała z łobuzerskim uśmiechem, budząc powszechną wesołość.

- Co tylko sobie życzysz, kochanie - powiedział Cane z dumą i opiekuńczym gestem przygarnął do siebie Bodie.

- Zapamiętaj sobie tę odpowiedź - poradziła mu, rozśmieszając wszystkich ponownie.

Bodie skończyła naukę z wyróżnieniem. Cała jej nowa rodzina przyjechała do Billings na uroczystość rozdania dyplomów. Po zakończeniu ceremonii Cane i Bodie poszli pożegnać się z jej ulubionymi profesorami i kolegami z roku. Kilka kobiet próbowało Cane'a zaczepić, ale on tylko pokręcił głową i poszedł za żoną. Bodie była coraz bardziej pewna jego uczuć; widziała, że jest w niej zakochany.

Spędzili dwa tygodnie w Kolorado, szukając artefaktów w dzień i kochając się w nocy. Wrócili sztywni i obolali, ale szczęśliwi. Powiedzieli bliskim, że tak dobrze nie bawili się jeszcze nigdy w życiu. Nawet jeśli przez cały czas wykopywali stare trupy z dziur w ziemi.

Will i Larry zostali skazani za kradzież tożsamości i rozprowadzanie pornografii z udziałem nieletniej. Will dostał parę dodatkowych lat za przywłaszczenie mienia Bodie i niekorzystne nim rozporządzanie. Obaj mieli spędzić wiele lat w więzieniu.

Bodie odzyskała dom i ziemię, po czym znalazła starsze małżeństwo, którym je nieodpłatnie udostępniła.

Pewnego ranka w swojej szufladzie znalazła rodzinne klejnoty. Pokazała je Cane'owi przy śniadaniu.

- Zastawiłam je przecież - wykrztusiła. - Miałam je wykupić.

- Jeden z naszych kowbojów widział cię w lombardzie - przyznał Cane, przytulając ją mocno. - Uznałem, że nie mogę pozwolić, żebyś straciła coś tak dla ciebie ważnego, dlatego natychmiast je wykupiłem, zmuszając sprzedawcę do milczenia. Czekałem na właściwy moment, żeby ci je dać, i chyba właśnie nadszedł - oznajmił, zaglądając jej z nadzieją w oczy. - Powiesz mi wreszcie? - zapytał, kładąc jej dłoń na brzuchu.

- Przecież test zrobiłam dopiero dziś rano! - zawołała zaskoczona.

- Widziałem go w śmieciach i umiem odczytać wynik. No, powiedz to!

Bodie z rozjaśnioną szczęściem twarzą wzięła głęboki wdech.

- Będziemy mieli dziecko - szepnęła.

Cane przyciągnął ją jeszcze bliżej i patrząc jej w oczy, nieskończenie czule pocałował.

- To będzie owoc naszej miłości. Prawdziwej miłości.

- Takie szczęście mnie przeraża.

- Wiem. Naprawdę nam się udało - powiedział, całując ją w czubek głowy.

- Muszę jeszcze iść do lekarza, żeby potwierdzić ciążę, ale jestem pewna - szepnęła.

- Miałaś przeze mnie masę kłopotów. Było warto? - zapytał Cane.

- Jesteś wart każdej wylanej łzy - odparła, patrząc w jego czarne oczy. - Jestem z ciebie taka dumna. Od miesiący nie wywołałeś żadnej rozróby w barze.

- Nie chciałem przynieść ci wstydu - wymamrotał skrzepowany.

- Czyżby?

- Owszem. No i mam wreszcie terapeutę, na którym mogę polegać. Myślę, że zacząłem sobie jakoś radzić.

- Radzisz sobie wspaniale - zapewniła go z dwuznacznym uśmiechem.

- Podoba ci się, jak sobie radzę?

- Na wiele zdumiewających sposobów - dodała, rumieniąc się uroczo.

- Wszystko przez moją szaloną młodość - roześmiał się tubalnie.

- Nie miałam pojęcia, że tak będzie. - Bodie położyła głowę na piersi męża. -

Z każdym dniem lepiej.

- Jesteś najlepszym, co spotkało mnie w życiu, kochanie - szepnął w jej włosy. - Kocham cię do szaleństwa.

- Ja ciebie też.

- Myślę, że...

- ...ten durny ptak skończy w rosole, a ją wepchnę do garnka razem z nim!

Cane i Bodie spojrzeli na siebie zdumieni, gdy do domu wpadł wysoki, ciemnowłosa mężczyzna w nedorzecznym drogim stetsonie na głowie.

- O, przepraszam - stropił się na ich widok, ale zaraz się uśmiechnął. - Mal mówił, że jest tu moja siostra.

- Bo jest - odezwała się Morie, wychodząc z kuchni z filiżanką parującej kawy. - Cort! Nie spodziewałam się ciebie przed czwartkiem - dodała i uściskała brata.

- Bo nie wybierałem się tu tak wcześnie, ale ten wściekły kogut znów mnie zaatakował, więc wolałem wyjechać, zanim aresztują mnie za morderstwo.

- Och, Cort - zachichotała Morie. - Ten ptak nadal cię prześladowuje?

- Możesz się śmiać - mruknął - ale to bydlę gonilo mnie do samego domu. Na mojej własnej ziemi!

- Nie możesz go złapać i zjeść? - zapytał Cane, hamując wybuch śmiechu.

- Chciałbym - burknął Cort. - Ganiali go już wszyscy ludzie na ranczu. Jack wpadł do koryta z wodą, Billa kopnął byk, kiedy zapędził się zbyt blisko, ale najgorzej skończył Andy, lądując głową w stercie parującego łąjna. No, mówię wam, nie był to przyjemny widok.

- Biedny Andy - jęknęła Morie, zginając się wpół ze śmiechu.

- Więc przyjechałem wcześniej - odparł Cort, krzywiąc się zabawnie. - Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, ale chciałbym tu trochę zostać.

- Może w tym czasie porwie go jastrząb - próbowała go pocieszyć Bodie.

- Nie sądzę, żebym miał tyle szczęścia.

- Czemu nie pozwiesz właściciela? - zapytał Cane.

- To moja sąsiadka, która mieszka ze starą ciotką na upadającej farmie - westchnął Cort. - Zresztą wszyscy uwielbiają tę dziewczynę i roznieśliliby mnie, gdybym zrobił jej krzywdę.

- Tata radził zastrzelić tego koguta - przypomniawszy mu Morie.

- Próbowałem! - zawołał ze złością Cort. - Wystrzeliłem pięć naboju, chybiając za każdym cholernym razem! A kiedy miałem już pustą komorę, rzucił się na mnie. Przysięgam, że się śmiał, kiedy zagonił mnie do domu. Nawet nie miałem żadnego kija, żeby go odgonić!

Bodie i Cane prawie popłakali się ze śmiechu.

- Tu będziesz bezpieczny - zapewniła brata Morie. - Mamy tylko kury. Właściwie

jest też kogut, ale tydzień temu przycięto mu skrzydła i ostrogi, więc może cię tylko postraszyć.

- Co za ulga. Może zostanę tu już na zawsze.

- Możesz zostać, jak długo zechcesz - roześmiała się Morie. - Masz ochotę na kawalek ciasta?

- A dostanę do niego kawę? - zapytał błagalnie. - Miałem ciężki tydzień.

- Oczywiście!

Cane i Bodie siedzieli na huśtawce na ganku i przyglądali się ważkom śmigającym po podwórku. Kwitły kwiaty, a w powietrzu unosił się ich upojny zapach.

- Czy pomyślałbyś, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, że zostaniemy małżeństwem? - zapytała Bodie z uśmiechem.

- Właściwie to często o tym myślałem - wyznał niespodziewanie Cane. - Ale dręczyły mnie koszmarne wojenne wspomnienia, kalectwo i alkohol, a ty byłaś taka młodziutka. Nie przypuszczałem, że jesteś nad wiek mądra i dojrzała - oznajmił i pocałował żonę. - W sumie to ja okazałem się mniej dojrzały z naszej dwójki.

- Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę tak szczęśliwa - szepnęła Bodie.

- Ja też nie, mała. - Mocno ją przytulił. - A teraz mam ciebie, dziecko i czeka nas wspaniała przyszłość.

- Tak. Wspaniała przyszłość - powtórzyła Bodie z uśmiechem, opierając mu głowę na ramieniu.

Gdzieś z daleka dochodził szum samochodów na autostradzie, ale Bodie słyszała tylko równe i mocne bicie serca Cane'a. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się, wreszcie bezpieczna w ramionach swojego ujarzmionego kowboja.